



DANIEL DEFOE

Robinson Crusoe

DANIEL DEFOE

Robinson Crusoe

JEGO ŻYCIA LOSY, DOŚWIADCZENIA I PRZYPADKI

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

— Skłonność podróżnicza Robinsona. — Zostań w kraju i odżywiaj się należycie. — Nieposłuszeństwo i skrucha Robinsona. — Jego lekkomyślność. — Burza i rozbicie okrętu. — Robinson zostaje właścicielem plantacji.

Urodziłem się roku Pańskiego 1632, w angielskim mieście Jorku. Mimo to mógłbym się niemal zwać Niemcem, albowiem ojciec mój pochodził z Bremy i w późnym dopiero wieku osiadł w Anglii.

Matka moja, Angielka, nosiła rodowe nazwisko Robinson, ja zaś, obyczajem angielskim, otrzymałem je przy chrzcie św. za imię. Ojciec mój zwał się Kreutzner, przeto i ja byłem właściwie Robinsonem Kreutznerem, ale Anglicy, nie mogąc nigdy wymówić tego wyrazu niemieckiego, zwali mego ojca: Mister Crusoe, tak że w końcu cała rodzina przybrała to nazwisko.

W ten sposób zostałem ostatecznie Robinsonem Crusoe.

Rodzice moi mieli oprócz mnie jeszcze dwóch synów i jedną córkę. Najstarszy służył jako oficer w jednym z angielskich pułków i zginął pod Dunkierką w bitwie z Hiszpanami. Młodszy brat mój wyruszył na obczyznę i przepadł bez wieści.

Mnie, najmłodszego, rodzice starali się jak najdłużej zatrzymać w domu. Ojciec mój był kupcem, ale na starość wycofał się z interesów, a chcąc ze mnie zrobić uczonego, dał mi wykształcenie, jakie tylko osiągnąć było można w naszym mieście. Jednakże nauka nie nęciła mnie wcale. Przeciwnie, rad bym był ruszyć w szeroki świat, napatrzeć się ludziom i krajom oraz zaznać wszelakich przygód.

Te moje plany i marzenia sprawiały dużo przykrości ojcu. Był to człek mądry i rozważny, i wiedział lepiej niż ja sam, co dla mnie najlepsze.

Pewnego dnia wezwał mnie do siebie i rzekł łagodnie i życzliwie:

„Drogi synu, skądże ci się biorą te myśli i dążenia awanturnicze? Czyż mam i ciebie utracić, jak utraciłem braci twoich? Zostań w domu, gdzie ja i matka troszczymy się o ciebie, gdzie masz przyjaciół i znajomych, gotowych do wszelkiej pomocy, którzy cię poprą niezawodnie, gdy raz już obierzesz jakiś zawód, ku własnej korzyści i zaszczytowi oraz ku pożytkowi społeczeństwa i pociesze rodziny. Szczęścia na obczyźnie szukają ci tylko, którzy niczego nie spodziewają się w ojczyźnie albo stracili dobrą opinię u ludzi. Przyznaję, że czasem przedsiębiorczość ducha wygania w szeroki świat młodzieńca, któremu na zagonie rodzinnym za ciasno, i młodzieniec taki ziszcza nieraz ambitne plany swoje. Ale to rzeczy nie dla ciebie, mój synu. Przeznaczeniem twym jest pozostać na szerokim gościńcu życia, który najpewniej wiedzie do szczęścia. Pozostań tedy w kraju i odżywiaj się należycie. Jeśli już nie zostaniesz uczonym, to masz dosyć zdolności, aby być dobrym kupcem, bo chyba nie uznajesz stanu ojca, stanu kupieckiego, za zbyt niski dla siebie”.

Tymi i innymi jeszcze słowy przemawiał do mnie ojciec, ja zaś nabrałem przekonania, że ma słuszność i postanowiłem usłuchać go. Ale po kilku już dniach wrażenie nauk

ojca pierzchło i jałem na nowo snuć marzenia unoszące mnie daleko za lądy i morza, ku tajemniczym i nęcącym dalom świata.

Skorzystawszy z wyjątkowo serdecznej chwili, podczas rozmowy z matką, powiedziałem jej, że nie mogę w żaden sposób opędzić się myśli wyruszenia na morze, że zakaz ojca uczynił mnie nieszczęśliwym, a pokusa może nawet sprawić, że wyjadę bez jego zezwolenia. Dodałem, że mając lat osiemnaście za stary już jestem, by wstąpić do praktyki kupieckiej, że zaś uczonym nie zostanę, przeto najlepiej będzie jeśli powolny swej skłonności ruszę w drogę. Prosiłem matkę, by mi wyrobiła u ojca zezwolenie na małą próbną podróż. Jeśli pierwsza wyprawa na morze nie ziści moich nadziei, to zrezygnuję z dalszych, wrócę do domu i zdwojoną pilnością nagrodzę czas stracony.

Ale matka zapatrywała się na sprawę tak samo jak ojciec i z całą powagą odmówiła swego wstawiennictwa. Mimo to powtórzyła potem ojcu me słowa, ja zaś usłyszałem, jak odrzekł wzdychając ciężko:

„Nieszczęsny to chłopiec! Mógłby być tak szczęśliwy, zostając z nami. Gdy ruszy w podróż, zostanie najędźniejszym pod słońcem stworzeniem... Nie, za nic na to nie zezwolę!”

Minął znowu rok. Ojciec i matka nalegali, bym obrał jakiś określony zawód, ja jednak głuchy byłem na ich serdeczne napomnienia i wreszcie zawrzałem gniewem z powodu tego oporu przeciw mojej woli.

Pewnego dnia podjąłem małą wycieczkę do miasta portowego Hull, odległego parę tylko mil od Jorku. Tu spacerowałem po przystani, tęsknie spoglądając na rozliczne małe i wielkie okręty przybyłe z obcych krajów lub sposobiące się do odjazdu w świat daleki. Wszędzie powiewały flagi różnobarwne, a ogorzali marynarze pracowali, śpiewając.

— Ach! — westchnąłem. — Czemuż ja tego samego uczynić nie mogę! Ach, czemuż mi nie wolno ruszyć w radosny, słoneczny świat!

Nagle czyjaś dłoń spoczęła mi na ramieniu, a obejrzawszy się ujrzałem kolegę szkolnego tuż przy sobie. Pozdrowił mnie serdecznie, spytał, co robię w Hull i powiedział, że okręt jego ojca stoi tu na kotwicy, nazajutrz zaś rusza do Londynu. Znając jeszcze ze szkoły me skłonności marynarskie zaproponował, bym siadł na ich okręt i wraz z nim odbył tę podróż, która nic mnie kosztować nie będzie.

Pokusie tej oprzeć się nie byłem w stanie.

Nie myśląc o rodzicach, nie zawiadamiając ich nawet o zamiarze, nie bacząc zgoła na skutki tego nierozsądnego, lekkomyślnego i buntowniczego postępku, wsiadłem dnia 1 września na odpływający do Londynu okręt.

Zaprawdę, nigdy chyba wcześniej nie zaczęła się niedola młodego awanturnika i nie trwała dłużej od mojej.

Zaledwie okręt wypłynął z rzeki Humbera i znalazł się na pełnym morzu, zaczął dąć gwałtowny wicher, wzburzający morze do głębi. Niebawem zapadłem ciężko na morską chorobę, a jednocześnie ogarnął mnie wielki strach.

Poznałem teraz całą szkaradę mego postępku i powiedziałem sobie, że opuszczając potajemnie i niewdzięcznie rodziców, w pełni zasługuję na najcięższą karę nieba. Wspomniałem wszystkie ich prośby i napomnienia, a wyrzuty sumienia dręczyły mnie na równi z chorobą.

Ile razy nadpływała zielona, piana fala, sądziłem, że pochłonie okręt, a ilekroć zjeżdżaliśmy z grzbietu bałwana w głąb, pewny byłem śmierci w tej otchłani. Byłem nowicjuszem i nie miałem wyobrażenia o tym wszystkim.

Targany rozpaczą uczyniłem ślub, że nie dotknę już stopą pokładu, jeśli Bóg pozwoli mi dostać się szczęśliwie na ląd stały, że wrócę co prędzej do ojca i uczynię wszystko, co rozkaże. Teraz poznałem, że szeroki gościniec życia, którym zawsze kroczył, to droga najlepsza, najpewniejsza. O ile mogłem zapamiętać, ojciec wiódł zawsze żywot wygodny, miły i nie był nigdy narażony na burze. Dostawszy się na ląd, powrócę, myślałem, niezwłocznie do domu niby syn marnotrawny, o którym wspomina Biblia.

Te rozsądne myśli trwały jednakże tylko tak długo, jak długo huczała burza. Dnia następnego wróciła pogoda, wiatr ustał, a wieczór nastał cichy i piękny. Morze łśniło, żagle ledwo wzdymał lekki wiatr, a zachód słońca był tak cudny, że nigdy chyba nie widziałem podobnego.

— Jak się czujesz, Robinsonie? — spytał mnie kolega szkolny widząc, że wychodzę na pokład. — Już ci lepiej... nieprawdaż? Pewnie bałeś się trochę, gdyśmy tej nocy mieli pełno wiatru w czapce?

— Wiatru w czapce? — zdziwiłem się. — Co mówisz? Wszak to był straszliwy orkan!

— Orkan? Ha... ha... mój drogi, orkan wygląda całkiem inaczej. Mając dobry statek pod nogami i należytą przestrzeń w koło siebie, nic sobie nie robimy z takiego wietrzyku. Zaraz widać, że jesteś szczurem lądowym. Chodźże, łykniemy sobie po jednym, a zaraz o wszystkim zapomnisz.

Uśluhałem go i w istocie niebawem zapomniałem przy szklance nie tylko o przebytych przygodach, ale także o wszystkich dobrych postanowieniach.

Przez następnych pięć dni panowała pogoda, a życie na pokładzie podobało mi się niezmiernie. Ale Opatrzność miała dla mnie jedną jeszcze próbę i to tak straszliwą, że najbardziej zatwardziały zbrodniarz nie mógłby lekceważyć jej doniosłości oraz cudowności ocalenia z pewnej już zraty.

Szóstego dnia podróży stanęliśmy na kotwicy w przystani Yarmouth. Od czasu owej burzy wiatr był za słaby lub też przeciwny, a i teraz wiał od tygodnia z południowego zachodu, tak że nie dało się wpłynąć w koryto Tamizy. W przystani zebrano się dużo jeszcze innych statków, a wszystkie czekały na wiatr pomyślny, by dotrzeć do Londynu.

Po kilku dniach powiało istotnie raźniej, a potem nawet silnie. Ale przystań w Yarmouth miała sławę bezpieczeństwa, a nasza lina kotwiczna była nowa, przeto załoga nie zwracała uwagi na pomyślny wiatr i spędzała czas na próżnowaniu i wesołej zabawie, gdyż w czasie takiego stanu pogody ustaje zazwyczaj praca na okręcie.

Ósmego jednak dnia wichur wzrósł tak dalece w siłę, że zwołano całą załogę, by zdjąć na pokład sztangi, jak zwą się przedłużenia dolne masztów, w celu zmniejszenia kołysania statku. Około południa fala była taka, że okręt zapadał rufą głęboko, a ogromne masy wody przelewały się po pokładzie. Kapitana ogarnął niepokój, czy aby skutkiem tego nie pęknie lina kotwiczna, kazał więc spuścić drugą kotwicę.

Burza rosła z każdą chwilą, a ja spostrzegłem strach i niepokój na twarzach załogi. Kapitan nie mógł usiedzieć w kajucie, biegał tu i tam z największą starannością, czyniąc wszystko, co mogło ocalić statek, ale miał słabą bardzo nadzieję.

— Niech nas Bóg chroni! — mruknął, przebiegając koło mojej kabiny. — Jesteśmy zgubieni!

Ległem cicho na posłaniu. Nie sposób opisać, co się ze mną działo. Sądziłem, że przetrwał co najgorsze, a tu słowa kapitana przejęły mnie strachem śmiertelnym. Po chwili wyszedłem na pokład i rozejrzałem się. Boże wielki, cóż za widok uderzył me oczy! Bałwany wielkości ogromnych gór toczyły się ze wszystkich stron, a co kilka minut jeden z nich walił z hukiem gromu na nasz pokład. W chwilach, kiedy mogłem dostrzec coś poprzez rozpryskującą się wodę, widziałem nieopisane zniszczenie. Mnóstwo okrętów miało teraz odrąbane maszty, niektóre zerwały się z kotwic i pędziły bez ratunku w stronę pełnego morza, zaś ze słów naszej załogi wywnioskowałem, że stojący tuż obok nas statek zatonął z całą załogą i ładunkiem.

Wieczorem przyszli do kapitana sternik i pilot i poprosili o pozwolenie ścięcia masztu przedniego. Nie chciał on się zrazu zgodzić, ale uległ w końcu przedstawieniom pilota. Odrąbano maszt przedni, ale przez to został tak dalece osłabiony maszt główny, że go także odrąbać musiano.

Trudno opisać stan nasz. Mimo że upłynęło od dnia tego lat wiele, pamiętam, iż myśl o sprzeniewierzeniu się mym dobrym postanowieniom dręczyła mnie wówczas więcej, niż obawa śmierci.

Nie przypuszczałem, by burza miała wzrosnąć jeszcze, a jednak tak się stało. Czegoś podobnego nie pamiętali najstarsi marynarze naszej załogi.

Okręt nasz był doskonale i silnie zbudowany, ale ładunek jego, nader ciężki, budził obawę, że możemy lada chwila zatonać. Kapitan i pilot, oraz kilku maszynistów uczynili teraz coś, co się rzadko zdarza na statku, mianowicie, zaczęli gorąco błagać Boga o ocalenie.

Około północy rozeszła się wieść, że statek ma dziurę i pod pokładem woda dosięga czterech stóp. Wszyscy ruszyli do pomp, a ja doznałem takiego wstrząsu, że padłem na posłanie w pół omdlały. Ale przywrócono mi rychło przytomność, mówiąc, że dotąd mo-

głem nie brać się do żadnej roboty, teraz jednakże muszę pompować jak każdy, co pewnie potrafię. Poszedłem tedy na pokład i jałem pompować co sił. Podczas tej pracy kazał kapitan dać strzał armatni. Był to sygnał ostrzegawczy dla kilku okrętów węglowych, które przeciąwszy liny kotwiczne starały się dostać na pełne morze i nie dość szybko robiły nam miejsce wolne. Nie wiedząc co to znaczy, pomyślałem po strzale, że się naszemu statkowi przydarzyło coś strasznego. Przeniknął mnie lodowaty dreszcz i padłem bez zmysłów. Marynarze nie zwrócili na mnie uwagi, ktoś inny zajął moje miejsce, a sądząc, że umarłem, odsunął mnie nogą na bok. Po długim dopiero czasie odzyskałem przytomność.

Mimo pompowania woda podnosiła się coraz wyżej. Burza zelżała co prawda trochę, ale jasne było już, że okręt nie utrzyma się długo na powierzchni. Kapitan kazał dawać strzały, skutkiem czego stojący opodal na kotwicy statek wysłał nam łódź ratunkową. Dzielna jej załoga położyła na szali życie, by dotrzeć do nas po wzburzonych falach, ponieważ się jednak okazało niemożliwe przybicie do boku okrętu, rzuciliśmy z wielkim trudem linę i przyciągnęliśmy łódź pod rufę, czyli tylną część statku. Potem z wielkim niebezpieczeństwem spuściliśmy się na dół. Trudno było nawet myśleć o przepłynięciu na statek przy takim stanie morza, przeto postanowiono wpędzić łódź na mieliznę. Kapitan przyobiecał załodze pełne odszkodowanie na wypadek, gdyby łódź odniosła jakies uszkodzenie.

W kwadrans zaledwie po wejściu do łodzi ujrzeliśmy, jak nasz piękny okręt idzie na dno.

Zbliżyliśmy się z wolna do lądu i niebawem ujrzeliśmy na wybrzeżu mnóstwo biegających żywo ludzi, którzy usiłovali przyjąć nam z pomocą. Znalazła się jednakże osłonięta od wiatru zatoka ułatwiająca wylądowanie i niebawem stopy nasze dotknęły stałego lądu. Ruszyliśmy do Yarmouth i jako biedni rozbitkowie doznaliśmy ze strony władz i ludności jak najżyczliwszego przyjęcia. Dano nam dobre kwatery i nawet zaopatrzone w pieniądze na drogę do Hull lub Londynu.

Cała moja niedola skończyłaby się, gdybym miał rozum i wrócił do Hull, a stamtąd do domu. Ale los mój gnał mnie coraz to dalej, tak żem się nie mógł oprzeć.

Kolega szkolny, syn właściciela okrętu, który mnie skusił do podróży, miał teraz gorszą jeszcze ode mnie minę. Przez dwa dni pobytu w Yarmouth nie widziałem go, gdyż zakwaterowano nas w innych domach, gdyśmy się jednak spotkali, spojrział na mnie smętnie. Opowiedział swemu ojcu, kim właściwie jestem i wyznał, że tę podróż podjąłem tylko na próbę.

„Młodzieńcze! — powiedział do mnie z wielką powagą właściciel okrętu. — Powinieneś to, co zaszło, uznać za ostrzeżenie oraz wyraźny znak Opatrzności i wyrzec się na zawsze zawodu żeglarskiego, do czego nie jesteś stworzony”.

„Panie! — spytałem — czyż ta katastrofa skłoni pana do zaprzestania morskich podróży?”

„Ze mną inna sprawa! — powiedział. — Żeglarstwo jest mym zawodem, a więc także obowiązkiem. Ty jednak, młodzieńcze, podjąłeś jazdę próbną i doznałeś przedsmaku tego, co cię czeka w przyszłości, gdybyś trwał dalej w uporze. Może być nawet, że całe nieszczęście wywołała twa obecność na pokładzie! Któż jesteś, młodzieńcze, i co cię skierowało na morze?”

Opowiedziałem cały przebieg sprawy.

„Czymże zgrzeszyłem, że mnie Bóg pokarał takim intruzem, takim nieszczęśnikiem na okręcie! — zawołał wysłuchawszy mnie. — Za tysiąc funtów szterlingów nie zgodziłbym się nawet stanąć z tobą, młodzieńcze, na jednym pokładzie!”

Po chwili jednak uspokoił się i zalecił mi, bym wracał do ojca, gdyż najwidoczniej moje skłonności żeglarskie nie podobają się niebu.

„Bądź pewny, młodzieńcze — zakończył — że jeśli nie weźmiesz sobie do serca tego znaku Opatrzności, to, gdziekolwiek się zwrócisz, natrafisz na nieszczęście i rozczarowanie, jak ci to przepowiedział ojciec twój!”

Rozstaliśmy się i już go więcej nie spotkałem. Ale rady, jakich mi udzielił, były daremne.

Mając trochę pieniędzy, pojechałem drogą lądową do Londynu, a przez cały czas wahałem się, czy nie lepiej byłoby wracać do domu.

Uczyniłbym to był jak najchętniej, ale było mi wstyd, zarówno sąsiadów i znajomych, jak też ojca i matki. Tak to bywa z nierozsądnymi. Nie wstydzą się robić źle, a odrzucą ich skrucha, nie mają odwagi zawrócić z błędnej drogi i wyznać swego przewinienia.

Przybywszy do Londynu wyszukałem sobie niebawem okręt, który odpływał ku wybrzeżom Gwinei w Afryce.

Gdybym miał tyle bodaj rozsądku, by przyjąć miejsce prostego marynarza, to pracując usilnie wyuczyłbym się był przynajmniej doskonale zawodu żeglarskiego i doszedł kiedyś do stanowiska sternika albo nawet i kapitana. Ale czując grosz w kieszeni, trwałem dalej w uporze i, grając rolę pana nie tykającego żadnej roboty na pokładzie, nie nauczyłem się też niczego.

Posiadałem wówczas czterdzieści funtów szterlingów, które mi przysłali krewni, uproszeni listem wysłanym z Londynu. Pewny jestem jednak, że większą część tej sumy dostarczyła matka moja.

Idąc za radą właściciela okrętu, człowieka bardzo zacnego, nabyłem za te pieniądze różnych drobiazgow, używanych w handlu zamiennym z murzynami, i notuję tu zaraz, że podróż miała przebieg pomyślny oraz że wróciłem do Londynu z zyskiem trzystu funtów szterlingów w postaci złotego proszku.

Zostałem tedy handlarzem gwinejskim i uprawiałem to przez lat kilka z coraz większym powodzeniem, gdy mnie zaś losy zapędziły do Brazylii, kupiłem tam tanio piękną plantację. Dość długo ciągnąłem z niej niezłe zyski, aż raz pewnego uległem namowiem drugiego plantatora i przysposobiłem sobie okręt w celu sprowadzenia z Afryki niewolników potrzebnych nam do roboty na naszych polach trzciny cukrowej.

ROZDZIAŁ DRUGI

— Robinson jedzie kupować niewolników i rozbija się po raz drugi z okrętem. Cudowne ocalenie. — Pierwsza noc na nieznanym wybrzeżu. — Robinson dosięga wpław okrętu i buduje tratwę. — Nabiera pewności, że znajduje się na wyspie. — Magazyn zapasów Robinsona.

Dnia pierwszego września roku Pańskiego 1659 wstąpiłem na pokład okrętu, w ósmą rocznicę dnia, w którym opuściłem w Hull ojca i matkę i lekkomyślnie ruszył na oślep w szeroki świat.

Okręt nasz miał sto dwadzieścia ton pojemności, posiadał sześć armat i liczył prócz kapitana, mnie i chłopca kajutowego, czternastu ludzi załogi. Ładunek nasz stanowiły paciorki szklane, muszle, zwierciadła ręczne, noże, nożyczki, siekiery i inne podobne przedmioty bardzo popłatne w handlu z murzynami.

Żeglaliśmy ku północy wzdłuż wybrzeży Brazylii, potem zaś, osiągnąwszy dziesiąty stopień północnej szerokości, mieliśmy skierować się wprost ku Afryce. Pogoda była piękna, ale upał panował wielki. Dotarwszy do przylądka San Augustino, skierowaliśmy okręt na pełne morze i łód znikł nam niebawem z oczu. Po dwunastu dniach minęliśmy równik i znaleźliśmy się mniej więcej na siódmym stopniu szerokości północnej, gdy powiało straszliwe tornado, czyli trąba powietrzna i odrzuciło nas daleko z drogi obranej.

Burza nadciągnęła zrazu od południowego wschodu, potem runął wicher od północnego zachodu. Potęgą trąby powietrznej była taka, że zrezygnowawszy z wysiłków żeglowania, daliśmy się wichrom pędzić bezwolnie. Trwało to przez wiele dni, każdego zaś ranka sądziliśmy, że nie doczekamy wieczoru. Fale splukały z pokładu dwu marynarzy i chłopca kajutowego, którzy zatonęli.

Dwunastego dnia burza nieco zmaląła, a kapitan stwierdził za pomocą obserwacji słońca, że jesteśmy mniej więcej na jedenastym stopniu północnej szerokości, a więc na wysokości Gujany, powyżej Amazonki, niedaleko ujścia rzeki Orinoko. Zaczęliśmy radzić, co należy czynić, gdyż okręt poniósł uszkodzenia. Kapitan sądził, że najlepiej wrócić do Brazylii.

Nie zgodziłem się na to i zaproponowałem jazdę do wysp Barbados, do których spodziewaliśmy się dotrzeć w ciągu dni piętnastu.

Zmieniwszy tedy kierunek pożeglaliśmy w stronę północno-zachodnią, by znaleźć pomoc na jednej z wysp Indii zachodnich. Ale los inaczej zrządził.

Ledwośmy przebyli kawałek drogi w tym kierunku, zahuczała ponownie burza i poniosła nas tak daleko na zachód, że mniej baliśmy się teraz zatonięcia na pełnym morzu, niż rozbicia o nieznanne wybrzeże i zjedzenia przez ludożerców.

Wśród tej niedoli rozległo się pewnego ranka wołanie: Łąd! Wybiegliśmy na pokład, by zobaczyć, gdzie jesteśmy, jednocześnie jednakże okręt doznał takiego wstrząśnienia, że zatrzeszczał w więzaniach. Wpadliśmy na ławę piaszczystą, statek nasz stanął nagle, a bałwany przeleciały po pokładzie z taką mocą, że ledwośmy ująć zdołali przed zatonięciem.

Nie sposób opisać przerażenia załogi. Nie wiedzieliśmy, czy jesteśmy przy wyspie, czy stałym lądzie, natomiast nie ulegało wątpliwości, że jeśli burza nie ustanie rychło, okręt nasz rozpadnie się na kawałki. Wcisnięci w różne kąty dla ochrony przed falami, spoglądaliśmy na siebie bladzi, czekając godziny śmierci.

Jednakowoż okręt wytrzymał dłużej, niż to było do przewidzenia i kapitan stwierdził na koniec, że wiatr przycicha.

Nie mogąc statku uwolnić z mielizny, chcieliśmy uratować przynajmniej samych siebie. Łódź wisząca u rufy została dawno już roztrzaskana, mieliśmy jednakże drugą, większą, i tę właśnie udało się, po wielu trudach, szczęśliwie spuścić na wodę.

Nie biorąc ze sobą niczego, weszliśmy jakeśmy stali w wąty stateczek, któremu lada chwila groziło rozbicie o ściany okrętu. Po nadludzkich wprost wysiłkach zdołaliśmy odbić od statku, i wśród ustawicznego niebezpieczeństwa popłynęliśmy w jedenastu, zdając się na wolę fal i łaskę bożą.

Położenie było straszne, wiedzieliśmy bowiem, że wśród takiej burzy otwarta barka nie utrzyma się długo na powierzchni, a gdybyśmy nawet zdołali dotrzeć do lądu, to niezawodnie łódź nasza roztrzaska się o skały nadbrzeżne, tak że w jednym i drugim wypadku śmierć nam zagraża niechybna. Mimo wszystko, poleciwszy dusze Bogu, wiosłowaliśmy dzielnie w stronę wybrzeża.

Jedyną naszą nadzieją było, że może znajdziemy zatokę osłoniętą od wiatru lub ujście rzeki i po spokojniejszych wodach dotrzemy do lądu.

Zaledwie jednak upłynęliśmy półtorej mili morskiej, wzniosła się poza nami ogromna jak góra ściana wody i zaczęła nas ścigać. Uciekaliśmy niby jagnię przed lwem, ale potwór dosięgnął nas i nim zdołaliśmy zebrać zmysły, łódź została przewrócona, a ja uczułem, że zapadam w niezmierną głębię.

Byłem wyśmienitym pływakiem, ale cóż mi to mogło pomóc w tym razie. Wir porwał mnie na dół, potem zgola bez wysiłku z mej strony pchnął ku lądowi. Fala odpłynęła, ja zaś zostałem na piasku. Na poły oszalały posiadałem jednak jeszcze tyle przytomności, że zauważyłem, iż ląd był bliższy, niż sądziłem. Zerwawszy się na nogi zacząłem co sił pędzić w głąb lądu, by mnie nie zabrała powracająca fala. Daremnie! Nieprzyjaciel szybszy był nierównie ode mnie. Ujrzałem za sobą nową górę, która dopędziła bezbronnego i zatopiła na jakieś dwadzieścia stóp wysokim słupem wody. Nieodporna moc pociągnęła mnie szybko w przepaść i już zacząłem tracić zmysły, wiedząc tylko tyle, że umieram, gdy nagle uczułem, iż idę w górę, a za chwilę głowa moja i ręce wynurzyły się z wody. Odetchnąłem głęboko i nabrałem trochę otuchy. Nowy bałwan zaniósł mnie na ląd, uczułem ponownie ziemię pod nogami, znowu jak przedtem zacząłem uciekać i znowu przegoniła mnie fala, zagarniając ze sobą. Wychyliwszy się na powierzchnię spostrzegłem, że mnie prąd niesie z szaloną szybkością ku zębatej skale, sterczącej czarno spośród śnieżnobiałej piany. Pomyślałem jeszcze, że tu będzie mój grób, westchnąłem do Boga... potem zaś otrzymałem straszliwy cios, tak że straciłem przytomność.

Przyszedłszy do siebie zauważyłem, że leżę wysoko na skale. Fale cofnęły się daleko, ale zaczęły właśnie sposobić nowy napad. Znając już ich gwałtowność i chyżość, chwyciłem z całej siły oburącz cypel skalny, by nie zostać splukany. Nastąpił zalew, pokryła mnie zielonawa grzywa, ale trzymając się rozpaczliwie, zdołałem ująć zagłady. W chwili, gdy mógł chwycić oddech, zląłem śpiesznie na dół i zacząłem bieć jak szalony w głąb wybrzeża wznoszącego się dość stromo tuż za skalą. Dotarłszy tam, gdzie nie sięgało już morze, usiadłem w trawie.

Zostałem ocalony i złożyłem z całego serca gorącą podziękę Bogu. Pomyślałem o towarzyszach moich, którzy potonęli zapewne, gdyż nie dostrzegłem już nigdy ich śladu,

z wyjątkiem trzech kapeluszy znalezionych potem na brzegu i dwu trzewików z dwu różnych par.

Daleko, pośród spienionego morza, widniał rozbity okręt, ale był tak odległy, że ledwo go dostrzec mogłem przez białawą mgłę wodną. Wielki Boże! Jakimże sposobem zdołałem przez taką przestrzeń dostać się na ląd?

Radowało mnie niezmiernie ocalenie, ale byłem w strasznym położeniu. Przemoczony na wskroś, nie miałem innej odzieży, ani jedzenia, ani picia, ani też broni, która by mi pozwoliła ubić zwierzynę na posilek, czy obronić się przed napastnikiem. Znalazłem w kieszeni nóż, fajkę i trochę mokrego tytoniu. Ta bezsilność przepoiła mnie taką rozpaczą, że się zerwałem i zacząłem biegać po brzegu jak szalony.

Nadchodziła noc, ja zaś jałem rozmyślać, co będzie, jeśli znajdują się tu drapieżne zwierzęta, wychodzące nocą na łów.

Nie mając wyboru, wdrapałem się na grube drzewo, stojące w pobliżu, by obyczajem ptaków przemocować pośród gałęzi. Przedtem jeszcze wyciąłem grubą pałkę dla obrony, usadowiłem się, jak mogłem najwygodniej i zmęczony straszliwie zapadłem zaraz w głęboki sen.

Gdy się zbudziłem, dzień był już jasny, burza przycichła i morze odzyskało nieco spokoju. Spostrzegłem z wielkim zdumieniem, że przyplływ podniósł okręt z ławicy i podczas nocy zapędził go w pobliże skały, której zawdzięczałem swoje ocalenie. Okręt stał prosto i spokojnie, mnie zaś ogarnęło pragnienie dotarcia doń, celem zabrania potrzebnych mi nieodzownie przedmiotów.

Zlazłem co prędzej z drzewa i zaraz spostrzegłem leżącą opodal na brzegu łódź. Pośpieszyłem ku niej, ale zastąpiła mi drogę woda tak szeroko rozlana, że nie mogłem przekroczyć tej przeszkody. Wróciłem tedy i zacząłem rozmyślać, w jaki sposób mógłbym się dostać na okręt.

Okolo południa morze przybrało zupełnie spokojny wygląd i z powodu odpływu odsłoniło tak znaczny szmat lądu, że mogłem dotrzeć pieszo do okrętu na odległość ćwierć mili angielskiej.

Przejął mnie ból, przyszło mi bowiem na myśl, że zostając na pokładzie, wszyscy towarzysze moi ocaleliby, a los mój w ich gronie byłby całkiem inny. Rozważania te jednak były daremne, przeto niewiele myśląc zrzuciłem odzież i popłynąłem do okrętu. Ściany jego były gładkie i sterczały pionowo z wody, tak że zrazu straciłem nadzieję dostania się na pokład. Po chwili jednak dostrzegłem zwisający z burty kawałek liny. Chwyciwszy go, wygramoliłem się na okręt.

Tkwiał on w ławicy piasku w ten sposób, że dziób jego był pod wodą, a cała część tylna sterczała w górę. Tej nader szczęśliwej okoliczności zawdzięczać należało, że komory magazynowe pozostały suche. Wślizgnąłem się tam i, czując głód, napełniłem kieszenie spodni odłamkami suchara i pochłaniałem je, prowadząc dalej poszukiwania. Brakło mi teraz tylko czółna, by przewieźć na ląd przedmioty, które sobie postanowiłem przywłaszczyć.

Sama chęć nie mogła tutaj starczyć, przeto musiałem jąć się pracy. Na pokładzie było kilka zapasowych rei i sztang, które mi się nadały, uruchomiłem je tedy i z wielkim wysiłkiem spuściłem poza pokład, związawszy linami, by nie odpłynęły z falą. Potem zszedłem na dół, związałem jedne przy drugiej, tak że utworzyły tratwę, potem nakryłem je deskami w poprzek i mogłem już po całej powierzchni swobodnie chodzić. Ale tratwa była jeszcze zbyt lekka, by unieść większy ładunek, poprzecinałem tedy piłą ciesielską na trzy części leżące na pokładzie długie belki masztowe i po niesłychanych wysiłkach uzupełniłem nimi mą tratwę. Nigdy przedtem nie byłbym zdolny wykonać takiej niesłychanej pracy, ale w niedoli człowiek poznaje własne siły i uczy się z nich korzystać.

Tratwa była teraz dość silna, zacząłem tedy ładowanie. Nasamprzód umieściłem na niej trzy skrzynie marynarskie, wysypawszy ich zawartość. W jedną z nich włożyłem suchary, ryż, trzy wielkie sery holenderskie, pięć kawałów suszonej koziny i resztkę mieszaniny różnego ziarna, którym na pokładzie karmiono kury. Była to przeważnie pszenica i ryż, ale potem zauważyłem z wielkim rozczarowaniem, że dobrały się do tego szczury i część zjadły, a część zniszczyły. Zajęty tą pracą, spostrzegłem jednak, że nastąpił przyplływ, a pozostawione na brzegu surdut, kamizelkę i koszulę zabrała woda. Zacząłem tedy

szukać odzieży i znalazłem sporą jej ilość. Brałem jednak na razie tylko najpotrzebniejsze rzeczy, głównie zaś narzędzia, które postanowiłem zawieźć na ląd. Po długim szukaniu odnalazłem skrzynię cieśli pełną narzędzi. Był to dla mnie skarb większy, niż gdybym odkrył ładunek złota wypełniający cały okręt.

Następnie zwróciłem uwagę na broń i amunicję. Wiedziałem, że są w kajucie dwie dobre strzelby na ptactwo i dwa pistolety. Zabezpieczyłem je tedy przede wszystkim, wraz z kilku pełnymi prochu rogami, workiem śrutu i kul oraz dwoma długimi, ostrymi szpadami. Wiedziałem również, że są na okręcie trzy beczki prochu. Po długich poszukiwaniach znalazłem je w głębi, dwie były suche, trzecia jednakże przemokła. Umieściwszy na tratwie te dwie beczki oraz broń, uznałem, że ładunek jest dostateczny. Zaraz jednak stanęło przede mną pytanie, w jaki sposób zdołam dotrzeć z tym wszystkim do lądu, nie posiadając wiosel ni żagla, wobec czego najłżejszy podmuch wiatru mógł te moje skarby wypędzić na pełne morze i zatopić.

Trzy okoliczności dodawały mi jednak otuchy. Morze było gładkie jak zwierciadło, nastał właśnie przyływ, pędzący wodę ku lądowi, a po trzeciej miałem wiatr z tyłu. Znalazłem jeszcze na pokładzie kilka krótkich, połamanych żerdzi, dodawszy więc jeszcze do ładunku dwie piły, siekiery i młot, ruszyłem odważnie w drogę. Wszystko poszło wyśmienicie, zauważyłem też, że prąd niesie mnie tuż obok miejsca, gdzie po raz pierwszy wylądowałem. To mi dało nadzieję, że odkryję ujście strumienia lub rzeki, w które wdziera się fala morska podczas przyływu i w ten sposób natrafię na przystań.

Nie omyliłem się. Po krótkiej chwili zobaczyłem rozpadlinę wybrzeża, w którą wpadała szybkim prądem woda morska. Starłem się też, ile mogłem, utrzymać tratwę na środku tego pasa.

Teraz jednak omal nie zdarzyło mi się ponowne rozbicie, które by do reszty pograżyło całą moją nadzieję i złamało mi serce. Nie znałem głębokości wody, toteż tratwa wpadła jedną stroną na ławicę piasku, druga zaś zanurzyła się w wodę. Cały mój drogocenny ładunek byłby się zesunął, gdybym nie podparł skrzyni z całej siły plecami.

W takiej pozycji stałem przeszło pół godziny, aż woda się podniosła i oswobodziła tratwę. Ruszyłem dalej i ku wielkiej radości ujrzałem ujście niewielkiej rzeczki.

Nie chcąc się dać zapędzić zbyt daleko w koryto, jąłem wypatrywać przystani i niebawem odkryłem po prawej stronie małą zatokę, w którą wprowadziłem z trudem swą tratwę, mając się różnych sztuczek. Podpłynąłem jak najbliżej spadzistego brzegu, ale nie chcąc po raz drugi narażać ładunku, osadziłem mój statek na kotwicy, wbijając z przodu i z tyłu żerdzie w piasek. Potem czekałem cierpliwie na odpływ, który też osadził na suchym gruncie tratwę i ładunek.

Trzeba było teraz zbadać okolicę, celem znalezienia bezpiecznego miejsca dla siebie i swych ruchomości. Nie wiedziałem, gdzie jestem, na wyspie czy lądzie stałym, nie wiedziałem też, czy mieszkają tu ludzie i czy mam się obawiać dzikich zwierząt. W odległości niespełna mili angielskiej leżało strome wzgórze, poza nim zaś szereg innych, w kierunku północnym. Uzbrojony w strzelbę, pistolet i zabrawszy róg z prochem, wszedłem nie bez trudności na szczyt. Stąd jednym spojrzeniem ogarnąłem swe położenie. Byłem na wyspie pośród pełnego morza! Kędyś w dali, spostrzegłem kilka skał, zaś w kierunku zachodnim, jak mi się wydało dwie jeszcze małe wyspy. I na tym koniec.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyspa była bezludna, a także nie dostrzegłem zwierząt drapieżnych, tylko ogromne stada nieznanego mi zgoła ptactwa. Wracając zastrzeliłem wielkiego ptaka, siedzącego na drzewie u skraju lasu. Mój strzał był pewnie pierwszym, jaki od stworzenia świata padł na tej wyspie. Na jego odgłos podniosły się wokół z lasów istne chmary ptaków, wrzeszczących przeraźliwie. Zastrzelony przeze mnie musiał to być, sądząc po szponach i zakrzywionym dziobie, jakiś jastrząb nieznanego mi gatunku, a mięso jego cuchnęło brzydko i nie było jadalne.

Wróciwszy do tratwy wziąłem się do przenoszenia ładunku na ląd, co mi zajęło czas do wieczora. Chcąc się zabezpieczyć na noc, zbudowałem z pak i bierwion tratwy rodzaj chaty, w której rychło zasnąłem. Nazajutrz pierwszą moją myślą była ponowna wyprawa na okręt. Rozwahałem długo, czy jechać tratwą, ale w końcu postanowiłem popłynąć jak wczoraj i zbudować nową tratwę pod nowy ładunek.

Tym razem szło mi dużo lepiej niż przedtem, bowiem doświadczenie uczyniło mnie mądrzejszym. Znalazłem w komorze cieśli kilka worków gwoździ i śrub, dluto, dwa tu-

ziny siekier i pewien nadzwyczaj cenny przyrząd, który zwie się kamieniem szlifierskim i służy do ostrzenia narzędzi. Prócz tych skarbów zabrałem jeszcze kilka żelaznych kilofów, siedem sztucerów na kule, trzecią strzelbę na ptaki, dwie beczułki kul i trochę prochu. Wielki wór śrutu i rulon ołowiu musiałem skutkiem ich ciężaru zostawić.

Uzpełniłem ładunek odzieżą, jaką tylko mogłem znaleźć, zabrałem też mały żagiel, matę na ścianę i trochę pościeli, po czym ruszyłem z powrotem i dotarłem szczęśliwie i z wielką radością do lądu.

Niepokoili mnie przez cały czas pobytu na okręcie myśl, że może jakieś zwierzę opanowało i zniszczyło moje zapasy, ale znalazłem wszystko nietknięte. Na jednej skrzyni siedziało istotnie jakieś stworzenie, podobne do dzikiego kota. Uciekło ono przede mną, ale niebawem przystanęło i spojrzało wymownie, jakby chciało zawrzeć znajomość. Zagroziłem mu strzelbą, ale to nie podziało wcale. Rzuciłem mu kawałek suchara, mimo że nie należało być rozrzutnym. Kot ten podszedł, obwąchał chleb, potem zjadł go ze smakiem i spojrzał znowu, jakby chciał więcej. Wzruszyłem z żalem ramionami, a kot odszedł zadowolony wielce z przyjęcia.

Sprowadziwszy na ląd drugi ładunek, zbudowałem z żerdzi i żagla niewielki namiot i umieściłem tam przedmioty, które mógł uszkodzić deszcz lub słońce, wokoło zaś ustawiłem puste paki i beczki, tworząc wał ochronny przeciw wrogim ludziom czy też zwierzętom.

Wejście zatarasowałem od wnętrza deskami, od zewnątrz wysoką paką, potem rozłożywszy na ziemi pościel i umieściwszy w głowach pistolety, a nabitą strzelbę tuż pod ręką, ległem spać, sen zaś przyszedł zaraz, gdyż znużyła mnie ciężka praca.

Posiadłem największy chyba magazyn, jaki kiedykolwiek człowiek założył dla siebie samego, a jednak nie byłem zadowolony. Jak długo okręt stał prosto, czułem chęć wyratowania zeń wszystkiego, co się tylko da i ruszyłem podczas najniższego stanu wody znowu na pokład. Za trzecią wyprawą pozyskałem znaczną ilość lin oraz sznurów i nici, nie zapominając też o kawale płótna służącego do naprawy żagli oraz o beczce z mokrym prochem.

Za szóstym razem miałem już w posiadaniu wszystko co mi mogło być użyteczne i umyśliłem teraz podjąć rozbiórkę cięższych części statku. Zbudowałem z rei i resztek masztów ogromną tratwę i złożyłem na niej ciężkie liny kotwiczne, przepiłowane naprzód na części, oraz żelazno, jakie tylko mogłem powyrywać. Ale w drodze powrotnej opuściło mnie dotychczasowe szczęście. Tratwa była wielka i nie mogłem nią kierować należycie z powodu obciążenia, toteż wywróciła się w ujściu rzeczki, ja zaś wraz z ładunkiem wpadłem w wodę. Straciłem niemal wszystko, gdyż tylko liny zdołałem wydobyć potem podczas odpływu.

Byłem od trzynastu dni na wyspie, a jedenaście wypraw urządziłem na okręt, z którego zabrałem tyle, ile tylko zdołały zabrać dwie ludzkie ręce. Pewny jestem, że przewiozłbym na ląd częściami cały statek, gdyby tylko dopisała pogoda.

Za dwunastym jednak razem jął dąć wiatr. Wziąłem właśnie z szafy w kajucie dwie brzytwy, nożyczki, kilka noży, widelców oraz woreczek brazylijskich i europejskich złotych i srebrnych monet, gdy niebo pociemniało i zerwał się tak silny wicher od lądu, że nie tracąc czasu na budowanie tratwy ruszyłem z powrotem w pław. Ledwo zdążyłem w istocie dotrzeć do lądu, wicher dął coraz mocniej i jeszcze przed końcem przypływu zahuczała burza co się zowie.

Trwała ona przez całą noc, a gdy rankiem spojrzałem w stronę okrętu nie ujrzałem go już. Szczątki wychylały się odtąd ponad wodę tylko w pełni odpływu, tak że powinszowałem sobie gorliwości, z jaką wyzyskałem czas, ratując od zatrąty wszystko, co miało wartość.

ROZDZIAŁ TRZECI

— Robinson buduje obronne osiedle. — Dzikie kozy. — Robinson urządza kalendarz. — Rozszerzenie mieszkania. — Stolarka. — Robinson zaczyna pisać pamiętnik. — Myśli jego podczas Świąt Bożego Narodzenia. — Lamy. — Owies i ryż. — Burza i trzęsienie ziemi.

Umyśliłem sobie teraz zbudować porządne osiedle. Namiot mój stał dotychczas na grząskim torfowisku, tuż nad brzegiem, przeto na miejscu niezдоровym, a w dodatku zbyt odległym od słodkiej wody.

Rozejrzawszy się dobrze, obrałem małe płaskowzgórze, w pobliżu potoku u stóp pagórka, wznoszącego się pionowo. W skalnej jego ścianie było małe zagłębienie, niby wejście do jaskini, ale zbyt płytkie, by je zwać grotą.

Płaszczyna ta, porosła trawą, miała około stu metrów szerokości, była dwa razy tak długa, a leżała po północno-zachodniej stronie pagórka, tak że nie dochodziły tu niemal całkiem gorące promienie słońca. Postanowiłem zbudować sobie mieszkanie tu właśnie, wprost zagłębienia skały.

Zakreśliłem przed ścianą półkole o promieniu pionowym do skały, długości dziesięciu metrów, a średnicy dwudziestu mniej więcej.

Na obwodzie tego półkola wbilem w ziemię podwójny szereg grubych pali, około półszósta stóp wysokich, a końce ich zaostriłem potem. Stały one w odległości sześciu cali od siebie.

Potem wplotłem pomiędzy pale pocięte kawałki lin kotwicznych, wypełniając szczerze odstępy, zaś od wnętrza wzmocniłem palisadę skośnymi podporami, sięgającymi do połowy jej wysokości i w ten sposób stworzyłem mur, którego żaden człowiek ni zwierzę nie zdołało przebić ani przekroczyć. Była to praca nie tylko ciężka, ale także skomplikowana, zwłaszcza o ile szło o ścinanie drzew w lesie, utwierdzanie pali i zaciosywanie ich na końcach. Nie zostawiłem otworu na wejście, ale używałem krótkiej drabinki, którą zabierałem zawsze ze sobą. To mi dawało bezpieczeństwo przed napadem, potem jednakże wyszło na jaw, że ta ostrożność była zbyt bezużyteczna.

Niesłychane miałem trudności z przenoszeniem mych zapasów do fortecy, pośrodku której ustawiłem namiot o dachu z podwójnego płótna, który okryłem jeszcze serse-nigiem, czyli smołowanym płótnem, jakim się zatyka szpary w okręcie. Tu zawiesiłem również matę ścienną, która była ongiś, jak zapamiętałem, własnością sternika.

Po ukończeniu tej budowy zewnętrznej zacząłem pogłębiać wklęsłość w skale. Kamienie i ziemię, stamtąd dobyte, wynosiłem pod palisadę i usypałem tam wał na półtorej stopy wysoki. Rozszerzyłem w ten sposób mieszkanie swoje w głąb góry, tworząc piwnicę, która mi oddawała doskonałe usługi.

Na pracy tej zeszło dużo czasu. Wspomnę tutaj o pewnym zdarzeniu, jakie zaszło w porze roztrząsania planów budowy mego osiedla.

Pewnego parnego dnia burza z piorunami i grzmotami nawiedziła wyspę. Zaraz za pierwszą błyskawicą uczulem śmiertelny strach. Nie przeraziłem się oczywiście burzy, ale zadrzałem na myśl o mym prochu. Cóż by to było dla mnie za nieszczęście, gdyby piorun padł w beczkę i zapalił go! Wszakże proch ten był mi jedyną gwarancją obrony, a także warunkiem zdobycia pożywienia.

Pod tym wstrząsającym wrażeniem zaniechałem na razie budowy i zacząłem co prędzej sporządzać worki i skrzynie w celu podzielenia prochu na części, tak bym w razie eksplozji nie utracił wszystkiego naraz. Pracowałem nad tym całe dwa tygodnie i dokazałem, że dwieście czterdzieści funtów, jakie posiadałem, utworzyły blisko sto porcji. Beczkę z prochem mokrym, jako niegroźnym, umieściłem w grocie, którą nazwałem swą kuchnią, poszczególne porcje prochu rozmieściłem po różnych szczelinach i dziurach skalnych, nie zaniedbując porobić znaków, by je w razie potrzeby odnaleźć.

Przez cały ten czas wędrowałem codziennie ze strzelbą po okolicy w celu zbadania jej i polowania na zwierzynę. Zaraz za pierwszą wycieczką napotkałem dzikie kozy, były one jednak tak płochliwe i tak szybko uciekały, że nie doszedłem do strzału. Potem jednak nauczyłem się je podchodzić. Zauważyłem, że zmykają co prędzej, gdy pasą się choćby daleko na górze, ja zaś nadchodzę od dołu, przeciwnie, gdy nadchodzi od strony góry, one zaś były w dolinie, mogłem podejść znacznie bliżej. Wywnioskowałem stąd, że oczy ich są zbudowane w sposób, pozwalający im patrzeć raczej na dół, niż w górę.

Za pierwszym strzałem ubiłem kozę, mającą obok siebie kozłátko. Wzruszyło mnie, że nie chciało ono opuścić matki. Gdym wziął zwierzynę na plecy i ruszyłem ku domowi, poszło za mną. Przeniosłem je przez palisadę, ale było zbyt małe i nie odessane jeszcze, tak że będąc przyzwyczajone do mleka matki nie chciało nic jeść. To mnie zmusiło ostatecznie

do zarznięcia go i spożycia. Mięso tych dwu sztuk starczyło na czas długi, tak że mogłem zaoszczędzić sporo żywności, a zwłaszcza chleba.

Skończyłem nareszcie budowę osiedla i przysła kolej na założenie ogniska. Zanim jednak opowiem, jak tego dokonałem, wspomnę pokrótce o sobie samym.

Ile razy przyszło mi na myśl położenie moje, ogarniał mnie wielki smutek. Powiedziałem już, że burza odepchnęła okręt daleko poza zwykłą linię kursu statków, toteż z pełną słuszością mogłem przypuszczać, że niebo skazało mnie na samotną śmierć na tej wyspie. Rozważając to, płakałem i bliski nieraz byłem rozpacz.

Czasem jednak smutny ten nastrój rozpraszał rozsądek. Stało się też tak pewnego dnia, kiedy wędrowałem ze strzelbą po morskim wybrzeżu, pogrążony w melancholii.

— Prawda — powiedziałem sobie — że los twój nie jest wesoły, ale gdzież są towarzysze twoi? Wszakże do łodzi wsiadło jedenastu? Gdzież się podziało dziesięciu z nich? Zginęli, ty zaś ocalałeś... czemu nie nastąpiło coś wprost przeciwnego? Żyjesz oto na pewnym lądzie, cały i zdrowy, oni zaś leżą na ciemnym dnie morza. Gdzież lepiej, tam, czy tu?

Dotknąłem dnia 30 września po raz pierwszy stopą tej samotnej wyspy, która, wedle moich obliczeń, leżała mniej więcej na dziewiątym stopniu północnej szerokości.

Po dziesięciu czy dwunastu dniach pobytu przyszło mi na myśl, że stracę zupełnie rachubę czasu, a nawet nie będę mógł święcić niedzieli, jeśli nie urządzę czegoś w rodzaju kalendarza. Sporządziłem tedy z dwu desek wielki krzyż i wyciąłem na nim napis: Dnia 30-go września wylądował tu Robinson Crusoe.

Krzyż ten ustawiłem na wybrzeżu i każdego dnia znaczyłem na nim karb. Każdy karb siódmy był dwa razy dłuższy, a pierwszy dzień miesiąca stanowiła kreska jeszcze dwa razy tak długa jak kreski niedzielne. W ten sposób obliczałem dni, miesiące i lata.

Pośród rzeczy zabranych z okrętu były różne przedmioty, na które nie zwracałem na razie uwagi, mianowicie: pióra, atrament, papier, kilka kompasów, przyrządów matematycznych, map oraz książek i Biblii.

Nie należy pominąć szczegółu, żeśmy mieli na pokładzie psa i dwa koty. O tych zwierzętach opowiem w dalszym ciągu niejedno. Koty przewiozłem tratwą, zaś pies skoczył z pokładu i przyplął za mną podczas drugiej wyprawy mojej. Był mi przez całe lata wiernym towarzyszem, a nawet ukochanym przyjacielem.

Przybory pisarskie oddały mi wielkie usługi i jałem zaraz spisywać szczegółowo pamiętnik. Przerwałem go, gdy zbrakło atramentu, którego mimo rozlicznych wysiłków niczym zastąpić nie mogłem.

Zapasy moje mieściły różne użyteczne przedmioty, ale mimo to brakowało mi niejednego, mianowicie prócz atramentu także łopat i motyk, dalej zaś igieł i cienkich nici. Nie sposób też było wejść w posiadanie płóciennej bielizny, do którego to niedostatku przywyknąć z wolna musiałem.

W tych warunkach praca postępowała niesporo i minął rok, zanim ukończyłem budowę swego osiedla. Wybierałem umyślnie pale tak ciężkie, że je ledwo mogłem wlec, to też czasem całe dwa dni zeszyły mi na ścinaniu drzewa i dostawianiu go na miejsce, a trzeci dzień pracy kosztowało wbicie go w ziemię i spojenie z innymi. Wbijałem pale zrazu ciężką pałą drewnianą, potem dopiero zacząłem używać żelaznego kilofa. Nie troszczyłem się jednak powolnością tą, gdyż niestety miałem czasu pod dostatkiem! Cóż mi zostawało do roboty po skończeniu prócz wałęsania się po wyspie i dbania po trochu o pożywienie?

Czas płynął, ja zaś zacząłem spokojnie patrzeć na swe położenie i nie wypatrywałem już teraz tak często i tak długo oczu na morze, w nadziei ujrzania okrętu, śpieszącego mi na ratunek. Pogodziłem się z wolną z losem i jałem urządzać sobie życie możliwie wygodnie i przyjemnie.

Opisałem już dom swój. Był to namiot na stoku wzgórza, otoczony silną palisadą pni, utkanych linami kotwicznymi. Mógłbym to zagrodzenie nazwać wałem, gdyż przyparłem do niego ze strony zewnętrznej silny mur z darniny wysoki na dwie stopy. Po półtora roku ułożyłem długie pnie od tego wału aż do skalnej ściany i pokryłem je gałęzmi i liśćmi palmowymi dla ochrony przed deszczem bardzo obfitym w pewnych porach roku.

Zapasy zgromadzone w obrębie mieszkania zacieśniły je do tego stopnia, że ledwie mogłem się ruszyć. To mnie skłoniło do rozszerzenia grotu, która to praca nie sprawiła mi wiele trudu z powodu kruchości kamienia. Wydrążyłem zrazu chodnik w stronę prawą,

a gdy był dość długi, zwróciłem go raz jeszcze w prawo, tak że wylot jego otrzymał ujście na zewnątrz. W ten sposób mieszkanie moje stało się dostępne bez konieczności użycia drabiny.

Po ostatecznym zakończeniu prac budowlanych wziąłem się do stolarki, celem uzyskania sprzętów domowych pierwszej potrzeby, a więc stołu i krzesła, bez których mowy być nie mogło o jakiegokolwiek wygodzie. Nie sposób było pisać ni jeść porządnie, słowem sto razy w ciągu dnia brakowało mi tych przedmiotów.

Nadmieniam tu mimochodem, że każdy człowiek normalnym obdarzony rozumem może z czasem sam przez się osiąść każde rzemiosło. W ciągu całego życia nie miałem dotąd w ręku narzędzia, a mimo to mogę zaręczyć, że byłbym potem w stanie, przy odpowiednim zapasie koniecznych przyrządów, wytworzyć sobie wszystkie przedmioty użyteczności domowej. Osiągnąłem z biegiem czasu taką zręczność, że mając tylko siekiere i ostre szerokie dłuto stolarskie sporządzałem najróżniejsze rzeczy. Gdy potrzebowałem deski, musiałem ściąć drzewo i obciosować pień po obu stronach tak długo, aż powstała deska danej grubości. Wyrównywałem ją potem dłutem. Oczywiście przy tej metodzie jeden pień dawał jedną tylko deskę, ale nie było na to rady. Przy tym praca wymagała wielkiej cierpliwości i czasu. Czasu miałem aż nadto, zaś cierpliwości nabyłem z musu.

Stół i krzesło sporządziłem jednak z krótkich desek, zabranych z okrętu. W opisany powyżej sposób wyciosałem potem pewną ilość długich desek, które poprzybijałem jedne nad drugimi na ścianach groty jak półki, na których umieściłem w porządku wszystkie drobiazgi, przyrządy, gwoździe, śruby, słowem to, co chciałem mieć pod ręką. Na kolkach, wbitych w ściany, pozawieszałem strzelby i to co się do wieszania nadawało, tak że grota przybrała wygląd wielkiego magazynu, mnie zaś radowała ilość posiadanych, użytecznych rzeczy i ład, jaki tu teraz zapanował.

Zacząłem spisywać pamiętnik. Od pamiętnego dnia 30 września 1659 roku zanotowałem sumiennie wszystko, com przeżył, myślał i czuł. Chcąc podać treść tych zapisków, musiałbym powtórzyć rzeczy już opowiedziane, przeto poprzestanę na tych tylko szczegółach, które mogą zaciekawić czytelników moich jako uzupełnienie i objaśnienie ich.

Dnia 17 października zacząłem drążyć jaskinię poza namiotem.

Do roboty tej brakło mi przede wszystkim żelaznego łamacza kamieni, łopaty i taczek lub kosza, jąłem tedy dumać, czym je zastąpić. Łamacz zastąpił jako tako kilof, ale brak łopaty utrudniał znacznie i opóźniał robotę.

Dnia 18 października natrafiłem w lesie na drzewo bardzo twarde, zwane w Brazylii drzewem żelaznym. Odrąbałem mu z trudem gruby konar, przy czym siekiere stępiłem do tego stopnia, że była bezużyteczna. Konar ten, strasznie ciężki, zawlokłem do domu i zacząłem zeń wyciosywać coś, co przypominało niewątpliwie łopatę i pełnić mogło jej funkcje.

Brak mi było taczek lub kosza. Kosz mógłbym być jako tako upleść, ale nie napotkałem dotąd przydatnych gałęzi. Od sporządzenia taczek odstraszała mnie konieczność koła i osi, a nie czułem się na siłach stworzenia takiego arcydzieła. W końcu wpadło mi do głowy, by wydrążyć z pnia rodzaj niecek, jakich używają mularze do noszenia wapna i cegieł. Przedmiot ten nie sprawił mi tyle trudu, co łopata, ale mimo to zużyłem na te dwie rzeczy całe cztery dni.

Dnia 24 grudnia. W ojczyźnie obchodzą dziś wszyscy Boże Narodzenie. Czyż żyją jeszcze ojciec mój i matka? Czyż wspominają jeszcze czasem o swym niewdzięcznym i nierozsądnym synu? Sądzą pewnie od całych lat, że nie żyję! I w samej rzeczy zmarłem, dla całego świata jestem tak jakby umarłym człowiekiem! Biedny, biedny Robinsonie! Ale nie traćmy otuchy... Bóg nad nami, a Robinson Crusoe żyje jeszcze!

Dnia 25 grudnia odkryłem na mej wyspie lamy. Zastrzeliłem jedną młodą sztukę, a zraniłem drugą, tak że zdołałem doprowadzić ją do domu, gdzie wsadziłem w drewniane łupki przestrzeloną jej nogę.

Pielęgnowałem chore zwierzę, noga zaś zrosła się szybko i wzmocniła. Lama przywykła do mnie, oswoiła, pasła się opodal groty trawą i ziołami i wcale nie okazywała skłonności do uciezki. Ta okoliczność naprowadziła mnie na myśl stworzenia trzody zwierząt swojskich, tak by mi nie zbrakło żywności kiedyś, gdy spotrzebuję cały zapas prochu.

Dnia 1 stycznia było niezmiernie gorąco. Parność i upał sprawiły, że wyszedłem na łowy o samym świcie, drugi zaś raz późnym wieczorem. Napotkałem w dolinach w głębi wyspy mnóstwo kóz, nadających się doskonale na swojską trzodę.

Dnia 2 stycznia ruszyłem z psem na polowanie i poszczułem go na kozy. Ale skutek był wprost przeciwny. Kozy uderzyły razem na psa rogami, tak że ledwo ujść zdołał cało.

W tym czasie padał często gwałtowny deszcz, musiałem więc zaniechać łowów. W takie pochmurne dni ciemno bywało w moim mieszkaniu i odczuwałem dotkliwie brak lampy. Chciałem co prawda nieraz narobić sobie świec, ale nie miałem wosku. Sporządziłem tedy z gliny naczynko, wysuszyłem je na słońcu i zaopatrzywszy w knot z kłaków napelniłem tłuszczem kozim. W ten sposób oświetliłem od biedy mieszkanie, ale lampa moja pozostawała jeszcze dużo do życzenia.

Gmerając w posiadanych skarbach, natrafiłem na worek ze zbożem. Szczury pożarły jednak ziarno, przeto, nie widząc nic więcej ponad otręby i łuski, wysypałem wszystko pod skałę, by użyć worka na co innego. Stało się to przed nastaniem ulewnych deszczów. Po czterech tygodniach ujrzałem na tymże miejscu kilka wyniosłych kłosów, w których rozpoznałem z radością europejski owies. Opodal zobaczyłem też parę kłosów ryżu. Cień skały osłonił przed żarem słońca kilka zdolnych jeszcze do kiełkowania ziaren, jakie były w śmieciach i weszły one doskonale w wilgoci wywołanej deszczem.

Pilnowałem starannie tych kilku kłosów, gdy zaś dojrzały w czerwcu, zebrałem troskliwie ziarno po ziarnie, ciesząc się nadzieją, że z czasem uzyskam ilość zboża potrzebną na wypiek chleba. Zanim do tego doszło, minęły cztery lata. Przy tym pierwszy siew nie powiódł się, gdyż dokonałem go tuż przed nastaniem upałów. O tym jednak opowiem później.

Dnia 16 kwietnia, ukończywszy właśnie wał ochronny mej fortecy, doznałem czegoś, co niemal zniweczyło wszystkie me dotychczasowe wysiłki, a nawet co groziło memu życiu.

Zajęty byłem właśnie czymś poza namiotem, u wejścia do groty, gdy nagle zaczęły spadać masy ziemi i kamieni z całej góry i ścian oraz stropu jaskini mojej. Skoczyłem do drabiny i przelazłem śpiesznie przez palisadę, by nie zostać pogrzebany pod głazami. Ledwo dotknąłem stopą ziemi, poznałem, że wyspę nawiedziło straszliwe trzęsienie ziemi. Falowała pod moimi nogami niby morze, a odległa o pół mili angielskiej góra rozpadła się u samego wierzchołka na dwoje i runęła w dół z łoskotem, jakiego nie słyszałem w życiu całym. Morze szalało i sądzę, że trzęsienie jego dna być musiało jeszcze nierównie gwałtowniejsze niż lądu.

Stałem przez chwilę skamieniały ze strachu i pewny, że namiot mój oraz wszystko, co posiadałem, zostanie zasypane beznadziejnie. Wstrząśnienie powtórzyło się trzy razy, a było tak straszliwe, że musiałoby zniweczyć każdy budynek ludzką ręką wzniesiony. Falowanie ziemi wywołało u mnie chorobę morską. Doprowadzony do rozpacz i bezradny zupełnie wołałem tylko raz po raz:

— O Boże i Panie mój, miej litość nade mną!

Ściemniło się bardzo, czarne chmury sunęły po niebie z przerażającą szybkością i za chwilę zahuczała burza, a morze pokryła biała piana. Huragan runął na wyspę z siłą niewysłowioną i ogłuszającym łoskotem, wyrывая mnóstwo drzew z korzeniami i łamiąc jak słomki grube pnie. Wobec tego rozpętania żywiołów każde ludzkie słabe stworzenie musiałoby zwątpić o swoim życiu. Trwało to przez trzy godziny, po czym burza zaczęła przycichać, a po dalszych dwu godzinach wróciło wszystko do spokoju i lunął nawalny deszcz.

Przez cały ten czas leżałem na ziemi skulony, trzymając się oburącz drzewa, by mnie wichry nie porwał ze sobą. Teraz wstałem i zobaczywszy, że góra stoi cała, ośmieliłem się zajrzeć do mego mieszkania. Zaraz też postanowiłem zbudować sobie drugie mieszkanie, pod gołym niebem, gdyż przebywając ciągle w tej pieczarze mogłem podczas następnego trzęsienia ziemi niespodzianie stracić życie.

Umyśliłem zbudować podobny wał i ustawić w nim namiot, zanim jednak dojdę mogło do urzeczywistnienia, musiałem, chcąc nie chcąc, pozostać w starym osiedlu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Ponowna wyprawa na rozbity statek. — Robinson napotyka żółwia. — Choruje i rozmyśla nad sobą poważnie. — „Wzywaj mnie w potrzebie!” — Ozdrowienie. — „Wielbij imię moje!” — Robinson czyni odkrycia. — Buduje drugie osiedle. — Zostaje koszykarzem. — Oswaja papugę i koźlę. — Pierwsze żniwa.

Znajduję w mych zapiskach pod datą 22 kwietnia co następuje: Nazajutrz wziąłem się na serio do rozważania tego nowego planu i pierwszą zaraz trudność dostrzegłem w złym stanie moich narzędzi. Posiadałem trzy wielkie topory i kilka tuzinów siekier, które wzięliśmy ze sobą jako artykuł w handlu zamiennym z dzikimi, ale wszystko to stępiło się i poszczerbiło przy obróbce twardego, sękatego drzewa. Miałem wprawdzie kamień szlifierski, ale brakło mi koniecznego mechanizmu do obracania. Sporządzenie tej maszyny sprawiło mi trud niesłychany, ale po wielkich wysiłkach stworzyłem przyrząd obracany pedałem nożnym przy pomocy rzemienia, tak że obie ręce miałem wolne. Pracowałem nad tym przez cały tydzień.

W ciągu 28 i 29 kwietnia ostrzyłem od rana do wieczora narzędzia, a maszyna moja okazała się doskonałą.

Dnia 1 maja ujrzałem wczesnym rankiem na wybrzeżu beczkę i trochę szczątków okrętu, przypędzonych tu ostatnią burzą. Rozbity statek zmienił położenie i sterczał wyżej nad wodą. Dziób nie tkwił już w piasku, a tył oddzielony od kadłuba leżał na boku wśród piaszczystego, a tak wysokiego wału, że podczas odpływu mogłem doń dotrzeć suchą nogą. Zmianę tę wywołało, zdaje się, trzęsienie ziemi, które dokończyło zniszczenia, a fale niosły teraz poszczególne resztki na ląd. W beczce był proch zamoczony, a potem wyschły na słońcu niby kamień. Mimo to zabrałem go jednak i zabezpieczyłem.

Odkładając na potem budowę drugiego osiedla, jąłem się pracy koło szczątków okrętu, z których najmniejszy mógł mi się bardzo przydać.

Przez dni następne byłem tym zajęty. Poodrywawszy deski pokładu, znalazłem we wnętrzu pełnym piasku różne beczki, których jednak ruszyć nie mogłem. Musiałem też zostawić gruby zwój ołowiu jako zbyt ciężki. Przeniosłem natomiast około trzech cetnarów żelaza.

Dnia 24 maja połuzowałem na koniec w piasku beczki do tego stopnia, że fala podczas przypływu zaniosła wiele z nich na ląd. Była w nich solona wieprzowina, zepsuta jednak przez wodę morską. Ze zwoju ołowiu odrąbałem kawałkami około cetnara i zabrałem do domu.

Chodząc po wybrzeżu 16 czerwca napotkałem wielkiego żółwia, pierwszego na tej wyspie. Ubilem go, a mięso to wydało mi się potrawą najbardziej soczystą i najsmaczniejszą, jaką spożywałem w życiu. Była to nader pożądana odmiana, gdyż dotąd jadałem tylko drób i kozinę.

Pod datą 27 czerwca znajduję w pamiętniku taki zapisek: Od tygodnia dręczyła mnie taka febra, że z trudnością tylko mogłem dokonywać koniecznych prac codziennych. Teraz pogorszyło mi się do tego stopnia, iż leżałem, niezdolny wstać po łyk wody. Godzinami byłem oszołomiony, przychodząc zaś do siebie usiłowałem zanieść modły do Boga, ale wargi moje szeptały tylko z trudem: — Boże, wspomóż mnie i nie opuszczaj! — Palila mnie gorączka, to znów na przemian wstrząsał mną dreszcz lodowaty, na koniec zapadłem w niespokojny sen, trwający dużo godzin. Zbudziłem się w nocy. Było mi lepiej, ale czułem wielkie osłabienie i paliło mnie straszne pragnienie. Nie mając jednak w mieszkaniu wody, musiałem wytrwać do rana.

Dnia 28 czerwca zawlokłem się z trudem do strumienia i napełniwszy flaszkę, umściłem wodę w pobliżu legowiska. Potem upiekłem na węglach kawałek koziny, ale zjadłem parę tylko kąsków. Próbowalem chodzić, lecz nogi chwiały się pode mną, zaś w sercu czułem wielki smutek z powodu opuszczenia, w jakie popadłem. Wieczorem upiekłem trzy jaja spośród tych, jakie znalazłem w ciele żółwia, spożyłem je z lubością, następnie zaś, mimo osłabienia, usiadłem ze strzelbą na wybrzeżu i zapatrzyłem się w spokojne i ciche morze.

Gdym tak siedział napłynęły mi różne myśli.

— Czymże jest ziemia, której już taki szmat zwiedziłem i czymże morze, po którym podróżowałem tak długo? Jakże powstały? Czymże jestem ja sam i te wszystkie otacza-

jące mnie dzieki i swojskie twory? Nie ulega wątpliwości, że wszechpotężna siła stworzyła wszystko, żywe istoty, ziemię, morze, powietrze i widnokrąg ze słońcem, księżycem i gwiazdami. Cóż to za siła niezmierna? Oczywiście, to Bóg! Jeśli jednakże Bóg stworzył te wszystkie rzeczy, to niezawodnie kieruje nimi i rządzi, a zatem bez Boga i jego zgody oraz woli nic się w całym świecie stać nie może.

Bóg, rządca świata, wie także, że ja znajduję się na tej oto wyspie w stanie wielkiej niedoli, a z woli też jego spotkało mnie to nieszczęście.

Czemuż dotknął mnie Bóg w ten sposób? Czymże zawiniłem?

Wobec tego pytania poczułem wyrzut sumienia i głos jakiś potężny zawołał we mnie:

— Nędzniku! Pytasz czym zawiniłeś? Spójrz wstecz na swe zmarnowane życie i spytaj raczej czym nie zawiniłeś! Spytaj, czemu Bóg w słusznym gniewie nie ukarał cię już dotąd śmiercią, czemu nie zginąłeś w przystani Yarmouth lub pod tą wyspą nie zatonałeś w falach jak twoi nieszczęśliwi towarzysze! Jak śmiesz pytać o swoje winy?

Wziąłem do rąk jedną z Biblii wyratowanych z okrętu i zacząłem czytać. Ale umysł mój tak był wyczerpany chorobą, że przez czas długi zrozumieć nie mogłem słów Pisma świętego. W końcu oczy me spoczęły na zdaniu: — Wzywaj mnie w potrzebie, ja cię ocalę, ty zaś wielbij imię moje!

Uczyniło to na mnie niesłychanie silne wrażenie. Po raz pierwszy w życiu ukląknłem i roniąc gorące łzy zacząłem błagać Boga, by spełnił obietnicę i ocalił mnie, bowiem wzywałem go z taką wiarą w złą chwilę.

Potem wyczerpany całkiem dowlokłem się do posłania i zaraz zasnąłem twardo.

Pewny do dziś jestem, że sen ten trwać musiał co najmniej dwie noce i cały dzień. Inaczej trudno by wytłumaczyć, czemu kalendarz mój wskazywał jeden dzień mniej, kiedym po latach obliczał czas mego pobytu na wyspie.

Koniec końcem zbudziwszy się uczułem, że jestem fizycznie orzeźwiony i przepelniony świeżymi siłami. Febra nie wróciła już, a żołądek domagał się gwałtownie pożywienia.

Dnia 3 lipca zanotowałem te słowa: Bóg mnie wysłuchał i przywrócił mi zdrowie, toteż wielbiłem go na każdym kroku. Zła jest choroba w domu, przy czulej opiece rodziny, ale stokroć okropniej jest zapaść w niemoc wśród dziczy i samotności, z dala od wszelkiej pomocy. Bóg mnie jednak ocalił i odtąd już nie znikły mi z pamięci słowa: — Wzywaj mnie w potrzebie, ja cię ocalę, ty zaś wielbij imię moje! — Czy Bóg wyzwolić mnie też raczy z tego wygnania? Zacząłem nad tym dumać i już uczułem upadek nadziei, ale wspomniawszy przebytą chorobę, powiedziałem sobie: — Czyż nie wyratował cię Bóg cudownie z śmiertelnej febry i stanu straszliwej niemocy? Czyż nie dotrzymał obietnicy? A ty, czyż spełniłeś to, czego chce, mówiąc: Wielbij imię moje? — Zawstydzilem się wielce i ukląknąwszy jałem głośno słać imię Boże, błagając o jego łaskę.

Od 4 do 14 lipca chodziłem codziennie ze strzelbą po okolicy, by odzyskać sprawność ciała. Badając przyczynę zasłabnięcia, doszedłem do wniosku, że przebywanie na wolnym powietrzu w porze deszczowej, która w tej strefie zastępuje zimę, jest szkodliwe dla zdrowia.

Od dziesięciu już miesięcy przebywałem na tej wyspie i mało było nadziei ocalenia, gdyż widocznie nikt tu jeszcze przede mną nie wylądował.

Dnia piętnastego lipca podjąłem dalszą wycieczkę. Idąc w górę biegu strumienia stwierdziłem, że przypływ morza sięga najwyżej na dwie mile angielskie w głąb lądu. Odkryłem kilka uroczych dolin i bujnych łąk, na których rósł tytoń, aloesy i dzika trzcina cukrowa. Dalej w głębi znalazłem melony wijące się po ziemi, a w końcu, ku wielkiemu zdumieniu, także winorośl, zwieszoną po pniach drzew, pełną soczystych gron. Spożyłem z rozkoszą znaczną ich ilość, przyszło mi jednak zaraz na myśl, że owoce te wysuszone oddadzą mi, jako rodzynki, większą jeszcze przysługę, gdyż będę mógł zgromadzić znaczny ich zapas.

Odległość od domu była tak znaczna, że spędziłem noc na drzewie, gdzie spałem w śmienicie. Następnego dnia ruszyłem dalej. Dążąc ciągle ku północy, dotarłem do przełęczy gór, poza którą teren opadał w kierunku zachodnim, zaś od wschodu płynął tuż przy mnie mały strumyk. Było tu cudnie, jak w najpiękniejszym ogrodzie i mimo uczucia pustki i opuszczenia przejęła mnie duma. Wszakże byłem nieograniczonym panem i królem tej wspianiałej wyspy!

Znalazłem tu palmy kokosowe oraz mnóstwo drzew pomarańczowych i cytrynowych. Owoce nie dojrzały jeszcze co prawda, ale sok zielonych cytryn zaprawił wodę strumienia orzeźwiająjącym smakiem.

Miałem tedy znowu przed sobą mnóstwo roboty, musiałem gromadzić zapasy winogron, pomarańcz i cytryn i przenosić je do domu. Odkrycie tych owoców było mi tym bardziej pożądane, że nadciągała pora deszczowa.

Wziąłem się zaraz do pracy, zebrałem w miejscu osłoniętym dużą stertę winogron, drugą mniejszą w innym miejscu, a wreszcie tuż trzecią, pomarańcz i cytryn, po czym ruszyłem do domu po worki. Wycieczka ta, obfita w odkrycia, zajęła mi trzy dni.

Wróciwszy z workami zastałem stertę winogron zburzoną i zdeptaną przez dzikie kozy, więc trud mój okazał się daremny. Zauważyłem jednak, że i bez tego nic by mi nie przyszło ze zbioru, gdyż winogrona były zbyt miękkie, by je transportować w workach. Pościąłem przeto znaczną ilość i rozwiesiłem na gałęziach drzew, by wyschły w słońcu. Wielki jednakże zapas pomarańcz i cytryn zdołałem przenieść do mego osiedla.

Urodzajna ta dolinka tak mi przypadła do gustu, że umyśliłem zbudować sobie tu drugie mieszkanie, ale zaniechałem tego po chwili rozważa, bowiem nie widać stąd było morza, a więc mogłem przeoczyć przepływający w pobliżu okręt.

Poprzestałem tedy na zbudowaniu małego szałas, który otoczyłem silnym płotem, dając doń przystęp tylko za pomocą drabiny. Tu spędzałem nieraz po kilka nocy z rzędu i posiadałem w ten sposób grotę skalną silną jak forteca oraz miłą willę letnią.

Praca ta przeciągnęła się aż do sierpnia, po czym spadły deszcze, które mnie uwięziły we właściwym osiedlu. Letnisko posiadało wprawdzie także namiot, ale brakło tu ochrony skalnej przed burzą i nawałnym deszczem.

Dnia 3 sierpnia wyschły na koniec winogrona, dając nader smaczne rodzynki. Był zresztą najwyższy czas zabrać je, gdyż deszcz mógł mnie lada chwila pozbawić najlepszej części zapasów zimowych. Musiałem przenieść do domu około dwieście wielkich wiązek tych rodzynek na własnych plecach.

Właściwa pora deszczowa nastąpiła 14 sierpnia, trwała z rozmaitym nasileniem do połowy października, a ulewa wzmagająca się czasem tak, że przez parę dni nie mogłem opuścić jaskini.

W tym czasie zaskoczyło mnie pomnożenie mego dobytku. Zauważyłem z zalem, że znikł jeden z moich kotów i pewny byłem, iż nie żyje. Jednakże pod koniec września wrócił z trzema kociętami. Ponieważ oba zwierzęta były samicami, przeto ojcem kociąt musiał być jakiś dziki kocur. Zwierzątka były bardzo ładne i całkiem podobne do matki. Z biegiem czasu rozmnożyły się jednak tak bardzo, że były mi wprost plagą i musiałem je strzelać, by z niemałym trudem chronić swe zapasy.

W ciągu przymusowej niewoli rozszerzyłem znacznie jaskinię i stworzyłem drugi dostęp do mieszkania, o którym już wspomniałem poprzednio. Nie było obawy napaści z tej strony, gdyż wyspa moja nie posiadała ludności, zaś największe zwierzęta, jakie napotkałem, były to lamy tylko.

Nadszedł 30 września, złowrogi dzień mego rozbicia i wylądowania. Policzywszy nacięcia kalendarza przekonałem się, że spędziłem 365 dni na wyspie. Spędziłem ten dzień na poważnych rozważaniach i dziękowaniu Bogu za ocalenie i łaskę, mimo rozlicznych grzechów moich.

Zapiski mego dziennika stały się odtąd rzadsze, gdyż zbrakło atramentu. Postanowiłem notować najważniejsze tylko przeżycia i wydarzenia.

Po długich dopiero doświadczeniach nauczyłem się odróżniać i przewidywać suchą i deszczową porę, nim to zaś nastąpiło, spotkało mnie następujące rozczarowanie. Miałem w zapasie około trzydziestu kłosów jęczmienia i dwudziestu ryżu i uznałem, że teraz pora na siew. Skopałem przeto drewnianą łopatą kawał łąki, podzieliłem pole na dwie części i zasiałem dwie trzecie posiadanego ziarna. Zachowałem jedną trzecią i było to wielkie szczęście. Nie wzeszło ni jedno ziarno, bowiem ziemia nie posiadała wilgoci. Obrabem dla następnej próby miesiąc luty; deszcze marcowe i kwietniowe posłużyły zasiewowi i uzyskałem tak obfity plon, że wydał po pół korca jęczmienia i tyleż ryżu. Teraz nabrałem rozumu i wiedząc, kiedy zaczynać siew, miałem nadzieję zbierać dwukrotny plon w roku.

Zaledwie ustały deszcze, wybrałem się do mego letniska. Zastałem wszystko jak było, z wyjątkiem kołków płotu, które puściły korzenie i obrosły gęsto gałęzmi. Ucieszyło

mnie to bardzo, poprzycinałem zaraz płot, który stał się żywoplotem, i ze zdumieniem zauważyłem potem, jak gęsto rozrosły się drzewka w ciągu następnych trzech lat. Płot otaczał przestrzeń około 25 metrów średnicy, a mimo to korony nakryły wszystko, tak że w czasie upałów panował tu miły chłód.

Ta okoliczność przywiodła mnie na pomysł otoczenia w pewnej odległości takimże płotem palisady mego dawnego osiedla i plan ten wykonałem zaraz. Ustawiłem kołki na osiem metrów od wału i niebawem spostrzegłem z radością, że puszczają nader bujne odrośle. Ciągle jeszcze dokuczał mi brak kosza. Setki razy usiłowałem upleść go, ale wszystkie gałązki, jakich używałem, były zbyt kruche. Przyszło mi na myśl, że giętkie odrośle mego płotu będą odpowiednim materiałem i w samej rzeczy udało się to wycieńcie.

W młodych latach obserwowałem nieraz w mieście rodzinnym wyplatacza koszyków, a nawet pomagałem mu czasem, jak to czynią chłopcy. Skorzystałem teraz z owej wiedzy. Wybrawszy się na swe letnisko, naścinałem znaczną ilość gałązek, podsuszyłem i zabrałem je do jaskini. Tutaj zacząłem pleść wedle upodobania koszyki różnych kształtów i wielkości, a posłużyły mi one do przechowywania różnych zapasów, zwłaszcza zboża. To powodzenie natchnęło mnie myślą robót dalszych, mianowicie umyśliłem sporządzić naczynia na płyny, gdyż posiadałem tylko kilka beczulek i flaszek, a brakło mi nawet garnka na zgotowanie zupy. Także rad bym był zrobić sobie fajkę, gdyż dawna stłukła się od czasów niepamiętnych. Po długim łamaniu głowy doszedłem w końcu do celu.

Ponieważ znałem dotąd małą tylko część mojej wyspy, postanowiłem zrobić wycieczkę aż do przeciwległego wybrzeża. Wziąłem strzelbę, róg z prochem, siekierę, dwa suchary, kilka garści rodzynków i ruszyłem w drogę. Pies pobiegł za mną bez wołania, a lama chętnie towarzyszyłaby mi także, gdybym jej nie był wprowadził do wnętrza przez otwór skalny i nie zamknął. Nie brakło jej pożywienia i wody.

Przeszedłszy równinę, na której stało letnisko moje, i stanąwszy na przeciwległych wzgórzach, ujrzałem w stronie zachodniej połyskujące morze. Dzień był pogodny, jasny, toteż dostrzegłem na skraju widnokregu pas ziemi, nie wiedząc jednakże, czy jest to wyspa, czy kontynent.

Gdyby to było hiszpańskie wybrzeże Ameryki, mógłbym żywić nadzieję, że jakiś okręt podpłyne tutaj, jeśli była to jednakże jakaś wyspa, zachodziła obawa, że są na niej dzicy, ludożercy może nawet, którzy zjadają każdego schwytanego jeńca.

Kroczyłem z wolna i przekonywałem się coraz lepiej, że ta strona wyspy była nierównie powabniejsza od zamieszkiwanej przeze mnie. Cudne łąki kwietne porastały gaje pełne papug, z których radbym był schwycić którąś, oswoić i wyuczyć paru słów. Powiodło mi się to w istocie, uderzyłem kijem młodą papużkę, a gdy przyszła do siebie zabrałem ze sobą. Minęło jednak lat kilka zanim się nauczyła mówić.

Ujrzałem po tej stronie wyspy innych jeszcze jej mieszkańców, mianowicie zające i lisy, a raczej zwierzęta do nich podobne.

Na wybrzeżu pełno było żółwi i ptaków wodnych, pośród których rozpoznałem pingwiny. Mogłem ich ubić mnóstwo, ale musiałem szczerzyć prochu. Napotkałem też lamy i dzikie kozy w większej znacznie obfitości niż po mojej stronie, ale mimo to nie wpadło mi na myśl przenosić się tu, przeciwnie, zacząłem tęsknić za domem. Przebyłem wzdłuż wybrzeża około dwunastu mil angielskich, po czym wbiłem w ziemię słup na znak. Następną wycieczkę postanowiłem skierować w stronę przeciwną i iść, póki nie dotrę do tego słupa.

W drodze powrotnej zablądziłem jednak na rozległej równi otoczonej wieńcem gór. Powietrze zamglilo się, a straciwszy z oczu słońce, jedyne przewodnika, wałęsałem się przez cztery dni bez kierunku i w końcu musiałem wrócić do słupa nad morzem. Tutaj dopiero odzyskałem świadomość, dokąd iść i ruszyłem wzdłuż brzegu.

W drodze mój pies schwycił młodą kozę, ja zaś nadbiegłem i uwiązałem ją na postrońku, który zawsze miałem przy sobie. Z dawna już planowałem, że muszę złapać kilka młodych kóz i stworzyć sobie trzodę. Ale koza szarpała się i opóźniała mnie w drodze, przeto doprowadziłem ją tylko do letniego mieszkania i tam zamknąłem. Pilno mi było do domu, który opuściłem przed całym już tygodniem.

Odpoczywając przez dni kilka, zrobiłem klatkę dla papugi, którą nazwałem Polem. Potem przypomniawszy sobie o mojej koczce, poszedłem po nią. Zwierzątko wycieńczone

było głodem, dałem mu przeto trawy i wody, gdy zaś chciałem kózkę potem wziąć na sznur okazało się to zbyt ciężkie. Poszła za mną sama, czując we mnie swego żywiciela. Podobnie jak lama, kózka przywykła do mnie tak, że nie chciała odejść krokiem.

Nadszedł koniec roku i zabrałem się do żniwa. Pole nie było zbyt rozległe, gdyż użyłem do siewu niewielką ilość ziarna, ale kłosa wystrzeliły i były grube. Patrząc na nie z dumą nieraz, wkrótce okazało się jednak, że omal znowu nie postradałem plonu. Oto dzikie kozy oraz zające upodobały sobie nowe jadło i po całych dniach i nocach pasły się w najlepsze.

Rad nie rad musiałem cały łąk otoczyć płotem, co nie było sprawą łatwą i trwało całe trzy tygodnie. Tymczasem strzelałem ile mogłem do szkodników, zaś na noc wiązałem u nieskończonego płotu psa, którego ujadanie płoszyło nieprzyjaciół.

Gdy zboże zaczęło dojrzewać, spadły nań chmury ptactwa, przeciw któremu płot nie był żadną ochroną. Przeraziłem się wielce, czując, że stracę wszystko, jeśli dniem i nocą nie będę czuwał ze strzelbą w ręku. Wielka część kłosów zniszczyła już, jak się przekonałem, ale na ogół zboże było jeszcze nie całkiem dojrzałe i można by przeboleć katastrofę, gdyby się udało uratować resztę plonu.

Po pierwszym strzale ptaki uniosły się chmurą i siedząc na drzewach czekały jakby, aż odejdę. Nawiwszy strzelbę ruszyłem pozornie w las, gdym im jednak tylko znikł z oczu runęły z powrotem na łąk. Zawrzałem gniewem, gdyż każde ziarno, pożarte przez tę bandę, stanowić mogło dla mnie w przyszłości cały bochen chleba. Wskoczywszy tedy, palnąłem ponownie i zabiwszy trzy duże ptaki przywiązałem je do żerdzi, którą ustawiłem pośrodku pola jako odstraszący przykład dla złoczyńców. Ten środek okazał się ponad oczekiwanie skuteczny. Od tej chwili ptactwo znikło nie tylko z pola, ale opuściło całą tę część wyspy i, dopóki wisiały moje straszaki, nie widziałem żadnego z tych drabów na oczy.

Nadeszły żniwa i znowu stanąłem wobec nowej trudności, nie posiadałem bowiem ani kosy, ani sierpa. Poradziłem sobie w ten sposób, że użyłem jeden z dwu mieczy, zabranych z okrętu, wyostrzywszy go należycie. Pole było niewielkie, toteż niedługo pościnałem wszystko zboże. Odniosłem plon w koszach do domu, a gdy przyszło do obliczenia zbioru okazało się, że posiadam blisko dwa korce ryżu i dwa i pół korca jęczmienia.

Napełniło mnie to wielką otuchą i w myślach jałem już zajadać chleb, dobyty przy bożej pomocy z tego ziarna.

Nie wiedziałem jednak jeszcze, w jaki sposób wyluszczyć zboże, zemleć je, zamiesić ciasto i upiec chleb. Na razie chciałem tylko przysposobić znaczny zapas, więc postanowiłem cały plon użyć na siew, a nim nadejdą ponowne żniwa, rozwiązać trudną kwestię sporządzenia chleba w sposób możliwie najlepszy.

Przed wszystkim należało zorać pole, że zaś nie miałem pługa, musiałem je w pocie czoła przekopać drewnianą łopatą. Posiawszy zboże, musiałem zrobić bronę, by wyrównać ziemię i nakryć nią ziarno. Następnie trzeba je było ochraniać przez czas wzrostu przed szkodnikami, dalej żąć, znosić, młócić, lusczyć i przechowywać. Potrzeba mi było młyna, sita dla czyszczenia mąki, drożdży lub kwasu do ciasta i soli, wreszcie pieca dla ostatecznego wypieku. Zadanie moje trudne tedy było i zawikłane, ale postanowiłem go dokonać. Czasu miałem dość, poświęcałem tedy codziennie parę godzin na przysposobienie wielkiego dzieła, a ponieważ na nowe żniwa musiałem czekać całe pół roku, przeto napełniła mnie nadzieja powodzenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Robinson garnarczem. — Wypiek chleba. — Robinson sporządza czółno zgoła nieużyteczne. — Zostaje krawcem. — Wycieczka morska. — Śmiertelny strach. — „Gdzież to byłeś, Robinsonie?”

Żniwa przyniosły mi plon tak obfity, że mogłem zasiać przeszło morgę pola. Uprawiłem przeto w pobliżu domu dwa łąki i otoczyłem je kołkami, które, jak wiedziałem, puszczają korzenie. W ten sposób spodziewałem się w ciągu roku uzyskać żywoplot niewymagający naprawy. Praca ta trwała przez trzy miesiące, gdyż przypadła po części na porę deszczową, a ulewa zatrzymywała mnie przez kilka nieraz dni w domu. Nie próżnowałem i w takich jednak razach i dumałem, jakby zdobyć naczynia gliniane, garnki, miski i tym podobne rzeczy, podwójnie teraz potrzebne z uwagi na wypiek chleba.

Podczas wycieczek natrafiłem poprzednio już na glinę i spory jej zapas miałem w domu. Jąłem ją tedy ugniatać i niebawem sporządziłem mnóstwo dziwacznych, krzywych, szkaradnych, a wymyślnych naczyń. Wiele z nich zapadło się od własnego ciężaru, inne popękały i rozsypały się, gdyż zbyt szybko wystawiłem je na słońce. Inne wyschły z pozoru jak należy, rozpadły się jednak za pierwszym dotknięciem, słowem po dwumiesięcznych wysiłkach uzyskałem tylko dwa koślawe twory, które nazwałem dzbanami, ale nie uznałby ich za to żaden rozsądny człowiek.

Przy tym zajęciu gadałem wciąż do Pola, by go nauczyć mówić. Nawykł do swego imienia, a gdy po raz pierwszy zawołał: — Biedny, biedny Robinsonie! — nie mogłem powstrzymać łez, słysząc ludzkie słowa, wypowiedziane innym niż mój własny językiem.

Słońce robiło, co mogło, dla moich garnków, susząc je i czyniąc twardymi. Brałem je ostrożnie w ręce i wkładałem w kosze, przysposobione na te arcydzieła, wolną zaś przestrzeń wypełniałem słomą. Potem stawiałem je w suchym miejscu, przeznaczając na zboże lub, gdyby się powiodło, na mąkę.

Duże naczynia wypadły źle, natomiast lepiej się przedstawiały małe garnuszki, talerze itp. przedmioty, które ustawiłem pięknie na półkach. Niestety, nie było ich można używać.

Dotychczas suszyłem tylko w słońcu naczynie, dlatego też nie można w nie było wlać płynu, ani postawić na ogniu. Przypadek dopiero przyszedł mi z pomocą. Pewnego dnia upiekłem sobie, jak zwykle, kawałek mięsa na drewnianym rożnie, a rozgarnąwszy potem węgle zobaczyłem pośród nich skorupę jednego z mych garnków. Była ceglasto czerwona i twarda jak kamień. Uradowany wielce powiedziałem sobie, że jeśli ogień może tak uczynić ze skorupą, to wypali też na kamień cały garnek.

Zacząłem rozmyślać, jakby urządzać ognisko dla wypalania garnków. Nie miałem pojęcia o piecu garncarskim, ani też sztuce polewania naczyń glejtą ołowianą. Ustawiłem tedy jedne przy drugich, kilka dzbanów i garnków, pokładłem mniejsze na większe, pomiędzy nimi, wokoło i na wierzchu zgromadziłem dużo drzewa i podtrzymywałem ogień, aż naczynia rozjarzyły się do czerwoności, widząc z radością, że żadne z nich nie popękało. Żar taki utrzymywałem przez pięć, czy sześć godzin, aż spostrzegłem, że powierzchnia jednego zaczyna się topić. Zmniejszyłem tedy ogień, garnki zaś przybrały barwę ciemniejszą i przy coraz słabszym żarze zaczęły z wolna ostygają. Czyniłem to powoli, z obawy, by nie popękały i tak mi zesłała cała noc.

W ten sposób uzyskałem pewną ilość dobrych, użytecznych dzbanów i garnków, ostatni zaś z nich miał nawet całą powierzchnię okrytą szklivem.

Odtąd nie zbrakło mi już naczyń glinianych, nie były tylko zbyt kształtne, ale cieszyłem się nimi. Przez dni kilka szukałem kamienia przydatnego na moździerz dla utłuczenia zboża, bo glazy mej groty były to twory piaskowcowe, gdybym ich więc użył, miałbym tyleż piasku co mąki. Nie miałem odwagi jąć się urządzenia młyna. Z konieczności poprzestałem na moździerzu drewnianym. Przy pomocy topora i siekiery wyciąłem pień tak wielki, jaki tylko przytoczyć zdołałem i wydrążyłem go węglami, podobnie jak dzicy wypalają swe czółna, zwane kanoje. Łatwiej już poszło z ciężkim tłuczkiem z drzewa żelaznego i z wielką radością przywlokłem do groty moździerz, czekając ze zdwojonym utęsknieniem żniw, które mi miały dostarczyć mąki na chleb.

Nameczyłem się dobrze nad obmyśleniem sita, ale sporządzenie jego nie kosztowało mnie tyle trudu, co sporządzenie moździerza, gdyż użyłem na to rzadkiej tkaniny szalików marynarskich, jakie znalazłem pośród bielizny.

Należało pomyśleć teraz o wypieku, bym nie został wstrzymany w robocie gdy mąka będzie gotowa. Miski sporządziłem łatwo z gliny, trudniej było jednakże urządzać piec. Po długich namysłach poradziłem sobie w ten sposób: sporządziłem kilka wielkich mis, mających dwie stopy średnicy, a dziewięć cali głębokości i wypaliłem je należycie. Gdy przyszło do pieczenia, rozpałem wielki ogień na kominie zbudowanym z cegieł własnej roboty. Gdy się należycie rozgrzała blacha, odgarnąłem na bok węgle, ułożyłem bochenki i nakryłem je owymi misami, potem zaś nasypałem wokoło i na wierzch jarzących węgli, by utrzymać ciepło i podnieść je jeszcze nawet. Z biegiem czasu nabyłem wielkiej wprawy w tym piekarstwie i mój jęczmienny chleb mógł zyskać ogólne uznanie świata.

Na takich pracach zbiegła mi większa część trzeciego roku pobytu na wyspie. Uprawiałem też gorliwie ziemię, gromadziłem ziarno, a łuszczyłem je w twardych od pracy rękach, gdyż nie pomyślałem dotąd o klepisku i cepie.

Miałem teraz tyle zboża, że konieczne okazało się powiększenie spichrza. Ostatni zbiór dał mi około dwudziestu korców jęczmienia i tyleż lub więcej ryżu, co mogło starczyć na całoroczne wyżywienie.

Mimo tego zajęcia nie przestawałem myśleć o lądzie, dostrzeżonym z przeciwległego wybrzeża wyspy i marzyłem, by się tam dostać. Jeśli był to, jak sądziłem, kontynent, mogłem tam znaleźć ludzi, a przeto również środki powrotu do ojczyzny.

Pod wpływem tych myśli odszukałem łódź leżącą na tym samym miejscu, gdzie ją w dzień rozbicia wyrzuciła burza. Gdybym ją mógł naprawić i spuścić na wodę, byłbym w stanie podjąć podróż dłuższą, może nawet aż do Brazylii. Wyciąłem tedy w lesie dźwigary i walce i zawlokłem je do łodzi, zdecydowany obrócić leżący dnem do góry statek, a potem naprawić.

Całe dwa tygodnie zmarnowałem na tę bezużyteczną pracę, zanim się przekonałem, że sił mi nie starczy. Mimo to nie zaniechałem planu. Odgrzebałem po jednej stronie piasek, sądząc, że podczas przyprływu łódź pochyli się sama na bok. Ale leżała dalej na miejscu, a nie było sposobu zbliżyć jej do wody, ni na cal. Chociaż trud mój był bezowocny, nie ustawała tęsknota za stałym lądem, postanowiłem tedy zbudować kanoe, czyli pirogę, które to statki robią dzicy okolic podzwrotnikowych, wydrążając ogniem pień drzewa. Powiedziałem sobie, że jeśli dzicy dokonują tego bez wszelkich narzędzi, mnie się musi powieść tem łatwiej. Niestety, znowu zapomniałem, że statek taki musi zostać spuszczonej na wodę, zaś siły jednego człowieka podolać temu nie mogą. Myślałem tylko o tym, jak przepłynę czterdzieści pięć mil morskich, dzielących mnie od lądu, zaś nie brałem zgoła pod uwagę, w jaki sposób przeciągnąć łódź czterdzieści pięć sążni¹ po piasku wybrzeża.

Jak głupiec przystąpiłem do roboty, marząc o bliskim wyzwoleniu, a ile razy nachodziły mnie myśli o trudach transportu lądem, powtarzałem sobie:

— Jakoś to będzie! Nie trap się, Robinsonie! Zrób tylko czółno, a reszta przyjdzie sama!

Ściąłem tedy cedr tak wspaniały, że chyba sam Salomon nie używał lepszych na świątynię Pańską, o średnicy przeszło pięciu stóp przy ziemi, a czterech stóp i ośmiu cali w wysokości stóp dwudziestu dwu. Zużyłem dwadzieścia dni, zanim go położyłem, a czternaście na odrąbanie korony i konarów. Miesiąc upłynął na obróbce kłosa w coś na kształt łodzi, zaś przez trzy miesiące drażyłem jego wnętrze bez ognia, jedynie za pomocą siekiery, dłuta i młotu. Sporządziłem na koniec wspaniałą pirogę, tak obszerną, że pomieścić mogła dwudziestu sześciu ludzi.

Ukończywszy swe dzieło, spojrziałem na nie z dumą i radością. Ileż mnie kosztowało trudu, ile ciosów siekiery! Gdybym zdołał spuścić ten statek na wodę, ręczę, że podjąłbym najszańszą pod słońcem podróż, jaką odbył człowiek od czasu istnienia żeglarstwa.

Niestety, na niczym spełzły wszelkie wysiłki. Łódź leżała w odległości stu metrów od brzegu, a w dodatku droga do strumienia wznosiła się na pewnej przestrzeni w górę. Nie bacząc na to, skopałem ten kawał drogi na poziom równy. Nadludzki trud tej pracy był mi niczym, oceni to każdy, kto wie, co znaczy nadzieja oswobodzenia z długoletniej niewoli. Gdym jednak skończył, wszystko okazało się daremne, a łódź leżała dalej jak skała wrosła w ziemię.

Zmierzywszy dokładnie odległość, postanowiłem wykopać dok, czyli kanał, by zbliżyć wodę do łodzi, skoro nie dało się uczynić odwrotnie. Zacząłem pracować, ale rozważywszy głębokość wykopu i masę ziemi, jaką bym musiał wybrać, doszedłem do przekonania, że potrwałoby to dziesięć do dwunastu lat, gdyż brzeg był tak wysoki, że trzeba by u wylotu kanału pogłębić go na dwadzieścia stóp co najmniej. Przygnębiony strasznie odstąpiłem w końcu od przedsięwzięcia, poznawszy, zbyt późno niestety, że nie należy rozpoczynać niczego przed obliczeniem kosztów i swych własnych sił oraz zdolności.

Podczas gdy pracowałem nad budową czółna, nadszedł koniec czwartego roku mego pobytu na wyspie; ucziłem tę rocznicę jak poprzednie modlitwą i rozmyślaniami.

¹sążeń — ok. 180 cm.

Mieszkałem już tak długo na wyspie, że różne przedmioty zabrane z okrętu uległy zużyciu, pośród nich zaś przede wszystkim odzież moja, z której zostały tylko łachmany. Musiałem pomyśleć o sporządzeniu innej. Pośród uratowanej odzieży marynarskiej znalazłem kilka ciepłych płaszczy strażniczych, których nie mogłem tu nosić skutkiem gorącego klimatu. Teraz postanowiłem sporządzić sobie z nich krótką kurtkę i kamizelkę. Uczyliłem, co mogłem, mimo to jednak strój wypadł fatalnie.

Celem uzyskania spodni jąłem się innego sposobu. Suszyłem dotąd zawsze starannie na słońcu skóry ubitej zwierzyny i przechowywałem je w domu. Wiele z nich stwardło na kamień i nie mogłem ich użyć, inne zaś pozostały miękkie i te mi się przysłużyły wielce.

Przed wszystkim zrobiłem sobie stożkowate nakrycie głowy z długowłosej skóry lamy, nie przepuszczającej deszczu. Dokonawszy tego dzieła uszyłem kompletne ubranie ze skór lamy i kozy, to jest luźny kaftan i sięgające do kolan spodnie. Winienem nadmienić, że robota krawiecka wypadła okropnie, bo jeśli byłem lichym cieślą, to stokroć jeszcze mniej posiadałem uzdolnienia w tym właśnie kierunku. Mimo to owo ubranie skórzane oddało mi wielkie usługi.

Wiele trudu i chytrych środków zużyłem na zrobienie parasola! Poznałem już w Brazylii, jak jest użyteczny, tu zaś słońce dogrzewało jeszcze silniej, a także deszcze trwały dłużej i były gwałtowniejsze. Z wielką biedą wynalazłem mechanizm, pozwalający zamykać i rozpinać parasol, i wykończyłem go jak należy. Ale trud opłacił się sowicie, bowiem miałem teraz ochronę, która pokryta kozią skórą nie dopuszczała ani promieni słońca, ani strug deszczu.

Na ogół biorąc, żyłem wygodnie i czułem zadowolenie. Ograniczyłem swe pragnienia, a los zdałem w ręce Ojca w niebiesiach. Z całym spokojem patrzyłem w przyszłość, gotów przyjąć wszystko z jego ręki. Śmiało rzec mogę, iż czułem się teraz szczęśliwy, przynajmniej o wiele szczęśliwszym niż dawniej.

Minęło znowu lat pięć bez szczególniejszych wydarzeń. Uprawiałem rolę, zbierałem plony, suszyłem winogrona, wałęsałem się ze strzelbą po całej wyspie, w końcu wyciosałem sobie drugą pirogę, ale oczywiście dużo mniejszą, dla spuszczenia której przyszło mi wykopać kanał szeroki na stóp sześć, na cztery głęboki i pół mili angielskiej długości.

W czólnie tak małym nie sposób było puszczać się na ląd stały, toteż wybiłem sobie z głowy to pragnienie i było mi z tym dobrze.

Zamiast tego umyśliłem objechać moją wyspę wokół i w tym celu starannie przysposobiłem statek do drogi. Ustawiłem maszt i sporządziłem żagiel z zapasowego płótna, schowanego w magazynie. Próbną jazdą wypadła świetnie. Uzupełniłem jeszcze czółno schowkami na zapasy żywności i amunicję, a prócz tego umieściłem w tyle przyrząd, pozwalający na zatknięcie parasola dla ochrony przed słońcem.

Przysposobiwszy się w ten sposób, wniosłem do czółna dwa tuziny bochenków chleba, naczynie z prażonym ryżem, dzban wody, pół kozy oraz dwa płaszcze strażnicze, mające mi służyć za pościel i kołdrę.

Dnia 6 listopada, szóstego roku mego panowania, czy też lepiej może niewoli, ruszyłem w drogę, zaopatrzony w pierw me wiernie zwierzęta domowe w paszę i wodę.

Podróż potrwała dłużej, niż sądziłem wyjeżdżając. Wyspa była niewielka, ale po stronie wschodniej miała wielką rafę skalną, sięgającą w morze na dwie mile angielskie, zakończoną ławicą piaskową, której część widzialna miała jeszcze pół mili długości. Toteż opłynięcie tej przeszkody zabrało mi sporo czasu.

Ujrawszy rafę, chciałem w pierwszej chwili wracać raczej, niż się tak daleko ważyć na pełne morze, zwłaszcza że nie miałem pewności, czy mi się uda szczęśliwie wrócić. Osadziłem tedy łódź na kotwicy sporządzonej z okrętowego żelazniwa i wyskoczywszy na ląd ze strzelbą w rękę, wyszedłem na wzgórze, z którego mogłem zobaczyć rafę w całej długości.

Przy tej okazji zauważyłem silny prąd w kierunku wschodnim, który przepływał tuż obok ławicy. Gdybym się był weń dostał, niewątpliwie czółno moje pomknęłoby na pełne morze, toteż złożyłem dzięki Bogu, który mnie skierował na to wzgórze. Po drugiej stronie wyspy biegł taki sam pas prądu, a piana szumiała u brzegu.

Całe dwa dni spędziłem tu, gdyż zerwał się wiatr wschodni, wprost przeciwny prądowi, tak że wzdłuż rafy powstały wielkie fale, a nie było sposobu ich wyminąć.

Trzeciego dnia morze i wiatr ścichły, toteż ruszyłem dalej, ale zaledwo dotarłem na koniec rafy i byłem o długość czółna oddalony od ławicy, porwał mnie prąd wartki, niby spod koła młyńskiego pędzący i porwał mnie ze sobą. Nie było wiatru dla mego żagla, na nic się nie przydało wiosłowanie. Zdjęty wielkim przerażeniem myślałem, że oba prądy, wokoło wyspy płynące, muszą się łączyć gdzieś dalej i że los mój jest przypieczętowany raz na zawsze. Wypędzony na pełne morze musiałem zginąć niechybnie. Nie miałem nadziei, że spotkam się z pomocą i ratunkiem i rozmyślałem, że umrę, wprawdzie nie od rozszalałego żywiołu, bo morze było spokojne, ale powolną śmiercią z głodu i pragnienia. Ubiłem przed odjazdem na brzegu dużego żółwia i zabrałem do łódki, zaczerpnąłem też świeżej wody, cóż to jednak znaczyć mogło wobec niezmiernej dali oceanu, o tysiąc mil od jakiegokolwiek lądu?

Poznałem teraz, jak łatwo jest Bogu pogorszyć jeszcze stokrotnie niedolę człowieka. Pusta, bezludna wyspa moja wydała mi się naraz przybytkiem szczęśliwości i zacząłem marzyć, że tam kiedyś dotrę. Zalany łzami wyciągnąłem ręce do niej i zawołałem:

— O ty precudowna pustelnio moja! Biada mi... już cię więcej nie zobaczę! O ja nieszczęsny... cóż mnie za okropności czekają!

Oddałbym był wszystko za możliwość dotknięcia stopą tej tak często przeklinanej ziemi. Człowiek poznaje wartość rzeczy dopiero po ich utracie.

Trudno wysłowić mój strach i rozpacz. Niesiony coraz to dalej pracowałem co sił wiosłami, by wyprowadzić łódź z prądu, ale wszystko było daremne. Około południa zerwał się lekki, południowo-wschodni wiatr. Odetchnąłem po trosze, zwłaszcza że wiatr przybierał na sile i zadął w końcu ostro. Oddaliłem się już bardzo od wyspy i przy mglistym dniu byłbym podwójnie stracony, gdyż nie posiadając kompasu, straciwszy ląd z oczu, nie wiedziałbym dokąd płynąć. Na szczęście powietrze było czyste, rozpostarłem przeto żagiel i skierowałem, o ile można było, ku północy.

Po chwili poznałem z koloru wody, że zaszła w prądzie zmiana. Mętna przy silnym prądzie, oczyszczała się w miarę jego słabnięcia. Niezadługo spostrzegłem po stronie wschodniej kilka skał, na których prąd się dzielił. Ramię główne szło ku południowi, boczne jednakże, odparte od tychże skał płynęło zrazu ku północy.

Rzuciwszy niebu dziękczynienie, odetchnąłem z ulgą, gdyż ten prąd, łącznie z wiatrem południowym, niosącym mnie wprost ku wyspie, tylko o dwie mile dalej niż rozpocząłem jazdę, był mym ocaleniem.

Woda uspokoiła się po chwili, wiatr mi został wierny, toteż po godzinie wylądowałem w małej zatoce po stronie północnej.

Wyskoczywszy z łódki padłem na kolana i zaniosłem do Boga podziękę za ratunek. Potem wyciągnąłem łódkę na brzeg i ległem spać.

Zbudziwszy się popołudniu postanowiłem wracać pieszo, gdyż nie miałem odwagi ryzykować ponownie podróży morzem. Chcąc zabezpieczyć łódkę, popłynąłem wzdłuż brzegu i napotkawszy ujście rzeczki zajechałem tam. W zacisznym miejscu umocowałem mój statek i ruszyłem na ląd dla zbadania, gdzie jestem.

Ze strzelbą tylko i parasolem szedłem w głąb wyspy, a okolica zaczęła mi się wydawać coraz to bardziej znana. Po krótkim czasie spostrzegłem, że idę wprost ku swemu letnisku i dotarłem też doń przed zapadnięciem mroku.

Przelazłszy płot ległem spoczywać, a znużenie sprowadziło na mnie zaraz sen.

Każdy z czytelników tej prawdziwej opowieści pojmie chyba me przerażenie, gdy nagle zostałem zbudzony głosem wołającym wyraźnie me imię.

— Robinsonie Crusoe! — wołał ktoś. — Gdzież to byłeś, Robinsonie Crusoe?

Wyczerpany długim wiosłowaniem i drogą pieszą nie mogłem odrazu zebrać zmysłów i byłem pewny, że śnię. Ale powtarzane ciągle te same słowa wróciły mi w końcu przytomność. Skoczyłem przerażony na równe nogi, ale otarłszy oczy, ujrzałem mego Pola, siedzącego na płocie. Poznałem zaraz, że to papuga mnie wołała, gdyż przemawiałem do niej tym samym tonem. Ptak stał się z biegiem czasu tak pojętny i przywiązany, że mi siadał na palcu i tuląc głowę do mej twarzy powtarzał przymilnie: — Biedny Robinson! Gdzież to byłeś, Robinsonie Crusoe? Co robiłeś, Robinsonie Crusoe? Skąd wracasz?... i tym podobne wyrazy.

Mimo że wiedziałem już, iż mnie wołała papuga, nie mogłem się uspokoić i łamałem sobie głowę nad pytaniem, czemu tu przyleciała właśnie. Uradowany widokiem wierne-

go przyjaciela, podałem palec, a Pol siadł na nim zaraz, pytając dalej, gdzie był biedny Robinson Crusoe, co robił i skąd wraca, zupełnie jakby się radował mym widokiem. Poglądziłem czule papugę i zabrałem ze sobą do domu.

Odeszła mnie ochota do podróży w celach odkryć, zmuszony zaś do podjęcia różnych prac domowych, znalazłem dość czasu na przemyślanie minionego niebezpieczeństwa. Radbym był mieć mą pirogę na tej stronie wyspy, jednakowoż nie śmiałem wystawiać się na prąd, który musiał istnieć również i po stronie zachodniej wyspy. Musiałem tedy zrezygnować na razie z posiadania czółna, na sporządzenie którego tyle zużyłem pracy i czasu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Robinson jako hodowca bydła i gospodarz domu. — Ślad na piasku. — Obawa rzecz to gorsza, niż samo niebezpieczeństwo. — Środki obrony. — Ludożercy na wyspie.

Minął jeszcze rok jeden. Żyłem spokojnie i jednostajnie, ćwicząc się w rozmaitych rzemiosłach, zwłaszcza zostałem dzielnym cieślą, co notuję ze względu na niedostateczną sprawność posiadanych narzędzi.

Odniosłem też tryumf w garncarstwie, sporządzając sobie fajkę. Była to prosta fajka gliniana, na czerwono wypalona, dała mi ona jednak dużo miłych chwil, gdyż z dawien dawna nawykłem do palenia tytoniu.

Wzrósł również znacznie mój zapas koszyków, których potrzebowałem zarówno na przechowywanie owoców i produktów rolnych, jak i dla celów noszenia różnych rzeczy do domu.

Jedną jednakże sprawą napelniała mnie troską, to jest zmniejszanie się mego zapasu prochu. Niezdolny sporządzić świeży proch, poważnie rozmyślałem, jak zdołam w przyszłości bez niego polować na dzikie kozy. Jak już wspomniałem, oswoiłem w trzecim roku pobytu młodą kozę, w nadziei doczekania się stada, ale koza niestety pozostała samotną i w końcu zdechła ze starości.

Teraz dopiero, w jedenastym roku pobytu mego na wyspie zająłem się myślą, jakby chwytać dzikie kozy w paści lub doły. Po długich, daremnych usiłowaniach udało mi się w końcu schwytać w dół dużego capa oraz trzy młode sztuki, dwie żeńskiej, a jedną męskiej płci.

Cap był jednak tak dziki, że nie mogłem sobie z nim dać rady, nie chcąc go zaś zabijać, puściłem na wolność. Nie przyszło mi wówczas na myśl, że głód byłby go obłaskawił. Trzeba go było zostawić na parę dni w dole, potem zaś dać mu po trochu jeść i pić. Stałby się wówczas pokorny niby jagnię, gdyż kozy są to zwierzęta mądre i przywykają łatwo do człowieka, byle się z nimi dobrze obchodzić.

Trzy młode okazy uwiązane na linach nie bez trudności zawiadłem do domu.

Chcąc dojść do posiadania trzody, powinienem był w pierwszej kolejności zabezpieczyć oswojone kozy od zetknięcia z dzikimi. Należało tedy zagrozić dla nich kawał pastwiska, co było pracą nie lada dla dwu tylko rąk ludzkich. Ale wziąłem się bez wahania do roboty i po trzech miesiącach otoczyłem mocną i pewną zagrodą kawał pastwiska, sto metrów szeroki, sto pięćdziesiąt długi, posiadający bujne krzaki i mały strumyk.

Zanim to skończyłem trzymałem troje kozłat zawsze w pobliżu, podawałem im czasem trochę owsa czy ryżu, one zaś zapoznały się ze mną i niebawem straciły wszelką ochotę do ucieczki.

Po upływie półtora roku posiadałem już trzodę w ogólnej liczbie dwunastu głów, zaś gdy ubiegły następne dwa lata, doszedłem do czterdziestu trzech sztuk, nie licząc tych, które w tym czasie zarzynałem. Ogrodziłem następnie jeszcze pięć dalszych pastwisk, komunikujących ze sobą, umieszczając też gdzieś tam daszki i koleby dające zwierzętom ochronę podczas słoty.

Na tym nie koniec. Miałem nie tylko pod dostatkiem mięsa, ale także sześć do ośmiu litrów mleka dziennie, że zaś przyroda nie tylko dostarcza każdemu stworzeniu pożywienia, ale uczy je również należyście spożytkować przez ludzi, przeto wziąłem się i ja do przerabiania mleka na masło i ser. Nigdy nie doilem dotąd krów czy kóz, teraz jednak zostałem skrzętnym i zręcznym mleczarzem. Soli dostarczał mi odpływ, susząc w szczelinach skał wodę morską.

Tak to Bóg miłosierny zastawił mi na bezludnej wyspie obficie zaopatrzony stół.

Jadałem zawsze w towarzystwie mych domowników, niby król otoczony wasalami. Pol, mój ulubieniec, miał sam jeden prawo mówić do mnie, staruszek pies siadywał po prawicy mojej, koty zaś zwinięte na stole czekały bacznie na kąski, jakie im rzucałem.

Koty przywiezione z okrętu, dawno pozdychały i pogrzebałem je w pobliżu mego osiedla. Zostawiły jednakże tyle potomstwa po lasach, i to tak złodziejskiego, że musiałem częstym strzelaniem bronić się od tej plagi.

Rad bym był sprowadzić czółno na tę stronę wyspy, a chociaż nie nęciła mnie podróż morską, chciałem zwiedzić tę część wybrzeża, gdzie wyszedłem na wzgórze dla zobaczenia, jak daleko rafa skalna sięga w morze. Co dnia silniej odczuwając tę chętkę, ruszyłem też tam dnia pewnego.

Trudno sobie wyobrazić dziwniejszego ode mnie wędrowca. Postać moja zadziwiłaby zapewne czytelnika.

Na głowie miałem szpiczastą czapę ze skóry lamy, z szerokim spadającym na kark fartuchem dla ochrony przed słońcem i deszczem.

Ubrany byłem w kaftan ze skóry koziej o połach sięgających do łędźwi, pod nim zaś spodnie z miękkiej skóry lamy, której uwłosienie spadało aż na łydki. Nie posiadałem pończoch ni trzewików, wymyśliłem sobie natomiast skórzaną plecionkę, okrywającą stopy i dolną część łydek, sznurowaną z przodu i z tyłu. Wyglądało to wszystko razem strasznie po barbarzyńsku, ale nie sposób było temu zaradzić.

Przepasany byłem szerokim pasem z koziej skóry, zeszytym takimiż rzemykami. Posiadał on po bokach rodzaj olster dla umieszczenia po lewej topora, zaś małej piły po prawej stronie. Drugi pas spływał mi przez prawe ramię. Dźwigał on dwie torby z koziej skóry na proch, kule i śrut. Na plecach miałem sztucznie upleciony noszak na pożywienie, służący jednocześnie za torbę myśliwską. W lewej ręce niosłem strzelbę, w prawej zaś parasol, sprzęt obok broni najkonieczniejszy dla mnie.

Byłem ogorzały, ale nie tak bardzo, jakby należało oczekiwać. Mając pod dostatkiem nożyczek i brzytwę, nosiłem brodę krótko przyciętą, tylko wąsy wyrosły mi tak długie, że z pewnością w mieście ulicznicy biegaliby za mną i szydzili.

Tak ubrany ruszyłem w drogę, idąc tuż nad wybrzeżem, aż do miejsca, gdzie umieściłem na kotwicy mą pirogę. Tu wyszedłem ponownie na wzgórze, ale spojrzawszy po morzu, z wielkim zdumieniem nie dostrzegłem ni śladu owego prądu, który mnie takiego nabawił strachu. Widocznie stał on w ścisłym związku z przypływem i odpływem i tę okoliczność stwierdziłem później dokładnie.

Wystarczyło tedy wybrać tylko odpowiedni czas, a czółno z łatwością dałoby się zabrać do domu. W pamięci mojej tkwiły jednak tak silnie przygody przebyte na morzu, że odstąpiłem od tej myśli. Woląłem raczej wyciosać sobie drugie czółno i mieć dwa po obu stronach do użytku.

Zszedłszy ze wzgórza, poszedłem na moje letnisko i tam spędziłem noc, nazajutrz zaś ruszyłem do przystani, gdzie zastałem mą pirogę nietkniętą w poprzednim stanie, spokojnie stojącą na kotwicy. Wzdłuż brzegu rzeczki dotarłem do morza i tutaj natrafiłem na coś, co memu życiu nadało całkiem nowy kierunek. Wypatrując muszli i innych produktów morza, jak to czyniłem zawsze, zobaczyłem nagle na piasku odcisk ludzkiej stopy.

Stałem niby rażony piorunem lub jakbym zobaczył ducha.

Nadsluchując bacznie, rozglądałem się wkoło, niczego jednakże nie zauważyłem.

Wszedłem na małe wzgórze, by sięgnąć spojrzeniem dalej, biegałem po wybrzeżu, ale nigdzie nie znalazłem odcisku drugiego. Długo badałem ślad, sądząc, że się mylę, ale nie było żadnej wątpliwości. Była to z całą pewnością stopa ludzka, z piętą, podeszwą, osadą przednią i pięciu palcami.

Nie mogłem zgadnąć, skąd się wzięła, ale że była, to fakt niezaprzeczalny.

Straciłem głowę i jąłem uciekać, obawiając się, czy mnie ktoś nie goni, podejrzewając zasadzkę za każdym krzakiem i pnem drzewa.

Do dziś nie wiem, ile czasu użyłem, by dobiec do mej forticy. Nie pamiętam też, czy wszedłem po drabinie, czy otworem w skale. Nie zwracałem na to uwagi, przejęty strachem.

Noc spędziłem bezsennie, gdyż podniecona fantazja przywodziła mi tysiące okropności i niebezpieczeństw do głowy.

Stopa ta mogła być tylko odciskiem dzikiego mieszkańca pobliskiego lądu. Niezawodnie wiatr zapędził czeredę dzikich na wyspę, z której potem niebawem odpłynęli.

Uradowany byłem, że w tym czasie nie znalazł się w tych stronach, a także, że nie odkryli mej pirogi. Gdyby to nastąpiło, dzicy postaraliby się też niezawodnie odnaleźć właściciela statku. Może jednak znaleźli oni czołno i nie odpłynęli z wyspy? Czyż miałem pewność, że tak nie jest? Mogli też wrócić w wielkiej liczbie i nawet, nie znalazłszy mnie samego poza palisadą, poniszczyć me zagrody, zabrać trzodę i spustoszyć me łany zboża.

Skutkiem przerażenia zapomniałem nawet o Opatrzności mimo tylu dowodów jej opieki. Jeden jedyny cios zniweczył cały spokój i szczęście mego życia. Po całych dniach byłem dręczony okropnymi myślami i bezustannie wyczekiwałem tej chwili, w której ludożercy wśród dzikich okrzyków rzucą się na mnie nawałą z włóczniami i strzałami, aby wydrzeć mi życie.

Potem myśli me przybrały inny kierunek. Może odcisk ten był śladem mej własnej stopy z czasów dawniejszych, kiedy, będąc tutaj, wysiadłem z czołna na piasek? To mi dodało otuchy i uznałem się za głupca, który opowiada niestworzone historie, a sam drży i boi się najbardziej.

Po czterech dniach wychyliłem się poza dom, albowiem nie miałem nic prócz kilku placków owsianych i wody, a także trzeba było wydoić kozy.

W gęstwie leśnej doznałem ponownie strachu, rozglądałem się też bacznie, gotów za najbliższym szmerem zmykać jak zając do mej fortecy skalnej. Nie zauważyłem jednak nic podejrzanego i to mi dało śmiałość wyruszenia pewnego dnia na wybrzeże przeciwległe dla zbadania raz jeszcze odcisku i przekonania się, czy jest śladem mej własnej stopy, czy też nie.

Próba wykazała jednak, że stopa moja jest o wiele mniejsza i ogarnięty ponownym strachem pośpieszyłem do domu. Miałem teraz pewność pobytu dzikich, a nawet zacząłem podejrzewać, że wyspa moja jest zamieszkała i należy się spodziewać zgoła niespodzianego napadu.

O, jakże ślepy strach może pozbawić człowieka zmysłów! Do jakichże nierozsądnych popchnąć go jest zdolny czynów! W pierwszej chwili chciałem zniszczyć zagrody i zapędzić oswojone trzody moje do lasu, by je ukryć przed nieprzyjacielem szukającym łatwej zdobyczy. Miałem też zamiar przekopać me łany, rozebrać letnisko, słowem zatrzeć wszelkie ślady mego pobytu na wyspie.

Takie dziwaczne pomysły nękały mój umysł podczas bezsennej nocy po powrocie. Strach przed niebezpieczeństwem jest o wiele gorszy od samego niebezpieczeństwa. O świcie dopiero zamknąłem oczy, zapadłem w głęboki sen i zbudziłem się znacznie spokojniejszy.

Zacząłem rozważać położenie moje chłodno i rozsądnie.

Wyspa położona tak blisko kontynentu nie była tedy do tego stopnia opuszczona, jak sądziłem zrazu. Chociaż sama niezamieszkała, mogła być od czasu do czasu miejscem lądowania dla statków przybywających umyślnie lub też zapędzonych prądem czy wiatrem.

Od lat piętnastu przebywając tu, nie napotkałem człowieka, przeto jeśli nawet bywali tu dzicy, nie zatrzymywali się nigdy długo, niebezpieczeństwo polegało więc na możliwości natknięcia się kiedyś na taką grupę dzikich, powinienem był tedy wyszukać sobie bezpieczne schronienie.

Pożalowałem teraz, że urządziłem w jaskini mej wejście z zewnątrz i umyśliłem obwarować ją lepiej przez drugi wał umieszczony ze strony przeciwnej, poza palisadą sprzed lat dwunastu. Umocniłem go belkami i starymi linami kotwicznymi, bacząc na to, by zostawić w nim siedem szerokich jak ramię otworów strzelniczych. Podsypałem ten wał z zewnątrz ziemią na wysokość dziesięciu stóp i ubiłem ją mocno. W siedmiu otworach strzelniczych ustawiłem siedem muszkietów zabranych z okrętu w pozycji, jakby były armatami. Do tego celu musiałem dla każdego z nich urządzić odpowiednie rusztowanie. Byłem teraz w możności dać ognia z wszystkich w ciągu dwu minut.

Długo i ciężko pracowałem nad budową tego wału i odzyskałem poczucie bezpieczeństwa dopiero, kiedy był gotowy.

Następnie wetknąłem przed wałem w ziemię pale i kije z gatunku drzewa puszczającego pędy, bacząc, by zachować znaczną odległość i nie pozwolić nieprzyjaciółom użyć tej plantacji jako zasięku dla siebie w czasie napadu. Wbiłem takich pali może z dwadzieścia tysięcy i bardzo szybko drzewo puściło pędy.

Po dwu latach powstała bujna gęstwa krzaków, zaś po pięciu wyrósł las młody, silny, a zarazem nieprzekraczalny dla żadnej istoty ludzkiej. Przy tym wyglądał tak dziko, że niepodobieństwem było przypuszczać, iżby poza nim mógł ktoś mieszkać.

W ten sposób zamknąłem wszelki dostęp do mej fortecy i mogłem do niej wchodzić wyłącznie tylko z wierzchołka góry po dwu drabinach, sięgających od góry i dołu do połowy wysokości jaskini, gdzie był naturalny wyskok skalny. Po zdjęciu tych drabin nikt nie mógł tu dotrzeć, a gdyby nawet zdołał to uczynić, dzieliła go jeszcze ode mnie pierwsza palisada.

W ten sposób uczyniłem wszystko, com mógł uczynić dla własnego bezpieczeństwa.

Mimo gorliwego zajęcia się tym, nie zapomniałem też o sprawach innych. Byt mojej trzody leżał mi na sercu, bowiem nie tylko dawała mi pożywienie, ale pozwalała szczerzyć prochu i zwalniała z trudów polowania. Strata jej i konieczność zakładania drugiej byłaby dla mnie wprost nieszczęściem.

Długo dumałem, jak ją zabezpieczyć najlepiej. Należało wykopać wielką podziemną jaskinię, by zwierzęta zapędzić tam w razie niebezpieczeństwa, albo też zagrozić w różnych odległych a ukrytych miejscach kilka pastwisk oddzielnych i trzymać tam po pół tuzina młodych kóz, których przychówek mógłby wyrównać stratę trzody głównej w razie napadu. Ten ostatni plan uznałem za lepszy.

Wyszukałem w najodleglejszej części wyspy głęboką, otoczoną lasem kotlinę, tę właśnie, na której swego czasu zabłądziłem, wracając ze wschodniego wybrzeża. Polaną mającą około trzech morgów obszar otaczał gąszcz taki, że sam już stanowił naturalną ochronę.

W ciągu niespełna miesiąca wykończyłem plot i mogłem tu umieścić część trzody. Wybrałem dziesięć młodych kóz i dwa młode capy i odtąd z większą już odwagą oczekiwałem napaści dzikich.

Cała ta ogromna praca i cały ten przewrót wywołane zostały jednym tylko jedynym śladem ludzkiej stopy na piasku, gdyż do tej pory nie napotkałem żywej duszy. Na ustawicznym niepokoju zeszyły mi dwa lata, utraciłem wszelką radość życia i całą wygodę, żyjąc w ciągłym strachu przed podstępem i złością istot ludzkich.

Zabezpieczywszy w opisany sposób część trzody, wyruszyłem na poszukiwanie miejsca drugiego dla koziej kolonii.

Zaznaczam tu, że nigdy nie miałem zamiaru stworzyć trzody oswojonych lam. Było ich na wyspie niewiele, a przy tym nie spodziewałem się z nich tych korzyści, jakie mi dawały dużo łatwiejsze do opanowania i mniejsze kozy. Wielce mi były przydatne skóry lam, a jedna z nich oswojona, pędząca w mej fortecy żywot spokojny i wygodny, sprawiała mi wiele przyjemności, jednakże nie posunąłem się aż do chowu tych zwierząt, nie mając ochoty ani na ich mięso, ani mleko.

Podczas jednej z wycieczek dotarłem aż do ostatniego, zachodniego krańca wyspy, gdzie dotąd nie powstała jeszcze moja noga. Wyszedłszy na skałę, ogarnąłem spojrzeniem morze.

— Ha! Cóż to widać? — zawołałem bezwiednie.

Ujrzałem czółno.

Przetarłszy oczy, spojrzałem ponownie.

Daleko, na lśniącej płaszczyźnie, dostrzegłem czarny punkt.

Posiadałem w domu kilka lunet, znalezionych w skrzyniach marynarzy. Na nieszczęście nie wziąłem żadnej ze sobą.

Wypatrywałem sobie wprost oczy, nie mogąc jednak stwierdzić, czy dostrzeżony przedmiot jest czółnem, czy pniem drzewa, niesionym przez wodę. Nie widać go było z samego wybrzeża, toteż zacząłem sobie samemu tłumaczyć, iż to pomyłka, jednocześnie ślubując, że nigdy bez lunety z domu nie wyruszę.

Niebawem okazało się jednak, iż odcisk stopy ludzkiej nie było to na mej wyspie zjawisko tak niezwykle, jakbym tego pragnął, i że tylko Opatrzność kazała mi wylądować po tej stronie, na którą dzicy nigdy nie zachodzili. Inaczej dawno by mnie już byli znaleźli.

Kanoe ich płynące od strony kontynentu bardzo często szukały ochrony w zatokach mej wyspy przed wiatrem. Prócz tego ludożercy toczący ciągle ze sobą wojny międzyplemienne przywozili tu swych jeńców, zarzynali i zjadali ich.

Uszedłszy niewielki kawałek drogi wybrzeżem, stanąłem nagle skamieniały od strasznej grozy. Nie zdołałem opisać nigdy uczuć, jakich doznałem, ujrawszy na białym piasku mnóstwo ludzkich czaszek, nóg, rąk i innych resztek ciała. Opodał poczerniały od dymu i ognia punkt wskazywał, gdzie płonął stos, wokoło zaś niego zagłębienie w piasku świadczyło, że siedzieli tu dzicy przy ohydnej uczcie swojej.

Okropny ten widok oszołomił mnie, tak że zapomniałem o grożącym mi niebezpieczeństwie, myśli me skierowały się wyłącznie na ową szatańską zbrodnię pożerania istot ludzkich. Słyszałem o ludożercach nieraz, nigdy jednakże nie znalazłem się w pobliżu tych potworów. Odwróciłem twarz, zrobiło mi się źle ze wstrętu i przez długą chwilę nie mogłem przyjść do siebie. Potem ruszyłem żywo do domu.

Przybywszy, zjąłem za sobą drabiny i teraz dopiero odetchnąłem z ulgą. Czulem się bezpieczny i powinszowałem sobie, że w ciągu lat ostatnich umocniłem swą fortecę. Jednocześnie zaś nabrałem przekonania, iż dzicy uważają wyspę za bezludną i nie przybywają tu na żadne poszukiwania. Mieszkając tu już blisko osiemnaście lat, nie natrafiłem aż do ostatnich czasów na ślad człowieka, toteż mogłem przeżyć drugie tyle czasu, a nie zdołaliby mnie znaleźć, chyba żebym im się pokazał sam, ku czemu jednak nie miałem żadnej ochoty.

Odraza, jaką mnie przejęli ci ludzie, i ich straszny obyczaj pożerania się wzajem przepoiły mnie jednak tak ponurym nastrojem, że blisko przez dwa lata po owym szkaradnym widowisku nie robiłem dalszych wycieczek, poprzestając na najbliższym otoczeniu domowym, to znaczy fortecy, letnisku i zagrodzie w lesie. Nie chcąc nawet zachodzić do mego czółna, postanowiłem zbudować sobie drugie. Tamtego nie mogłem wyprowadzić z zatoki, nie będąc dostrzeżony przez dzikich, a wiedziałem, że wpadłszy raz w ich ręce bez ratunku straciłbym życie.

Z biegiem czasu uspokoiłem się jednak i wróciłem do dawnego sposobu życia, unikając tylko spotkania z ludożercami. Toteż strzelałem, jak mogłem najrzadziej z obawy, by się nie zdradzić i dopiero teraz w całej pełni oceniłem wartość mej swojskiej trzody. Jeśli jeszcze od czasu do czasu polowałem na dzikie kozy, to tylko za pomocą paści i dołów, także przez ostatnie dwa lata nie dałem ani jednego strzału. Oczywiście, wyruszając z domu, zabierałem zawsze ze sobą muszkiet oraz trzy pistolety zabrane z okrętu. U pasa zawieszałem też jedną z wyostrzonych świeżo szpad oraz topór, tak że był ze mnie mąż wielce wojowniczy i niebezpieczny w spotkaniu z nieprzyjacielem.

Pominąwszy te środki ostrożności, żyłem teraz spokojnie, jak przed całym zajściem i poznałem, że w porównaniu z wielu innymi ludźmi los mój nie jest tak zły, oraz doszedłem do wniosku, że znikłoby dużo skarg, gdybyśmy swe życie porównywali z życiem bliźnich, którym się powodzi jeszcze gorzej. Przyrównując się do szczęśliwszych, zapominamy natomiast o winnej Bogu wdzięczności.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Robinson knuje mordercze plany. — Druga strona sprawy. — Przygoda w jaskini. — Różności odnoszące się do zwierząt Robinsona. — Ludożercy przy ucieczce. — Nowe plany mordercze.

W gruncie rzeczy nie brakowało mi już teraz niczego i dla rozrywki tylko zajmowałem się tym i owym, co bym chciał pozyskać. Te słowa ostatnie dotyczą jednak czasu, zanim mnie ogarnął strach przed dzikimi, gdyż potem znikł cały mój popęd wynalazczy.

Pośród innych, zajmowało mnie też pytanie, czy zdołałbym wytworzyć z jęczmienia sól, a z niego piwo. Było to niemal zuchwalstwem, gdyż ważniejsze od piwa miałem przed sobą zadania. Przyszła mi jednak ta chęćka, zgoła przyznam niewykonalna, gdyż do piwowarstwa trzeba mnóstwa przedmiotów, których sporządzić do tej pory nie zdołałem, jak na przykład beczek. Całymi tygodniami usiłowałem zrobić beczkę, ale wszystko szło na marne. Poza tym skądże wziąć chmielu, by piwo uczynić smacznym i trwałym, a także kotła, by je uwarzyć? Mimo to pewny jestem, że miałbym pewnego dnia na stole piwo,

gdyby nie strach przed ludożercami, gdyż powziąwszy raz plan, zawsze wprowadzałem go w życie.

Teraz jednak mój zmysł wynalazczy skierował się w inną stronę. Po całych dniach i nocach dumałem, jak by zaskoczyć dzikich przy krwawej uczcie i zniweczyć ich. Książka dwa razy obszerniejsza od tej nie pomieściłaby wszystkich planów, jakie układałem, by dzikich pokonać lub co najmniej postrachem odpędzić ich daleko. Wszystko było jednakże na nic, bo jakże walczyć samemu z dwudziestoma czy trzydziestoma dzikimi, którzy umieli trafić strzałami i włóczniami równie dobrze do celu jak ja z mych muszkietów.

Od czasu do czasu przychodziło mi na myśl zakopać kilka funtów prochu w miejscu, gdzie zakładali ognisko, tak by sami przez się ulegli zniszczeniu, ale miałem jedną zaledwie beczkę prochu, toteż nie mogłem się zdecydować na taką rozrzutność. Poza tym nie byłem pewny skutku. Dzicy mogliby zostać tylko obrzuceni węglem i głowniami, a to nie odstraszyłoby ich na pewno od wyspy.

Należało raczej ukryć się w zasadzce, wzięwszy trzy podwójnie nabite muszkiety i strzelać stamtąd podczas ich ohydnej biesiady. Na każdy strzał powinno by paść dwu lub trzech, jak sądziłem, potem zaś chciałem wypaść na nich z pistoletami i szpadą, tak by żaden nie uszedł. Dawało to nadzieję pokonania około dwudziestu dzikich.

Całymi tygodniami zajmował mnie ten plan i to tak żywo, że mi się po nocach śniły utarczki z niezliczonymi hordami ludożerców oraz świetne nad nimi zwycięstwa.

Nie poprzestając na snuciu planów, wyszukałem w ciągu kilku dni sposobne na zasadzkę miejsce, w pobliżu skalistej wyżyny, skąd mogłem widzieć przybywające czółna dzikich. Rosło tam kilka wielkich drzew, jedno zaś było wypróchniałe. Obrąłem je sobie za placówkę i umyśliłem strzelać stąd, mierząc dobrze, tak by kilku dzikich kłaść za każdym strzałem.

W ponurym nastroju nabilem dwa muszkiety siekańcem ołowianym oraz małymi kulkami, zaś strzelbę grubym śrutem. Każdy pistolet dostał cztery kule, po czym zabrawszy amunicję na dalszych sześć, czy osiem strzałów uznałem, że jestem dostatecznie wyposażony na moją wojenną wyprawę.

Każdego ranka ruszałem w pełnym rynsztunku do mej zasadzki odległej o jakieś trzy mile angielskie w celu wygładania czółen nieprzyjacielskich. W końcu jednak znużyło mnie to, gdyż przez dwa lub trzy miesiące nie odkryłem śladu dzikich na lądzie, ni na morzu.

Przez czas trwania tych wypraw nie opuszczała mnie chęćka zamordowania jakichś dwudziestu czy trzydziestu nagich dzikusów, by ich ukarać za nieludzkie postęпки, nad którymi zresztą nie zastanawiałem się dotąd poważnie.

W każdym razie dla dzikich ludożerstwo nie było czymś tak ohydny jak dla mnie. Wstrętny ten obyczaj odziedziczyli po przodkach i uznawali go za słuszny i zgodny z naturą.

Tracąc ochotę do codziennych marszów wywiadowczych, zacząłem też jednocześnie zmieniać zapatrywania na postęпки dzikich oraz własne wojownicze plany. Zadałem sobie pytanie, jakie mam prawo sądzić tych nieświadomych zła ludzi i mordować ich, skoro niczym przeciw mnie samemu nie wykroczyli, a obyczaje ich nic mnie przecież nie obchodziły.

— Czyliż wiem — pytałem sam siebie — jakim okiem patrzy Bóg na czyny tych biedaków? Nie uważają oni ludożerstwa za grzech, a przeto są mniej karygodni od wielu chrześcijan, którzy, wiedząc co grzech, dopuszczają się go codziennie. Zabijają oni jeńców swych jak my bydło i jedzą ich mięso jak my wołowinę lub kozinę, przeto nie widzą w tym nic złego.

Te rozważania doprowadziły mnie do wniosku, że nie miałem słuszności, zwąc dzikich mordercami. Iluż chrześcijan pomordowało jeńców wojennych? Cóż mnie zresztą obchodzić mogło ich wzajemne, nieludzkie postępowanie, skoro osobiście dotąd nie poniosłem krzywdy. Póki nie byłem zagrożony, nie miałem prawa występować zbrojnie.

Należało także wziąć pod rozwagę, że przedwczesnym rozpoczęciem walki mogłem sobie wielce zaszkodzić. Gdyby uszedł żywcem bodaj jeden z dzikich, doniosłby o wszystkim niezawodnie swym ziomkom, tysiące ich wylądowałoby na wyspie, ja zaś zginąłbym bez ratunku.

Jedną rzeczą było teraz, jak i przedtem, żyć ile możliwości w ukryciu, tak by dzicy uważali wyspę za całkiem bezludną.

Zaprzestałem więc mych marszów wywiadowczych i wykreśliłem z myśli wszystko, co dotyczyć mogło zachodniego wybrzeża mej wyspy. Przewiozłem natomiast drogą od wschodu na koniec mą pirogę i umieściłem ją w skalistej zatoce. Tutaj nie mogli dotrzeć dzicy, gdyż przeszkodą był im prąd wodny.

Warunki, w których teraz żyłem, odwiody mnie oczywiście od pożytecznych wynalazków i przedsięwzięć, a cała moja uwaga poświęcona została wyłącznie bezpieczeństwu osobistemu. Nie śmiejąc wbić gwoździa, ni rozłupać kawałka drzewa z obawy by hałas ten nie zdradził mej obecności, radbym był też nie rozpalać ogniska, o widzialnym daleko słupie dymu.

Prace wymagające ognia wykonywałem przeto teraz pośród lesistej kotliny, gdzie sporządził ostatnie wiadome zagrodzenie dla kóz. Tutaj odkryłem ku wielkiej mej radości obszerną jaskinię, do której na pewno nie mógł się dostać żaden z dzikich.

Wejście do niej leżało u podnóża skalnej ściany i byłbym go zgoła nie odkrył, gdyby nie to, że ściał kilka pniaków, by z nich wypalić węgiel drzewny.

Zanotuję tu mimochodem, na co mi były potrzebne te węgle. Oto nie chcąc rozpalać w forticy mej ogniska dającego dym, wypalałem tutaj zakryty lasem węgle na sposób węglarzy, w mielerzach, czyli stertach drzewa, okrytych darnią, potem zaś używałem tego nie dymiącego już materiału w domu do gotowania i wypieku. Nosilem te węgle w koszyku plecznym.

Odkryte wejście pobudziło mą ciekawość i wszedłem do wnętrza. Jaskinia była wysoka, tak że mogłem iść wyprostowany. Po kilku jednak krokach zawróciłem i umknąłem co sił. W głębokiej ciemności ujrzałem parę błyszczących, wbitych we mnie oczu. Na polu nabrałem jednak odwagi i powiedziałem sobie, że istota będąca w jaskini doznała niewątpliwie podobnego jak ja strachu. Chwyciłem tedy żagiew z ogniska i ruszyłem ponownie. I tym jednak razem uciekłem, bardziej jeszcze może przerażony, albowiem usłyszałem jęk, jaki wydaje człowiek w chwili wielkiego cierpienia. Włosy mi stanęły na głowie, ale zebrałem po chwili całą odwagę i wzniosłszy żagiew ruszyłem w stronę, skąd jęk dochodził. Po paru krokach zobaczyłem wielkiego bardzo starego kozła, który wydawał ostatnie tchnienie właśnie w chwili mego nadejścia. Potrąciłem go z lekka nogą, chcąc wiedzieć, czy nie da się wypędzić z jaskini. Uczynił ruch jakby chciał wstać, ale padł zaraz bezsilny.

Przyszedłszy z przerażenia do siebie, rozejrzałem się wokół. Jaskinia była mała i bardzo niekształtna. Wysokość jej, znaczna u wejścia, malała ku tyłowi nagle, tak że posuwać się mogłem tylko na czworakach. Dałem więc na razie pokój, postanowiwszy jednak zbadać rzecz nazajutrz dokładniej.

Zaopatrzyłem się w tym celu w sześć wielkich świec, jakie sporządzałem teraz z łaju koziego i kłaków. Krzesiwo stanowił zamek jednego z muszkietów napełniony hubką zbutwiałego drzewa. Wyposażony tak wszedłem do jaskini, co nie było sprawą błahą, gdyż nie wiedziałem, co mnie tam czeka w ciemności. Niskie przejście miało około dziesięciu metrów długości, po czym sklepienie wznosiło się na jakieś dwadzieścia stóp. Widok, jaki mnie tu uderzył, był czymś, czego, zaprawdę, nie widziałem w życiu. Światło mych świec odbijały tysiącrotnie ściany okryte, sam nie wiedziałem czym, klejnotami, diamentami czy złotem. Wnętrze lśniło takim blaskiem, że trudno było uwierzyć, iż patrzę na rzeczywistość, a nie śnię. Ziemię pokrywał sypki, suchy piasek, nigdzie śladu wilgoci nie dostrzegłem, a przy tym grota wolna była całkiem od brzydkich stworzeń, jakie chętnie przebywają w miejscach ciemnych. Jedyną stroną ujemną było niskie przejście, ale wzmagało to bardzo bezpieczeństwo tej kryjówki.

Uradowany wielce odkryciem postanowiłem przenieść tu niezwłocznie wszystkie najcenniejsze przedmioty.

Przed wszystkim szło mi o proch, dwie strzelby i trzy muszkiety. Pierwszego rodzaju broni posiadałem trzy sztuki, drugiego zaś osiem. Pięć muszkietów stało na rusztowaniach przy strzelnicach forticy i były w każdej chwili gotowe do strzału.

Przy tej sposobności otwarłem beczkę z przemoczonym prochem i przekonałem się, że woda dotarła tylko na kilka cali w głąb, zaś reszta pozostała nietknięta. W ten sposób

zapas mój wzrósł znowu o sześćdziesiąt funtów. Przeniosłem całą amunicję do nowej jaskini, zostawiając w fortecy tylko trzy funty na nieprzewidziany wypadek.

Byłem teraz czymś w rodzaju olbrzymów zamierchłych czasów, którzy mieszkali w przepastnych jamach i dziurach skalnych, gdzie nikt się do nich zbliżyć nie mógł. Nawet pięciuset dzikich nie znalazłoby mnie tutaj, zaś w razie odkrycia nie mieliby oni sposobu napaści wykonać.

Stary kozioł zdechł dnia następnego, ja zaś pogrzebałem go na miejscu.

Zbliżył się dwudziesty trzeci rok mego pobytu na wyspie. Nawykłem do tego życia zupełnie i nie przerażało mnie już, że dokonam tu życia w samotności, kładąc się, jak stary kozioł, na śmierć w głębi jaskini. Jedno mi tylko mąciło spokój, to jest strach przed dzikimi. W wolnych chwilach pozwalałem sobie na różne rozrywki i żarty. Wspomniałem już, że mój Pol umiał mówić. Paplanina tej papugi sprawiała mi wielką przyjemność. Była mi ona przez lat dwadzieścia sześć wierną towarzyszką i żyć by mogła pewnie dłużej jeszcze, gdyż słyszałem wielokrotnie w Brazylii, że nieraz papugi żyją do stu lat.

Pocciwy mój pies dochował mi przez lat szesnaście wierności, po czym zdechł z upadku sił, ja zaś niejednokrotnie opłakiwałem jego utratę.

Mówiłem już o kotach moich. Trzymałem tylko dwa oswojone w domu, nie dopuszczając do siebie gromady dzikich. Koty te sprawiały mi również dużo uciechy.

Prócz lamy miałem w obejściu wewnętrznym także kilka kóz. Żywiłem je z ręki, one zaś odwdzięczały mi się wielką przyjaźnią i przybiegały na zawołanie, skacząc wesoło.

Oswoiłem potem jeszcze kilka papug, ale chociaż umiały wymawiać me imię, nie były tak pojętne, jak stary mój Pol. Przyczynę stanowiła może ta okoliczność, że nie zajmowałem się nimi tak troskliwie i wytrwale.

Do mych zwierząt domowych zaliczałem też kilka kurek wodnych. Złapałem je na wybrzeżu, podciąłem im skrzydła i puściłem w obręb palisady. Niebawem jednak rozmnożyły się tak bardzo, że musiałem wypuścić stado na zewnątrz. Porobiły sobie gniazda w gałęziach młodego lasu, którym, jak wiadomo, otoczyłem mą siedzibę, a wesoły ich świergot i skoki radowały mnie często.

Życie na wyspie mógłbym być tedy nazwać szczęśliwym i spokojnym, gdyby nie strach przed ludożercami.

Bóg miał jednak co do mnie swe zamiary i okazał dowodnie na mym przykładzie, jak to ludzie nie zdają sobie sprawy, iż nieraz jedynym ich wyzwoleniem i środkiem ratunku jest to właśnie, czego się boją najbardziej i co uważają za ostatnie nieszczęście. Mógłbym złożyć na to liczne dowody z przeżyć własnych, jednakże nic nie daje lepszego stwierdzenia, jak wydarzenia zaszły w ostatnich latach mego pobytu na wyspie.

Nadszedł grudzień dwudziestego trzeciego roku mego wygnania, właśnie dojrzało zboże i miałem się wziąć do żniw.

Wstałem pewnego dnia przed świtem jeszcze i wyruszyłem na moje pole. Uszedłszy jednakże mały kawałek drogi zobaczyłem dym na wybrzeżu, w odległości jakichś dwu mil angielskich. Oczywiście wylądowali dzicy i to tym razem na mojej stronie wyspy.

Stałem przez chwilę skamieniały ze strachu, potem zaś wróciłem pędem do fortecy.

Wyciągnąłem drabiny, przysposobiłem wszystko do obrony, nabiłem muszkiety i pistolety i postanowiłem stawiać opór do ostatniego tchnienia. Nie zaniedbałem też polecić się opiece nieba i błagałem Boga, by mi nie dał wpaść w ręce barbarzyńców.

Siedziałem przez dwie godziny w fortecy, czekając napadu, potem wzięła mnie ochota ruszyć na wywiad do obozu nieprzyjaciela.

Nie mogąc nikogo wysłać, trapiiony ciekawością, wylaźłem po drabinie na szczyt mej góry, położyłem się na brzuchu i skierowałem lunetę na wybrzeże.

Wokoło ognia siedziało dziewięciu dzikusów i to nie w celu grzania się, ale po to, by urządzić sobie ohydny ucztę z ofiar, które przywlekli ze sobą.

Opodal leżały wyciągnięte na piasku dwa kanoe, że zaś był właśnie odpływ, sądziłem, iż dzicy czekają na przypływ, by odpłynąć.

Wzburzył mnie wielce widok straszliwych ludożerców w takiej bliskości mego osiedla, przekonawszy się jednak, że mogą wylądować tylko w czasie niskiego stanu wody, powiedziałem sobie, iż w porze stanu wysokiego i panującego przy nim prądu nic mi z ich strony nie zagraża, o ile, naturalnie, nie wylądują przedtem.

Przewidywanie moje było słuszne. Zaledwie nastał prąd zachodni i woda zaczęła się podnosić, dzicy zepchnęli co prędzej swe pirogi w morze i odpłynęli. Przedtem jednakże wykonali taniec, który obserwowałem najdokładniej przez lunetę. Byli oni całkiem nadzy i nie mieli ni strzępka odzieży na ciele.

Gdy tylko opuścili wyspę, zsunąłem się po skale do fortecy, wziąłem na plecy dwa muszkiety, zatknąłem za pas dwa pistolety, przypasałem szpadę i ruszyłem śpiesznie w stronę skalistych wzgórz, gdzie po raz pierwszy widziałem ślady dzikich. Po dwugodzinnym marszu przekonałem się po różnych znakach, że na wyspie wylądowały jeszcze trzy dalsze czółna, po chwili zaś dostrzegłem je istotnie w dali, na widnokregu, jak zmierzwały ku lądowi.

Widok ten odebrał mi otuchę, a przerażenie me wzrosło jeszcze, gdym zobaczył szkaradne szczątki uczyty, krew, kości i inne resztki ciał ludzkich, pożartych tu w radosnym upojeniu.

Rozgorzałem ponownie gniewem na tych obrzydłych barbarzyńców i postanowiłem wytropić bez litości załogę pierwszego czółna, jakie tu wyląduje.

Dzicy nie odwiedzali widać wyspy zbyt często, gdyż przez następnych piętnaście miesięcy nie odkryłem nigdzie ich śladu. Pora deszczowa czyniła też niemożliwym taki przyjazd, mimo to jednak żyłem w ciągłej obawie napadu, co dowodzi, że niebezpieczeństwo spodziewane jest stokroć gorsze od rzeczywistego.

Po całych dniach i nocach knułem plany mordercze, tracąc na tym czas, który mogłem spożytkować znacznie lepiej. Szło mi o najlepszy sposób podejścia ludożerców za następną ich bytnością, zwłaszcza gdyby znowu przybyli w dwu oddziałach. Zapomniałem przy tym całkiem, że chcąc uniknąć zdrady, będę musiał mordować jeden po drugim każdy przybywający tu oddział, tak by z wieścią nie wrócił nikt, a w ten sposób stanę się z czasem mordercą nierównie gorszym od tych nieświadomych pogan.

Na takich rozmyślaniach i obawach upłynął mi rok i trzy miesiące, a dzikich nie było ni śladu, chociaż zachodziła możliwość, że lądują i to nieraz w miejscach mi nieznanach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Tonący okręt. — Robinson jedzie na rozbity statek. — Świeże łupy. — Ludożercy. — Robinson ocala jedną z ofiar. — Pierwsze słowa ludzkie od lat dwudziestu pięciu. — Nowy towarzysz Piętaszek.

Muszę tu opowiedzieć pewne wydarzenie, które na czas pewien odwróciło myśli moje od dzikich.

Dnia 16 maja (jak wskazywał starannie prowadzony mój kalendarz) szalała od samego rana straszliwa burza z grzmotami i piorunami, a noc była tak okropna, że podobnej nie przeżyłem chyba jeszcze. Siedziałem do późna, czytając Biblię przy świetle małej lampki, gdy nagle z ogromnym zdumieniem posłyszałem od strony morza strzał armatni. Zerwawszy się, wybiegłem co prędzej po drabinie na szczyt mej góry i zaraz zobaczyłem na morzu błysk drugiego strzału, po czym w ciągu minuty nadpłynął huk od strony, gdzie prąd swego czasu uniósł mą łódkę na pełne morze. Były to niewątpliwie sygnały okrętu w niebezpieczeństwie, który wzywał w ten sposób na pomoc jakiegoś towarzysza swego.

Zebrałem co prędzej ile mogłem suchego drzewa i rozpałem ognisko, gdyż, chociaż nie mogłem pomóc załodze, powziąłem nadzieję, że sam uzyskam pomoc marynarzy.

Plomienie buchnęły wysoko i dostrzeżono je widać z pokładu, gdyż zaraz buchnął strzał trzeci, potem dalsze, a wszystkie z tej samej strony.

Przez całą noc podtrzymywałem ogień, gdy się zaś rozjaśniło, zobaczyłem daleko na morzu jakiś ciemny przedmiot, jednakże nie mogłem nawet przez lunetę rozpoznać, czy jest to okręt ożaglowany i płynący, czy też rozbitek.

Wziąwszy strzelbę, ruszyłem śpiesznie na południowe wybrzeże wyspy ku rafie, gdzie mnie ongiś porwał prąd. Rozpogodziło się tymczasem całkiem i ujrzałem z boleścią kadłub rozbitego okrętu, tkwiący na tych samych skalach, od których mnie zawrócił z powrotem ku wyspie prąd okrężny. To, co dla mnie było ocaleniem, to przypawiło tych żeglarzy o zgubę. Dostrzegłszy przedtem wyspę, mogliby pewnie dopłynąć tu łodziami.

Jak wzrok sięgał, nie było nigdzie czółna na morzu, ni u wybrzeża. Żeglarze musieli przeto zginąć w ciągu nocy, albo też zabrani zostali przez ten drugi okręt, do którego

skierowane były sygnały ratunkowe. Ponadto mógł ich porwać z lodziami prąd i unieść jak mnie na pełne morze, gdzie ich czekała długa męka śmierci głodowej.

Myśli te wyciskały mi gorzkie łzy z oczu.

— Ach! — zawołałem. — Czemuż to zginęli wszyscy? Dlaczegoż bodaj jeden nie uszedł cało i nie dopłynął tu, by mi zostać towarzyszem i powiernikiem, któremu mógłbym otworzyć serce swoje?

Ogarnęła mnie nieznana dotąd, potężna tęsknota za ludźmi i ból samotności.

— Bodaj jeden! Tylko jeden choćby! — wołałem tysiąc może razy, załamując ręce.

Inaczej jednak postanowiły losy i aż do ostatniej chwili mego pobytu na wyspie nie dowiedziałem się, czy cała załoga rozbitego okrętu poniosła śmierć, czy też może część jej znalazła ocalenie. Po kilku dniach ujrzałem z boleścią ciało młodego marynarza, niesione ku wybrzeżu. Miał tylko krótkie, płócienne spodnie i koszulę, tak że nie mogłem rozpoznać jego narodowości. W kieszeniach znalazłem dwie złote monety oraz fajkę, która mnie ucieszyła znacznie bardziej niż pieniądze.

Okręt osiadł na skałach tak daleko, że przez kilka dni nie mogłem się zdecydować, by jechać tam, znałem już bowiem z doświadczenia niebezpieczeństwa żeglowania po tych wodach.

Nie opuszczała mnie jednak myśl, że mogą się tam znajdować żywe istoty, które bez mej pomocy zginą marnie, zaś w razie ocalenia będą mi pożądanymi towarzyszami. Pod wpływem tych rozważań, poleciwszy się Bogu, przysposobiłem mój stateczek do drogi. Wziąłem sporo chleba, duży dzban wody, kosz rodzynek, kompas, drugi dzban koziego mleka i duży ser. Potem oddawszy się raz jeszcze bożej opiece odbiłem od brzegu.

Wiatr mi sprzyjał i po trzygodzinnej jeździe dotarłem do rozbitego okrętu, który, sądząc wedle budowy, musiał być pochodzenia hiszpańskiego. Tkwił wciśnięty pomiędzy dwie rafy. Część tylną zniszczyły już fale, a z masztów pozostały tylko niskie pniaki. Dziób przedni, lewa i przednia burta były jeszcze całe.

Gdy się zbliżyłem do okrętu, wyskoczył na pokład pies i zaczął na mój widok szczekać i skomleć. Zawołałem nań, on zaś skoczył bez wahania w wodę, podpłynął, ja zaś wciągnąłem go do czółna. Był na wpół tylko żywy z wycieńczenia. Dałem mu chleba, który pożarł chciwie, potem zaś wody, którą jął pić tak gwałtownie, że byłby chyba pękł, gdybym mu nie odebrał wody.

Przymocowałem mą pirogę do kadłuba i wszedłem na pokład. Straszny mnie uderzył widok. Zobaczyłem dwu utopionych marynarzy, zwartych w uścisku, co świadczyło, że statek musiał się znajdować podczas burzy dłuższy czas pod wodą.

Prócz psa nie było żywej istoty na całym okręcie, poza tym wszystkie towary, o ile zdołałem stwierdzić, zostały zniszczone przez wodę morską. Pod pokładem znalazłem dużo beczek prawdopodobnie ze spirytusem i winem, ale były zbyt wielkie, by się do nich zabrać. Zabrałem dwie skrzynie marynarskie, nie badając ich zawartości. Łup mój byłby niezawodnie znaczny, gdyby miast tylnej części, część przednia uległa zniszczeniu. Sądząc wedle tego, co zawierały skrzynie marynarzy, okręt wiozł wielkie bogactwa i dążył prawdopodobnie z Buenos Aires do Hawany, stamtąd zaś do Hiszpanii.

Prócz skrzyń wziąłem małą baryłkę wina. W kajucie znalazłem kilka muszkietów i duży róg pełen prochu, który zabrałem, zostawiając muszkiety. Posiadłem dalej szufłę do ognia oraz kilka miedzianych kociołków i dzbanów. Z tym łupem ruszyłem do domu, ponieważ zaś prąd zmierzał ku wyspie, dotarłem szczęśliwie, choć śmiertelnie znużony, do wybrzeża na godzinę przed zapadnięciem nocy.

Przenocowawszy w czółnie, wyniosłem na ląd pozyskane przedmioty. W jednej ze skrzyń znalazłem piękne puzderko skórzane. Zawierało flaszki kryształowe z napojami spirytusowymi, zamknięte srebrnymi kapslami. Znalazłem tu dalej kilka doskonałych koszul, kilka tuzinów białych chustek do nosa oraz pstrych szalików, trzy woreczki złotych monet w sumie około tysiąca stu reali, sześć zawiniętych w papier złotych dublonów oraz kilka sztabek złota łącznej wagi jednego funta. Druga skrzynka zawierała trochę odzieży małej wartości i trzy flaszki doskonałego prochu.

Łup mej wyprawy był tedy mały, zwłaszcza że pieniądze uważałem za coś jak piasek pod stopami i oddałbym je za kilka par dobrych pończoch i trzewików. Zabrałem co prawda trzewiki utopionym marynarzom i znalazłem jeszcze jedną parę w skrzyni, ale nie były one dobre i użyteczne dla mnie. Obok trzewików znalazłem w ostatniej skrzyni

jeszcze woreczek z pięćdziesięcioma realami. Przeniosłem te rzeczy do swej jaskini, gdzie złoto musiało czekać chwili powrotu do ojczyzny, by mi być w ogóle użyteczne.

Potem umieściłem pirogę w dawnym porcie i zabezpieczyłem ją tam. W fortecy mojej nic nie zaszło tymczasem, ponieważ zaś rozbity okręt nie przedstawiał dla mnie już nic ciekawego, przeto przestałem o nim myśleć i wróciłem do zwykłych zajęć domowych.

Minęły długie miesiące, w ciągu których po prostu nawykłem do tego stanu wytrwałej czujności, nie zaniedbując jednak niczego dla ochrony przed dzikimi.

Mimo wszystko przeraziło mnie wielce, gdym pewnego dnia zobaczył aż pięć kanoe na wybrzeżu, po mojej stronie wyspy. Wszystkie były puste i daremnie rozglądałem się za ludożercami.

Strach był uzasadniony zupełnie, gdyż każde czółno mogło pomieścić czterech do sześciu ludzi, a przeto miałem tuż pod bokiem dwudziestu lub trzydziestu nieprzyjaciół. Zakłopotany wielce, jak sobie dam radę z tą bandą, przysposobiłem mą fortecę do obrony w sposób już opisywany i przesiedziałem tu czas długi, nie wiedząc dobrze, co począć.

Czekałem i nadśluchiwałem przez parę godzin, nie doczekawszy się jednak niczego, oparłem muszkiety o skałę tuż pod drabiną, wyszedłem na wierzch góry i spojrzałem ku wybrzeżu.

Przez lunetę naliczyłem trzydziestu dzikich. Rozpalili wielkie ognisko i tańczyli wokół niego skacząc i wykonując barbarzyńskie ruchy.

Patrzyłem, a serce mi biło gwałtownie. Niedługo dzicy przywlekli z czółen dwie ofiary, które miały być zarżnięte. Jeden z jeńców padł zaraz rażony ciosem maczugi, czy drewnianego miecza, a trzech dzicy rzucili się nań, krojąc na części i przysposabiając zeń pieczeń. Drugi jeniec stał nieco z boku, czekając swej kolei.

Zdjęto z biedaka więzy i nie zwracano nań uwagi, tak jakby nie przypuszczano, że ma ochotę żyć dalej. Było tak jednak, gdyż nagle, korzystając z chwili, porwał się i jął uciekać z nieopisaną szybkością wprost ku mojej fortecy. W pierwszej chwili uczulem wielki strach. Cóż miałem począć, gdyby cała czereda ruszyła za zbiegiem? Opanowawszy się jednak, pozostałem na stanowisku i odetchnąłem zaraz z ulgą zobaczywszy, że tylko trzech dzikich goni uciekającego.

Za chwilę nabrałem otuchy, zbieg był bowiem dużo zwinniejszy od prześladowców i gdyby wytrzymał bodaj przez kwadrans jeszcze, musiał się ocalić.

Pomiędzy biegnącymi a moją fortecą wila się rzeczka, która mi służyła za przystań, ile razy zwoziłem towary z okrętu. Zbieg musiał ją przebyć wplaw, by nie zostać schwytany.

Dopadłszy brzegu, skoczył bez namysłu w wodę, mimo że była wezbrana skutkiem przypływu i dawszy około trzydziestu pchnięć wylazł na przeciwległy brzeg, po czym jął zmykać dalej z tą samą szybkością.

Zauważyłem, że spośród trzech dzikich dwu tylko umiało pływać. Trzeci został na brzegu, przyjrzał się płynącym towarzyszom, a potem zawrócił z wolna ku wybrzeżu morskemu. Dwaj ludożercy spisywali się dzielnie, ale zużyli na przebycie rzeki dwa razy tyle czasu co zbieg.

Patrzyłem na to wszystko i nagle przyszło mi na myśl, że ratując życie tego biedaka, mogę sobie pozyskać sługę i towarzysza, co zdawało się być nawet zrzędzeniem Opatrzności.

Zbiegłem tedy śpiesznie na dół, chwyciłem oparte o skałę muszkiety i ruszyłem co sił naprzeciw zbiega. Droga wiodła w dół ze wzgórza, przeto w ciągu kilku minut zdołałem oddzielić sobą ściganego od pogoni. Krzyknąłem zbiegowi kilka wyrazów i jąłem czynić gesty przyjacielskie, gdyż wiedziałem, że samych słów nie zrozumie, co go jednak przeraziło wyraźnie gorzej jeszcze od wrogów, którzy tymczasem nadbiegli.

Chwyciwszy muszkiet za lufę obaliłem jednego z nich ciosem w głowę.

Kula byłaby go pierwej dosięgła, ale chciałem uniknąć huk, który mógł zwabić resztę bandy. Nie brałem pod uwagę, że dzieli mnie znaczna odległość od miejsca, gdzie uczują, więc ani strzału słyszeć, ani dymu widzieć nie mogą.

Drugi dzikus przystanął przerażony upadkiem towarzysza. Gdy zaś podbiegłem ku niemu, położył strzałę na cięciwie huk. Nie miałem innego wyjścia, jak strzelić, gdyż trafiłby mnie niezawodnie. Zabiłem go na miejscu.

Biedny zbieg patrzył ze strachem, jak w jednej chwili załatwiłem się z jego obu wrogami i sądził niezawodnie, że teraz kolej na niego. Krzyknąłem nań ponownie i zachęciłem gestami, by się zbliżył.

Zrozumiał dobrze, podszedł parę kroków, ale przystanął znowu drżąc na całym ciele. Pewny był, że zostanie wzięty w niewolę i zabity jak tamci.

Dawałem mu znaki przyjacielskie, jakie tylko wymyślić byłem w stanie, on zaś zbliżał się z wolna, stając co krok, potem zaś ukląkł pokornie, dziękując w ten sposób za uratowanie życia.

Uśmiechnąłem się doń i poleciłem przyjść całkiem blisko. Uczynił to na koniec, ukląkł przede mną i ująwszy moją stopę, postawił sobie na karku, co znaczyło, że chce być odtąd moim sługą i niewolnikiem.

Podniosłem go, objąłem i zacząłem głaskać, słowem na wszelkie sposoby starałem się przekonać go o moich przyjacielskich uczuciach.

Czekała mnie jednak inna jeszcze robota.

Dzikus zwalony na ziemię ciosem kolby zaczął się poruszać, gdyż był tylko ogłuszony. Pokazałem go memu ocalonemu, ten zaś wyrzekł parę słów. Co prawda, nie zrozumiałem ich, ale wrzuszyły mnie one bardzo, albowiem były to pierwsze od lat dwudziestu pięciu słowa ludzkie, jakie usłyszałem.

Nie stało jednak czasu na rozmyślanie, gdyż dzikus usiadł i zaczął się rozglądać tak groźnie wokoło, że biedny zbieg znowu zaczął drżeć. Wymierzyłem doń z drugiego muskietu, ale ocalony zaczął mi dawać znaki, bym mu pożyczył mej szpady. Chwyciwszy ją, przyskoczył do nieprzyjaciela i jednym cięciem odrąbał mu głowę.

Zdziwiło mnie to wielce, gdyż sądziłem, że mój protegowany nie miał dotąd w ręku broni siecznej, z wyjątkiem chyba drewnianego miecza, o czym już wspomniałem. Potem jednakże dowiedziałem się, że owe drewniane miecze dzikich są tak twarde, ostre i ciężkie, iż można nimi odcinać ręce, nogi i głowy nawet za jednym ciosem.

Dokonawszy tego, wrócił do mnie mój protegowany uśmiechnięty tryumfalnie i położył mi u nóg broń oraz głowę nieprzyjaciela.

Nie mogłem pojąć, jak zdołałem z takiej odległości bez łuku zabić napastnika i poprosił gestami, bym mu go pozwolił obejrzeć. Skinąłem głową, on zaś podbiegłszy do zabitego zaczął go obracać, zdumiony krągłą raną pośrodku piersi, w której nie tkwiła strzała.

Zabrał łuk i strzały nieprzyjaciela i wrócił do mnie, ja zaś obróciłem się w zamiarze wracania do fortecy, dawszy mu przedtem do poznania, że ma iść ze mną, oraz że niedługo możemy mieć na karku całą bandę napastników.

Dziki spytał mnie gestami, czy ma pogrzebać ciała zabitych, by inni ich nie zobaczyli. Pochwaliłem go skinieniem, on zaś wziął się zaraz do roboty. Niesłychanie szybko wykopał rękami w ziemi dwie dziury i zagrzebał w nich zwłoki, tak że cały obrządek nie potrwał dłużej nad kwadrans.

Zaprowadziłem mego protegowanego do domu, to znaczy na razie nie do fortecy, ale do nowej mojej jaskini w głębi wyspy. Tutaj dałem mu chleba, pęczek rodzyneków i dzbanek wody. Rzucił się łapczywie na chłodny napój, potem zaś na pożywienie, z czego wywnioskowałem, że musiał długo pościć. Gdy się orzeźwił, wskazałem mu legowisko ze słomy ryżowej i koców, dając gestami polecenie, by spoczął. Usłuchał natychmiast i zaraz zapadł w głęboki sen.

Mogłem się teraz dokładnie przypatrzeć memu towarzyszowi. Był to piękny, okazały mężczyzna, o członkach silnych i elastycznych, niezbyt rosły, ale harmonijnie zbudowany, w wieku około lat dwudziestu sześciu. Wyras twarzy jego nie był wcale dziki, ani zuchwały, przeciwnie, nawet szczery, śmiały i męski, zaś uśmiech, jaki przedtem już dostrzegłem, świadczył o serdeczności godnej każdego cywilizowanego Europejczyka. Włosy miał długie i czarne, ale nie wełniste, jak Murzyn, czoło szerokie i wysokie, zaś oczy wielkie i ogniste. Nade wszystko spodobała mi się piękna, ciemnooliwkowa barwa jego skóry. Twarz była krągła, nos cienki, nie zaś szeroki, jak u Afrykanina, zaś pomiędzy kształtnych warg błyskały zęby przypominające kość słoniową.

Podczas jego snu wyszedłem w zagrodzenie, by wydoić kozy, ale w niespełna pół godziny wybiegł z jaskini, spostrzegłszy mnie zbliżył się szybko i legł przede mną na ziemi, usiłując mi wyrazić na wszelkie sposoby swą wdzięczność, pokorę i gotowość do

usług. W końcu postawił sobie znowu na karku mą stopę, tak że nabrałem pewności, iż pragnie służyć wiernie do końca życia.

Rozumiałem większą część jego gestów i starałem się ze swej strony zapewnić go o mej życzliwości.

Potem zacząłem do niego mówić powoli i wyraźnie. Nasamprzód wyjaśniłem mu, że będzie odtąd nosił imię: Piętaszek, ponieważ w piątek nastąpiło jego ocalenie. Potem nauczyłem go słowa: pan, dając do zrozumienia, że tak mnie ma zwać, w końcu zaś poznał słowa: tak i nie i pojął szybko ich znaczenie. Następnie wziąłem garnek z mlekiem i pokazawszy mu jak maczam w nim chleb i jem, poleciłem mu zrobić to samo. Usłuchał zaraz i zaczął wysławiać gestami uniesienia dobroć tego jadła.

Spędziłem z nim w jaskini noc, zaś o świcie ruszyliśmy do domu, przy czym dałem mu do zrozumienia, że otrzyma podobną do mojej odzież, gdyż był dotąd goły zupełnie.

Gdyśmy mijali miejsce pogrzebania obu zabitych, Piętaszek spytał mnie gestami, czy by nie należało wykopać ciał i pożreć ich.

Przypuszczenie to napęliło mnie taką odrazą, że nań napadł rozgniewany, starając się wyjaśnić, jak hańbiącym i przeciwnym naturze jest ludożerstwo. Jednocześnie rozkazałem mu iść za sobą, co też uczynił z wielką pokorą i uległością. Wyprowadziłem go na szczyt wzgórza celem zobaczenia, czy dzicy są jeszcze na wyspie. Przez lunetę rozpoznałem wyraźnie miejsce, gdzie uctowali, ale czołen nie było nigdzie, przeto oczywiście odplynęli, nie troszcząc się o swych dwu towarzyszy i jeńca.

Nie poprzestałem na tym odkryciu, nabrawszy bowiem odwagi, uczulem też ciekawość. Dałem Piętaszkowi szpadę, kazałem mu wziąć łuk i strzały jednego z zabitych, czym umiał się doskonale posługiwać, oraz zawiesiłem mu przez plecy jeden muszkiet. Sam wziąłem dwa muszkiety i tak uzbrojeni wyruszyliśmy w drogę ku wybrzeżu.

Przysposobiony byłem na wstrętny widok, to jednak, com zobaczył jako resztki uczyły ludożerców, odebrało mi niemal przytomność.

Natomiast Piętaszek pozostał obojętny, uważając wszystko za rzecz całkiem naturalną.

Wybrzeże pokrywały ludzkie kości, biały piasek przesiąknięty był krwią, a wszędzie leżały spore kawały mięsa nadgryzione i na poły zwęglone.

Zobaczyłem trzy czaszki, pięć rąk oraz kości z trzech czy czterech nóg i inne szczątki ludzkich ciał.

Piętaszek objaśnił mnie gestami, że dzicy przywieźli tu czterech jeńców, by ich zjeść. Trzech dostarczyło mięsa na ucztę, czwartym zaś był on sam. Na pobliskim lądzie stałym odbyła się wielka bitwa pomiędzy jego szczepem a sąsiednim, Piętaszek i wielu innych popadli w niewolę, a jeńców rozwieźli zwycięzcy w różne odległe strony w celu pożarcia ku czci zwycięskiej bitwy.

Kazałem mu zebrać straszne szczątki na jedną kupę, nałożyć drzewa i rozpalić wielkie ognisko, by zetlały na popiół.

Spostrzegłem niestety, że patrzył na te ochłapy z pewnym łakomstwem i chętnie by był połknął kawałek, gdyż sam zaliczał się też do ludożerców. Okazałem jednakowoż takie oburzenie, że pokonał chętkę i szybko spełnił mój rozkaz. Dałem mu do poznania, iż go zabiję natychmiast za najłżejszą oznakę instynktu ludożerczego.

Oczyściwszy to miejsce powróciliśmy do mej fortecy i tu zabrałem się zaraz do przeobrażenia Piętaszka zewnętrznie przynajmniej w nowego człowieka. Dałem mu krótkie, płócienne spodnie, zabrane z drugiego okrętu, a po małej poprawce były nań zupełnie dobre. Potem uszyłem kaftan z kozich skór, co mi poszło dobrze, gdyż z biegiem lat wyuczyłem się porządnie krawiectwa. Na koniec ofiarowałem mu czapkę ze skóry zajęczej, lekką, elegancką i nadzwyczaj modną. Piętaszka radowało wielce, że jest ubrany, jak sam jego pan.

Co prawda odzież ta zawadzała mu z początku, nie mógł sobie dać rady ze spodniami, zaś rękawy kaftana obcierały mu skórę na ramionach i pod pachami. Rychło jednak ustały te niedomagania i ubranie stało mu się równie jak mnie niezbędne.

Dnia następnego wystawiłem pomiędzy obu wałami mały namiot na mieszkanie dla Piętaszka. Jak wspominałem, otwór w skale wychodził na to właśnie miejsce. Teraz zamknąłem go drzwiami otwieranymi z wnętrza, tak że Piętaszek nie mógł się wbrew mej woli tam dostać. Krąg, otoczony pierwszą palisadą, miał teraz nakrycie z pni i grubej

warstwy słomy ryżowej, zaś otwór na drabinę przeznaczony zamykała ciężka spadająca klapa. Poza tym każdego wieczoru zabierałem wszystkie broń do wnętrza.

Piętaszek był to dzikus o nieznanym mi zgoła usposobieniu i byłbym bardzo nierozsądny, zaniedbując środków bezpieczeństwa i ufając mu lekkomyślnie.

Okazało się to potem zbyt cenne, gdyż w Piętaszku pozyskałem przyjaciela wiernego, uczciwego i oddanego zupełnie. Nie miał on żadnych zachcianek, nie był opryskliwy, niechętny czy zuchwały, przeciwnie, zawsze okazywał pogodę, usłużność i posłuszeństwo bezwzględne. Pokochał mnie z całego serca jak syn ojca i w razie potrzeby oddałby był chętnie za mnie własne życie. Toteż niedługo zaniechałem wszelkich ostrożności i zamieszkaliśmy wspólnie pod jednym dachem.

Uczyłem go z wielkim upodobaniem, chcąc zeń mieć nie tylko miłego, ale także użytecznego towarzysza. Przede wszystkim musiałem wpoić mu znajomość mego języka dla szybkiej wymiany myśli. Słuchał bacznie moich słów, a ile razy je tak wyraźnie powtórzył, że go mógł zrozumieć, radował się jak dziecko.

Życie nabrało teraz dla mnie nowej wartości, uczulem się na wyspie jak we własnym domu i gdyby nie strach przed dzikimi, chętnie byłbym się zgodził pozostać tu do ostatniej chwili życia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— Piętaszek i strzelba. — Rozmowy Robinsona z Piętaszkiem. — Benamuki. — Robinson i Piętaszek sporządzają pirogę.

Po kilku dniach zabrałem Piętaszka na polowanie. Pragnąłem bardzo odzwyczaić go co prędzej od ludożerczych skłonności i dać pokosztować innej strawy. Po krótkiej wędrówce przez las wyszedłem dziką koźlą, leżącą wraz z dwoma kozłętami w cieniu drzewa.

Chwyliłem Piętaszka za ramię i zatrzymałem w miejscu.

— Stój! Bądź cicho! — szepnąłem, dając znak, by się nie ruszał.

Potem wymierzyłem, dałem strzał i jedno kozłę legło nieżywe.

Biedny mój Piętaszek omal nie padł na ziemię z przerażenia. Widział już, jak zabiłem dzikiego, ale nie miał wyobrażenia, w jaki się to stało sposób.

Nie patrząc na zabite kozłę, rozpiął kaftan i zaczął się obmacywać wszędzie, chcąc zbadać, czy jest ranny. Był pewny w tej chwili, że chciałem go zabić. Padł przede mną potem, objął me kolana i zaczął wykrzykiwać mnóstwo niezrozumiałych słów, z czego wywnioskowałem, że mnie błaga o darowanie życia.

Udało mi się rychło przekonać go, że mu nie chcę uczynić krzywdy, wziąłem go za rękę, roześmiałem się, potem wskazując zabite jagnię rozkazałem, by je przyniósł. Usłuchał, a podczas gdy oglądał zdumiony zwierzynek, nabiłem strzelbę ponownie.

Po chwili spostrzegłem na drzewie wielkiego ptaka w rodzaju jastrzębia. Dałem Piętaszkowi do zrozumienia, co zamierzam, wskazałem mu strzelbę, potem ptaka, a potem trawę pod drzewem, wyrażając tym, że ptak tam spadnie. Potem wymierzyłem, oddałem strzał i ptak spadł.

Piętaszkiem ponownie owładnął strach i większe jeszcze niż przedtem zdumienie. Nie widząc, jak nabijałem strzelbę, sądził, że mieści w sobie niewyczerpane źródło zniszczenia i śmierci, zabijając ciągle na każdą odległość ludzi, zwierzęta i ptaki.

Długo nie mógł pozbyć się tego zabobonu i omal nie oddawał czci boskiej mojej strzelbie.

Nie śmiał jej dotknąć przez kilka dni, a gdy był z nią sam na sam, trzymał się w pełnej szacunku odległości i przemawiał jak najgrzeczniej, w tym celu, jak się potem dowiedziałem, by w niej wzbudzić litość i ubłagać, by go nie zabijała.

Gdy się trochę uspokoił, kazałem mu przynieść ptaka. Był to nie jastrząb, lecz papuga, żyła jeszcze i trzepotała się, tak że nie mógł jej zaraz wziąć w rękę. To mi pozwoliło nabić niepostrzeżenie strzelbę po raz trzeci. Nie nadarzył się jednak żaden nowy cel, zabraliśmy przeto do domu kozłę, z którego przyrządziłem doskonałą zupę. Skosztowałem i podałem miskę Piętaszkowi, który ją obwąchał ciekawie i z widocznym upodobaniem, potem zaś zjadł łapczywie. Dziwił się tylko, że dodaje do zupy soli. Wstrząsał głową i dawał do zrozumienia, że sól jest to rzecz szkodliwa i wstrętna wielce. Wobec tego zjadłem kawałek

mięsa i skrzywiłem się z udanym wstrętem. Ale nie odstąpił od swego przesądu nawet i potem, jadając najchętniej niesolone potrawy.

Zapoznał się już więc ze zupą i gotowanym mięsem, zaś dnia następnego umyśliłem zrobić mu niespodziankę pieczenia. Zawiesiłem nad ogniem, jak to widziałem w Anglii, kawałek mięsa na trójnogu z patyków. Przez ciągle obracanie sznurka z wiszącym mięsem doprowadziłem rychło do tego, że się upiekło. Piętaszek podziwiał to wielce, a skosztowawszy soczystej pieczeni, wyraził znakami, że nie jadł jeszcze w życiu nic równie dobrego. Dodał, iż odtąd nie tknie ludzkiego mięsa, z czego byłem oczywiście bardzo zadowolony.

Następnego dnia pokazałem mu, jak młócić i czyścić zboże. Pojął to prędko i pełnił tę robotę tym chętniej, że wiedział, iż ze zboża będzie chleb. Nauczył się też niebawem sztuki piekarskiej. W czasie bardzo krótkim stosunkowo mógł wykonywać każdą pracę domową równie dobrze jak ja sam.

Mając teraz do wyżywienia dwu ludzi, musiałem powiększyć uprawne pole, by większe osiągnąć plony i wziąłem się z pomocą Piętaszka do zagradzania dalszych obszarów. Zaczynał chłopak być uszczęśliwiony, mogąc mi pomagać, wiedział też, że owoce pracy zarówno moją, jak i jego staną się własnością.

Zaden jeszcze rok pobytu na wyspie nie dał mi tyle radości i miłych chwil. Piętaszek opanował szybko język i nie było już miejsca w bliższym otoczeniu, ani przedmiotu w domu, których nazwy by nie znał. Lubił ze mną rozmawiać, toteż i mój język, milczący tak długo, wrócił do swoich praw. Chcąc się przekonać, czy myśli jeszcze o swej ojczyźnie, skierowałem pewnego dnia rozmowę na jego szczerp i spytałem, czy miał kiedy powodzenie w bitwach. Spojrzał na mnie z uśmiechem i powiedział:

— O tak, panie! My zawsze walczyć dużo, bardzo dużo!

Chciał przez to wyrazić, że naród jego ma znaczną przewagę nad wrogami. Teraz rozpoczęła się pomiędzy nami następująca rozmowa:

Piętaszek: — O, mój lud walczyć mimo to mocno, bardzo mocno!

Ja: — Jeśli tak jest, to czemuż dałeś się złapać?

Piętaszek: — Nieprzyjacieli dużo więcej, niż nasz lud! Nieprzyjacieli złapać jeden, dwa, trzy ludzie i Piętaszek! Mój lud walczyć mocno, dużo mocno, tam gdzie nie ma Piętaszek złapać jeden, dwa, trzy, dużo... tysiąc ludzi!

Ja: — Czemuż nie uwolnili cię tedy twoi rodacy, skoro mogli to uczynić?

Piętaszek: — Nieprzyjacieli ucieka z jeden, dwa, trzy ludzie i Piętaszek, ucieka w kanoe! Mój lud nie ma kanoe, cóż robić?

Ja: — Powiedz mi teraz, co robi lud twój ze złapanymi wrogami? Czy ich zjada?

Piętaszek: — Tak, mój lud zjadać wrogów, dużo, wiele, wszystko zjadać!

Ja: — A dokądże zawozicie swych jeńców?

Piętaszek: — Daleko, daleko tam i tu, i inne miejsce!

Ja: — Czy i na tę wyspę?

Piętaszek: — Tak, tak, i ta wyspa, i inne miejsce!

Ja: — Czy byłeś sam już kiedyś dawniej na tej wyspie?

Piętaszek: — Tak, tak, byłem dużo razy tamto miejsce!

To rzekłszy wskazał ku północno-zachodniej stronie wybrzeża, gdzie było, zdaje się, miejsce uczt jego plemienia.

Zaczynał mój Piętaszek znajdował się przeto pośród ludożerców, którzy mnie takim przejmowali strachem, gdy go zaś raz zabrał tam, gdzie po raz pierwszy odkryłem straszne ślady uczty, wskazał mi dokładnie miejsce, na którym on sam i jego towarzysze zabili i zjedli dwudziestu mężczyzn, dwie kobiety i dziecko. Nie umiał jeszcze po angielsku liczyć do dwudziestu, ale poradził sobie, układając obok siebie dwadzieścia kamyczków.

Spytałem go, czy podróż na ląd stała połączona jest z niebezpieczeństwem i czy często toną czółna. Odparł, że nie, ale że na pełnym morzu wieje regularnie wiatr i płynie prąd, a jedno i drugie zmienia kierunek rano i wieczór. Później dowiedziałem się, że zjawisko to powoduje przypływ i odpływ u ujścia wielkiej rzeki Orinoko, zaś ląd, widoczny na północnym zachodzie, to wyspa Trindar.

Zadawałem Piętaszkowi setki pytań, dotyczących tego lądu, jego mieszkańców, morza i pobliskich wybrzeży oraz ludów krajów sąsiednich, on zaś opowiadał z całą szczerością. Ale dla wszystkich ludów tych okolic miał jedno tylko miano: Karaibów.

Oznajmił mi też jako wielką nowość, że poza księżycem, to znaczy w stronie, gdzie zachodzi, czyli na zachodzie, mieszkają ludzie biali z brodami jak moja i że „zabili dużo, wiele ludzi”. Miał pewnie na myśli Hiszpanów, którzy się wstawili w Ameryce okrucieństwem, o którym wieści przechodziły tradycją z ojców na synów.

Spytałem go też, czy mógłbym opuścić tę wyspę i pojechać do białych ludzi, oraz w jaki to uczynić sposób. Odpowiedział:

— Tak... dwa kanoe!

Nie zrozumiałem, co ma na myśli i dopiero po długich trudnościach i nieporozumieniach wywnioskowałem z jego objaśnień, że „dwa kanoe”, oznacza łódź podwójnej wielkości kanoe zwykłego. Sprawilo mi to wielką radość i odtąd zacząłem żywić w cichości nadzieję, że jednak opuszczę tę wyspę i to może właśnie przy pomocy tego biednego dzikiego.

Doprowadziwszy do tego, żeśmy się mogli doskonale porozumiewać, uznałem za swój obowiązek wpoić Piętaszkowi zasady wiary chrześcijańskiej. Zacząłem od pytania, czy wie kto go stworzył.

Długo na mnie patrzył i po długich dopiero namysłach wpadło mu do głowy, że może pytam o jego ojca.

Postawiłem tedy pytanie inaczej i kazałem mu powiedzieć kto, jego zdaniem, stworzył morze, ziemię, góry, zwierzęta i drzewa.

Zrozumiał od razu i odpowiedział szybko i bez namysłu:

— To zrobił Benamuki.

— Kto jest Benamuki i gdzie mieszka? — spytałem znowu.

Pomyślał trochę i odparł:

— Benamuki dużo stary człowiek, mocno dużo stary, więcej stary niż słońce i księżyc, ziemia i morze. Benamuki mieszka daleko, w inne miejsce.

— Jeśli Benamuki stworzył wszystko — pytałem dalej — to czemu go nie wielbi świat cały i wszystko, co na nim jest?

Przybrał poważną minę i rzekł:

— Wszystkie rzeczy mówią: Oho! do Benamuki.

— Powiedz mi Piętaszku — rzekłem — co się wedle wierzeń twego ludu dzieje z ludźmi po śmierci?

— Idą do Benamuki!

— Nawet i pożarci?

— Nawet i oni! — odparł pewny swego.

Staralem się pouczyć go, że prawdziwy Stwórca świata i jego kierownik, Bóg, mieszka w niebie i że z jego łaski mamy wszystko. Słuchał pilnie, gdy mu zaś opowiedział mękę i śmierć krzyżową Chrystusa Pana, ogarnęło go wielkie zgorzienie.

Pewnego dnia po nauce rzekł mi, że nasz Bóg, który mieszka daleko, poza słońcem, a mimo to wszystko widzi i słyszy, musi być Bogiem dużo większym niż Benamuki, do którego mówić można tylko wychodząc na górę, gdzie mieszka.

Spytałem, czy był już na tej górze i czy rozmawiał z Benamukim, on zaś odparł:

— Nie. Młody człowiek nie mówić z Benamuki, stare mówić. Starców tych zwał Uwokaki i domyśliłem się, że muszą to być kapłani jako szczepu.

— Uwokaki iść góra — odpowiadał — i krzyżeć: Oho! do Benamuki. Potem wrócić, a lud mój wiedzieć, co mówi Benamuki.

Dowiedziałem się w ten sposób, że najdziksi i najbardziej zaślepieni poganie mają swych kapłanów.

Rozmowy takie wiedliśmy codziennie, a po trzech latach, najmilszych z całego mego pobytu na wyspie, Piętaszek stał się chrześcijaninem jak ja, a nawet lepszym jeszcze.

Rozumiał teraz niemal wszystko, com mówił do niego, językiem angielskim władał płynnie, przekręcając tylko śmiesznie niektóre słowa. Opowiedziałem mu też koleje swego życia. Dowiedział się o mym nieposłuszeństwie dla ojca i karze boskiej, to jest osadzeniu mnie na tej samotnej wyspie. Potem wtajemniczyłem go w działanie prochu strzelniczego i nauczyłem używać broni palnej. Wielce go uradowałem, darowując mu nóż, a uczułem się dumnym, dostawszy pas i siekiere, którą mógł na nim nosić.

Przy sposobności opowiadałem też Piętaszkowi o Europie, a w szczególności o mej rodzinnej Anglii, ludziach, ich stosunkach, zajęciach i podróżach handlowych.

Opisałem mu rozbity okręt, na którego pokładzie byłem ostatnim razem, wskazawszy jednak skały, na których tkwił długo, nie dostrzegłem już ani śladu kadłuba. Wiatry i fale zniszczyły go dawno.

Zaprowadziłem też Piętaszka na miejsce, gdzie leżały resztki łodzi z czasów naszej katastrofy. Niewiele z niej zostało, ale Piętaszek obejrzał wszystko z wielką uwagą i powiedział z naciskiem:

— Widziałem taką łódź w ojczyźnie mojej.

Nastawiłem pilnie uszu, zacząłem wypytywać i dowiedziałem się, że podobna łódź została wyrzucona burzą na ląd przeciwległy. Piętaszek opisał ją dokładnie, potem zaś dodał z przekonaniem:

— Biali ludzie nie potonęli, uratowali się wszyscy, wszyscy.

Spytałem ilu ich było w łodzi.

— Dużo, bardzo dużo! — odparł, potem zaś jął liczyć na palcach, aż doszedł do siedemnastu, zaś na pytanie co się z nimi stało, powiedział:

— Biali ludzie żyją, mieszkają u mego ludu.

Wieść ta poruszyła mnie do głębi. Od razu przyszło mi na myśl, że rozbitkowie to załoga hiszpańskiego okrętu, który zatonął tak blisko mojej wyspy. Prawdopodobnie wsiadli w łodzi i jedna z nich wylądowała szczęśliwie u wybrzeży ludożerców.

Tam, jak mówił Piętaszek, zostali gościnnie przyjęci i żyją spokojnie od czterech już lat pośród dzikich. Wyraziłem zdumienie i spytałem, czemu nie zostali pożarci.

— O nie! — zawołał — Biali ludzie i mój lud to bracia! Mój lud zjada tylko po bitwie, po wielkiej bitwie wrogów. Gdy złapią, zjadają, inaczej nie!

W pewien czas po tej rozmowie zaszedłem z Piętaszkiem na wzgórze u wschodniego krańca wyspy, skąd przy czystym powietrzu dostrzegłem raz wybrzeże Ameryki. I tego dnia była pogoda. Piętaszek spojrział uważnie i zaczął niespodziewanie skakać i tańczyć, jakby go ogarnęła wielka radość.

— O, co za radość! — wołał — O, co za szczęście! Widzę ojczyznę, gdzie mieszka mój lud.

Twarz jego promieniała taką radością, że poznałem, iż kocha swój kraj rodzinny.

Napełniło to mnie niepokojem, pewny byłem, że Piętaszek opuści mnie przy sposobności, a znalazłszy się między ludożercami, wróci do dawnych nawyków, zapominając o zasadach chrystianizmu. Nie byłem nawet daleki od przypuszczenia, że przybywszy do ojczyzny stanie na czele kilkuset dzikich, wróci tu, zamorduje mnie i urządzi ucztę z mego ciała, jak to czynił już nieraz po zwycięstwie.

Myśląc tak uczyniłem krzywdę zacnemu chłopcu i niebawem przekonałem się znowu, jak to strach i samolubstwo robią z człowieka głupca.

Przez czas jakiś byłem wobec Piętaszka nie tak otwarty i przyjacielski, jak przedtem, a biedak, nie znając przyczyny, starał się odzyskać moją życzliwość zdwojoną pracowitością i posłuszeństwem.

Podjęzliwość moja sprawiła, że go śledziłem, by wy badać, czy ma zamiar opuścić wyspę. On zaś odpowiadał szczerze i zaręczał, że wcale nie chce zostawić samego swego pana i najlepszego przyjaciela.

Pewnego dnia staliśmy na tym samym wzgórzu, ale była mgła i spojrzenie nie sięgało daleko. Ogarnięty niepokojem spytałem ponownie towarzysza:

— Piętaszku, czy rad byś wrócić do swego kraju rodzinnego i swego ludu?

— Tak! — potwierdził — Bardzo bym rad!

— Cóż byś tam począł? Czy stałbyś się z powrotem dzikim, który pożera ludzkie mięso?

Spojrział zadumany na ziemię, potem potrząsnął głową i rzekł z powagą:

— Nie, panie! Piętaszek powiedziałby swemu ludowi wszystko, nauczyliby ich, jak się stać dobrymi, modlić do Boga, jeść chleb ze zboża, kozinę i mleko pić, nie pożerać ludzi!

— Piętaszku! — zawołałem. — Byłoby to dla ciebie niebezpieczne, zabiliby cię, jak sądzę, gdybyś wystąpił z tymi nowościami.

Znowu potrząsnął głową.

— Nie panie! — oświadczył. — Lud mój nie zabije Piętaszka. Lud mój chętnie uczy się i słucha mądrych rad.

Na potwierdzenie swych zapatrywań dodał, że jego rodacy przyjęli już niejedną naukę od białych brodaczy, którzy wówczas przybyli łodzią.

Wówczas spytałem go, czemu już dawno nie wykonał planu powrotu.

Uśmiechnął się i powiedział, że nie może przebyć wplaw tak wielkiej przestrzeni, wobec czego oświadczyłem, iż mu zbuduję pirogę.

Uśmiechnął się ponownie i zapewnił, że bardzo będzie rad, ale muszę pojechać z nim razem.

— Jak to? — zawołałem. — Gdybym tam pojechał, rodacy twoi zabiliby mnie i zjedli!

— O nie, panie! — odparł. — Piętaszek powiedziałby im wszystko. Oni mego dobrego pana nie zjedliby, ale pokochali bardzo!

Chciał opowiedzieć ziomkom swym, jak to pozabijałem wrogów i ocaliłem mu życie, i pewny był, że z wdzięczności i uznania mego postępu przyjęliby mnie jak najserdeczniej. Dla udowodnienia wspomniał raz jeszcze o siedemnastu białych rozbitkach, którzy przybyli biedni i bezradni, a doznali dobrego przyjęcia i gościnności.

Odtąd dumiałem często, czy by się nie dało wejść w stosunki z tymi białymi, których uważałem za Hiszpanów lub Portugalczyków. Gdyby mi się to powiodło, moglibyśmy potem razem znaleźć sposób powrócenia między narody cywilizowane. To, czego dokonać nie mógł samotnik, rzucony na czterdzieści mil od lądu, było całkiem możliwe dla tak znacznej rzeszy ludzi.

Nie pokazywałem dotąd Piętaszkowi mej pirogi, teraz jednak zaprowadziłem go do małego portu gdzie stała. Wyczerpaliśmy wodę, gdyż przez ostrożność trzymałem ją stale pod wodą i wsiedliśmy w nią.

— Teraz Piętaszku, pojedziemy do twego ludu! — zawołałem.

Pokręcił głową z wolna i z powątpiewaniem, gdyż statek ten wydał mu się zbyt mały na tego rodzaju przedsięwzięcie. Oświadczyłem tedy, że posiadam większą pirogę i zaprowadziłem go na miejsce, gdzie leżała moja wielka łódź, którą dawniej, jak to czytelnicy zapewne pamiętają, sporządziłem.

Piętaszek przyznał, że łódź ta jest dostatecznie wielka, ponieważ jednak przez lat dwadzieścia trzy wystawiona była na słońce i deszcz, przeto tak zbutwiała, iż nie nadawała się do użytku.

Obejrzelśmy ją ze wszystkich stron, po czym oświadczyłem Piętaszkowi, że przy jego pomocy sporządzę inną, w której będzie mógł ruszyć z powrotem do ojczyzny.

Nie odpowiedział nic, tylko stał smutny i zamyślony. Spytałem, co mu dolega.

Spojrzał ponuro i rzekł żałośnie:

— Czemu mój pan zły na Piętaszka? Czym zawinił Piętaszek?

Powiedziałem mu, że się nań wcale nie gniewam.

— Nie gniewam? — powtórzył me słowa. — Nie gniewam? Czemuż więc odsyłać precz biedny Piętaszek do jego ludu, skoro pan się nie gniewam?

— Drogi Piętaszku! — odparłem. — Wszakże mówiłeś, że rad byś wrócić do swoich!

— Tak! — odparł. — My obaj, Piętaszek i mój pan, razem w kanoe do mego ludu, a nie pan zostać, a Piętaszka odsyłać precz!

Nie mógł pojąć ten zacny chłopiec, by miał beze mnie opuszczać wyspę.

— Mam jechać z tobą? — spytałem. — I cóż bym robił wśród twego ludu?

Zwrócił się ku mnie żywo:

— Co robił? — odparł z zapalem. — Dzikich ludzi uczyć, by się stali dobrzy, łagodni, dzikim ludziom mówić o Bogu i Jezusie Chrystusie, a oni by słuchali wszyscy jak Piętaszek.

— Ach, drogi przyjacielu! — powiedziałem. — Nie wiesz sam co mówisz. Jestem człek pospolity i nic nie wiem!

— Jak to nic nie wiem? — zdziwił się. — Piętaszek dużo, wiele nauczył się od swego pana, a lud mój także nauczyłby się dużo, wiele.

— Nie, drogi Piętaszku! — oświadczyłem. — Pojedziesz sam, ja zaś pozostanę tu do końca życia mego.

Milczący i ponury patrzył przez chwilę w ziemię, potem zaś wyjął zza pasa topór i podał mi go ręką naprzód zwróconą.

— Cóż mam z tym zrobić? — spytałem zdziwiony.

— Piętaszka zabić! — zawołał gwałtownie.

— Czemuż mam cię zabijać?

— Po co Piętaszka wyganiać precz? Lepiej zabić!

Wypowiedział to ze szczerą powagą, a łzy napelniły mu oczy.

Wzruszyły mnie bardzo jego słowa, toteż otoczyłem ramionami kochanego chłopca i przyrzekłem, że go nie odprawię od siebie nigdy, chyba gdyby sam chciał mnie porzucić.

Przekonałem się dowodnie, że kocha swój szczerp i pragnie wrócić do ojczyzny, ale pragnie mnie zabrać, bym tam czynił rzeczy dobre i apostołował. Nie czułem w sobie powołania na nauczyciela i reformatora, przeto poprzestałem na tej rozmowie. Z myśli mi jednak nie schodzili ci biali, od których się spodziewałem pomocy. Wyszukałem tedy z pomocą Piętaszka drzewo, nadające się na sporządzenie wielkiej pirogi, bacząc, by nie stało zbyt daleko od brzegu rzeczki, przez co znowu udaremnione zostałyby spuszczenie statku na wodę.

Znalazłszy, czego nam było potrzeba, ścieliśmy drzewo i przyciosali. Piętaszek radził wydrążyć pień ogniem, ja jednak pokazałem mu, jak się to da zrobić lepiej i prędzej za pomocą mych narzędzi ciesielskich. Przystał jak zawsze ochotnie i niebawem nauczył się władać dłutem i młotem po mistrzowsku.

W ciągu miesiąca piroga była gotowa i przyznać muszę, żeśmy sporządzili statek nie tylko dobry, ale także piękny, przypominający kształtem łodzie europejskie.

Pracowaliśmy przez dwa tygodnie zanim nam się powiodło na walcach i drągach zepchnąć pirogę do wody, tu jednak pływała jak kaczką i mogła pomieścić co najmniej dwudziestu ludzi.

Piętaszek kierował łodzią, mimo jej wielkości w przedziwny sposób. Wiosłował sam, pędząc statek niezmiernie szybko po wodzie, robiąc zakręty i zwroty, tak że podziwiałem szczerze zręczność jego.

Spytałem go, czy możemy się odważyć na jazdę tą łodzią aż na stały ląd.

— Tak! — zawołał. — Odważyć się! Wiele mocny wiatr nic nam nie zrobi. Piroga pływa jak ryba!

Należało teraz sporządzić maszt i żagiel, a także kotwicę i linę kotwiczną. Na maszt wzięłem jeden z młodych cedrów, jakich mnóstwo było na wyspie, większą trudność atoli sprawił mi żagiel. Posiadałem wprawdzie jeszcze spory zapas starego płótna żaglowego, ale leżąc przez lat dwadzieścia sześć w magazynie, zbutwiało porządnie. Tak przynajmniej sądziłem i w samej rzeczy z wielką tylko biedą zdołałem z dwu lepszych sztuk wyciąć spory, trójkątny żagiel do zwijania, opatrzony szczytnikiem w górze na wzór używanego przez rybaków Morza Północnego.

Omasztowanie łodzi zajęło nam jeszcze dwa dalsze miesiące, ale wkońcu posiadałem statek doskonały i sprawny na morzu zupełnie.

Najbliższym mym zadaniem było teraz zaznajomić Piętaszka z używaniem żagla i steru, bo chociaż po mistrzowsku wiosłował, nie umiał korzystać z tych urządzeń. Trudno też opisać jego zdumienie, gdy zobaczył, jak płynę pozornie bez żadnego wysiłku z wiatrem, skręcam pod wiatr, lawiruję i wykonuję przeróżne manewry, a łódź posłuszna jest sterowi, niby żywa istota.

W czasie niedługim wyuczył się jednak i tego, a tylko nie mógł sobie przyswoić użycia kompasu. Na szczęście instrument ten nie był nam potrzebny, gdyż nie odpływaliśmy nigdy tak daleko, by stracić z oczu zarysy naszej wyspy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Ludożercy wracają. — Robinson i Piętaszek zbroją się do walki. — Bitwa — Robinson ocala białego jeńca. — Piętaszek odnajduje swego ojca. — Nowi poddani Robinsona.

Zaczął się dwudziesty siódmy rok mego pobytu na wyspie. Jak zawsze uczciłem rocznicę mego ocalenia modlitwą dziękczynną i rozmyślaniami. Z roku na rok coraz to więcej miałem powodów składać dzięki Bogu za jego pomoc i opiekę. Wszystkie pragnienia moje spełnione zostały, jedno po drugim, nawet najwyższe pożądanie zyskania towarzysza i przyjaciela. Toteż przepajała mnie teraz nadzieja pełna ufności, że Bóg raczy mnie w końcu wyzwolić z tego wygnania, jakim mnie pokarał w sprawiedliwości swojej. Czasem czułem nawet z zupełną pewnością, że niewola nie przeciągnie się cały rok najbliższy.

Mimo to jednak nie zaniedbywałem uprawy roli, orałem, siałem i sadiłem jak zawsze. Zbierałem też i suszyłem winogrona, jakby szło o długoletni jeszcze pobyt.

Za nastaniem pory deszczowej musieliśmy przesiadywać przeważnie w domu. Wprowadziwszy czółno w strumień, tam gdzieś lądował swego czasu z tratwami, wyciągnęliśmy je podczas przyływu jak najdalej na brzeg, a Piętaszek musiał wykopać mały kanał, by je tam pomieścić. Przed kanałem zbudował niewielką tamę, tak że za następnym przyływem woda nie mogła wejść w kanał i czółno zostało na suchym gruncie. Dach z gałęzi i liści palmowych chronił je przed deszczem i stało tak zabezpieczone zupełnie, czekając listopada i grudnia, kiedy to umyśliliśmy ruszyć w drogę.

W miarę upływu czasu czyniliśmy coraz to większe przygotowania. Przede wszystkim szło o zapas żywności, drugą sprawę stanowił sposób, w jaki należało stworzyć kanał dla spuszczenia czółna na wodę.

Pewnego dnia, gdyśmy właśnie szli w stronę czółna, przyszło mi na myśl, że nie mamy w domu świeżego mięsa żółwiego, poleciłem przeto Piętaszkowi, by prędko pobiegł na wybrzeże i spróbował schwycić jedno bodaj z tych stworzeń. Lubiliśmy obaj niezmiernie ten przysmak i co tydzień spożywaliśmy gotowane lub pieczone mięso żółwie oraz jaja.

Po chwili wrócił Piętaszek zadyszany i zawołał:

— O panie! Biada! Żle! Strasznie źle!

— Cóż się stało? — spytałem przerażony.

— Tam, na wybrzeżu jeden, dwa, trzy kanoe... jeden, dwa, trzy!

Znając jego sposób mówienia, sądziłem zrazu, że sześć łodzi nieprzyjacielskich wylądowało, były atoli tylko trzy.

Wraz z przerażonym wielce Piętaszkiem pobiegłem co prędzej do naszej warowni, gdzie po pewnym dopiero czasie zdołałem go uspokoić. Pewny był, że dzicy przybyli wyłącznie z jego powodu, że go odnajdą i zjedzą bez litości.

Dodałem mu odwagi mówiąc, że i mnie to samo zagraża, a dzicy, złapawszy nas, nie zostawią mnie przy życiu.

— Widzisz tedy — dodałem, że nie ma innego wyjścia, jak tylko walczyć i pokonać nieprzyjaciół. Czy gotów jesteś stanąć przy mym boku do boju, jak przystało mężczyźnie?

— O, panie, Piętaszek bardzo mężnie walczyć! — odparł. — Ale dzikich dużo, cała gromada ludzi!

— To nic! — powiedziałem. — Zabijemy kilku, a inni uciekną na odgłos strzałów. Jeśli by cię napadli, będę cię bronił z wszystkich sił, a mam nadzieję, że uczynisz dla mnie to samo. Zresztą pełń ściśle moje rozkazy.

Spojrzał na mnie błyszczącymi oczyma, potem zaś zawołał:

— Mój pan powie: Piętaszek umierać, to Piętaszek umierać!

Wiedziałem, że mogę mu zaufać, przeto zaczęliśmy się sposobić do walki. Nabyłem dwie strzelby używane do polowania grubym śrutem, wielkości niemal małych kulek pistoletowych, potem zaś cztery muszkiety, każdy dwoma kawałkami kanciastego ołowiu oraz pięcioma małymi kulami, a każdy pistolet dostał także po dwie kule. Potem przypasałem wielki, ostry miecz bez pochwy, a Piętaszek zatknął za pas topór.

Ukończywszy te przygotowania, wyszedłem z lunetą na szczyt skały celem rozpoznania położenia. Naliczyłem na wybrzeżu dwudziestu jeden dzikich, dwu więźniów i trzy kanoe. Ludożercy przybyli tu wyraźnie jedynie po to, by odprawić straszliwą swą ucztę zwycięską. Tym razem wylądowali w pobliżu ujścia strumienia, gdzie niski brzeg porastała aż do samego morza gęstwa drzew i krzaków.

Dzicy ośmielili się tedy wkroczyć na teren, który od początku za swoją uznałem własność. To rozniecilo mój słuszny gniew, zszedłem na dół i oświadczyłem Piętaszkowi, że chcę napaść dzikich i wymordować ich do nogi.

Pod tym wrażeniem rozdzieliłem broń, obładowałem Piętaszka trzema muszkietami i dałem mu pistolet, sam wziąłem resztę broni i wyruszyliśmy z fortecy na nieprzyjaciela.

Prócz tego zabrałem jedną z flaszek o srebrnych korkach, znalezionych na hiszpańskim rozbitku, a Piętaszek musiał jeszcze wziąć na plecy worek z amunicją. Dałem mu ponadto polecenie, by się trzymał tuż przy mnie, cicho stąpał, nic nie mówił, a nade wszystko nie strzelał bez pozwolenia.

Szliśmy w bojowym szyku drogą okrężną, którą przedtem zbadałem przez lunetę, tak aby niepostrzeżenie podejść na odległość strzału.

Podczas tego marszu ochłodziłem nieco i zadałem sobie pytanie, czy mam prawo przelewać krew bez koniecznej potrzeby. Nie bałem się wcale, uzbrojony byłem tak, że nawet sam jeden mogłem sprostać wrogom. Ale dzicy byli w stosunku do mnie dotąd niewinni jak dzieci, a ohydnych zwyczajów szczepowych nie sposób im było brać za złe, gdyż w nich wyrosli od całych pokoleń. Piętaszek miał może prawo do zemsty, ale ja nie.

Postanowiłem tedy na razie obserwować ich tylko z dala i wystąpić zaczepnie dopiero w razie niezbędnej konieczności.

Idąc ostrożnie, dotarliśmy tak blisko, że od obozowiska dzielił nas tylko wąski pas lasu. Tutaj wskazałem Piętaszkowi drzewo i poleciłem wejść na nie dla zasięgnięcia wieści.

Wśliznął się po konarach jak wąż i wróciwszy zaraz powiedział, że dzicy siedzą u ogniska, pożarli już jednego z więźniów. Teraz przyszła kolej na drugiego, ale nie jest to dziki, lecz jeden z tych brodatych białych ludzi, którzy przybyli łodzią do jego ojczyzny.

Straszna ta wiadomość obaliła od razu wszystkie moje pokojowe plany. Wychyliwszy się poza gruby pień stwierdziłem przez lunetę, że rzeczywiście więzień jest to człowiek biały, z brodą, niewątpliwie Europejczyk, którego związano i porzucono na piasku.

Obejrzałem się szybko i zobaczyłem kępkę krzaków, o pięćdziesiąt metrów bliżej obozowiska dzikich położoną. Okrążywszy lasem, dotarliśmy wkrótce do tego miejsca, które wzniesione po trosze panowało nad wybrzeżem, tak że mogłem objąć je spojrzeniem.

Od razu przekonałem się, że nie ma chwili do stracenia.

Dziewiętnastu dzikich siedziało w kucki u ogniska, dwu zaś dostało właśnie polecenie zarżnąć biednego chrześcijanina i przywlec kawał po kawale jego ciała.

Właśnie zaczęli rozwiązywać nieszczęśnika.

Widok ten przejął mnie zgrozą.

— Piętaszku! — szepnąłem. — Teraz uważaj dobrze!

Przysunął się zaraz do mnie.

— Patrz na mnie ciągle i czyń wszystko to, co ja uczynię. Skinął głową z zapalem.

Położyłem na piasku strzelbę i jeden muszkiet, a Piętaszek uczynił to samo.

Potem obaj wycelowaliśmy z muszkietów w gromadę dzikich.

— Czyś gotów? — spytałem.

— Gotów! — odparł.

— Ognia! — krzyknąłem.

Padły dwa strzały, jakby jeden jedyny.

Piętaszek lepiej mierzył ode mnie, gdyż zabił dwu, a zranił trzech dzikich, ja zaś położyłem jednego, a zraniłem drugiego.

Trudno sobie wyobrazić przerażenie ludożerców.

Ci co ocaleli skoczyli z ziemi, nie wiedząc, co czynić, gdyż pojąć nie mogli, skąd się wzięło nieszczęście.

Piętaszek nie spuszczał mnie z oka, chcąc widzieć każdy mój ruch, a gdy odłożyłem wystrzelony muszkiet i wzięłem strzelbę, uczynił to samo. Odciągnąłem kurek i spytałem:

— Czyś gotów?

— Gotów!

— Tedy ognia, w imię boże!

Znowu zahuczały niemal jednocześnie strzelby. Ponieważ atoli były nabite tylko śrutem, przeto padło tylko dwu dzikich, natomiast kilku odniosło rany, co wprawilo bandę w nieopisane przerażenie. Wrzeszczeli i biegali bezradnie, po czym trzech jeszcze padło na ziemię skutkiem utraty krwi.

— Dalejże, Piętaszku! — zawołałem chwytając nabity jeszcze muszkiet. — Za mną!

Po tych słowach wypadłem z krzaków, a za mną biegł mój wierny towarzysz.

Gdy nas dzicy zobaczyli, wydałem głośny okrzyk wojenny, który zaraz powtórzył Piętaszek. Pobiegłem co sił do biednego jeńca, który leżał związany pomiędzy wybrzeżem a obozowiskiem.

Dwaj dzicy, mający go zarżnąć, uciekli zaraz po pierwszej salwie w kierunku łodzi, a w ślad za nimi trzej inni z gromady. Rozkazałem Piętaszkowi zastrzelić ich z nabitego jeszcze muszkietu, on zaś podbiegł i palnął do nich z małej odległości. Zrazu myślałem,

że wszyscy polegli, gdyż padli w czołno, ale po chwili dwu z nich wstało, tak że byli tylko trzej, dwu martwych, a jeden ranny.

Tymczasem dotarłem do biednej ofiary, rozciąłem pęta, potem zaś podniosłem go, pytając po portugalsku jakiej jest narodowości.

Odpowiedział łacińskim słowem: christianus, ale głos jego skutkiem wyczerpania był ledwo dosłyszalny.

Przypomniawszy sobie o butelce z wódką dałem mu ją, a gdy pociągnął łyk, nakarmiłem go chlebem, który zjadł łapczywie.

Gdy nieco przyszedł do siebie powiedział na powtórne pytanie, że jest Hiszpanem i starał się najrozmaitszymi gestami wyrazić mi wdzięczność za uratowanie życia.

— Señor! — powiedziałem, zbierając całą moją wiedzę hiszpańską. — Nie pora teraz rozmawiać, ale trzeba walczyć. Jeśli się pan czujesz na siłach, weź ten pistolet i szpadę i pomóż nam pokonać nieprzyjaciół.

Hiszpan chwycił za broń i jakby dotknięcie jej przywróciło mu siły, skoczył na dzikich z taką furją, że za chwilę dwa trupy legły u nóg jego.

Dzicy nie oprzytomnieli jeszcze po porażce, a huk naszej broni wydał im się czymś tak nadziemskim i niepojętym, że nie wiedząc, co począć, z samego strachu padali na ziemię.

Trzymałem w pogotowiu ostatni, nabity muszkiet, by wesprzeć w potrzebie Hiszpana i poleciłem Piętaszkowi, by przyniósł broń porzuconą w krzakach. Spełnił to z wielką szybkością, po czym wręczyłem mu muszkiet, sam zaś zacząłem co żywo nabijać wystrzelone strzelby i muszkiety.

Tymczasem wrzała zacięta walka pomiędzy Hiszpanem a roslym jak drzewo dzikusem, który doń przyskoczył ze swoim drewnianym mieczem. Hiszpan, człek wielkiego męstwa, ale osłabiony głodem i długim skrępowaniem, bronił się długo, ciął nawet przeciwnika dwa razy w głowę, ale w końcu ludożerca obalił go i wyrwał mu z rąk szpadę. Podniosłem prędko do oka strzelbę, by go zabić, ale Hiszpan wyrwał zza pasa pistolet i położył czarnego dzikusa trupem na miejscu.

Piętaszek nie próżnował także, biegał za uciekającymi dzikimi i większa ich część padła, niemal bez obrony, pod ciosami jego topora. Przyłączył się doń teraz Hiszpan, któremu podałem nabitą strzelbę. Wziął na cel dwu dzikich, ale chybił, gdyż biegli szybciej od niego. Jednego zabił szybko nogi Piętaszek, drugi natomiast zdołał ująć, rzucił się w morze i popłynął za łodzią, w której zmykali dwaj dzicy. Z całej gromady ocalili tylko ci trzej.

Wprawdzie Piętaszek strzelił jeszcze za nimi parę razy, ale nie trafił w uciekających.

Wyznaję, że ich ucieczka przepoiła mnie wielkim niepokojem, gdyż zachodziła obawa, że sprowadzą na naszą wyspę całe plemię, z setkami kanoe i wszyscy legniemy trupem, nie mogąc nawet przy naszej broni sprostać takiej przewadze.

Zgodziłem się przeto chętnie na propozycję Piętaszka, by zapolować na zbiegów, używając do tego celu drugiego czołna. Wskoczyliśmy w nie co prędzej, gdy nagle ujrzałem leżącego na dnie, skrępowanego dzikusa, na poly martwego ze strachu.

Rozciąłem mu zaraz więzy i chciałem go podnieść, ale opadał co chwila i nie mogąc mówić, jęczał tylko z cicha, pewny, że zostanie zaraz zarżnięty i pożarty.

Poleciłem Piętaszkowi, by doń przemówił i oznajmił mu, że jest wolny, a także by mu się dał napić z faszki, którą mu jednocześnie wręczyłem.

Zaledwie jednak Piętaszek spojrział uważniej na biedaka, wydał okrzyk radości, a potem nastąpiła scena, która musiała każdemu chrześcijaninowi wycisnąć łzy rozczulenia. Z nieopisanym zachwytem wziął w ramiona ocalonego, starego już człowieka, i przytulił do serca, całując, głaszcząc, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Przemawiał doń najczulszym tonem, potem ułożył go ostrożnie na trawie, zerwał się, zaczął tańczyć, skakać, śpiewać, potem zapłakał znowu, załamał ręce, bił się po piersiach i twarzy, a w końcu wziął starca ponownie w ramiona i zaczął od początku tę samą historię.

Długo nie mogłem zeń dobyć rozsądnego słowa, gdy się jednak po trosze uspokoił, dowiedziałem się, że człowiek ten szczęśliwie ocalony jest jego ojcem.

Trudno powiedzieć, czego doznałem, patrząc na te objawy miłości synowskiej dzikiego człowieka, radującego się z odnalezienia swego ojca. Ze dwadzieścia razy skakał z czołna na wybrzeże i z powrotem nie wiedząc, co czyni, siadał, rozpinał kaftan i tulił do nagiej piersi

jego głowę lub też gładził mu z lekka ręce i nogi, które ucierpiały bardzo od więzów, a to w celu przywrócenia im elastyczności. Spostrzegłszy to, poradziłem mu, by natarł wódką członki ojca, co też odniosło pewien skutek.

Zupełnie zapomnieliśmy oczywiście o ściganiu dzikich, których czółno ledwo majaczyło już teraz na morzu. Ale przyszła nam z pomocą przyroda. Zerwał się wiatr przeciwny kierunkowi podróży uciekających, a potem nastąpiła taka burza, że nie sposób było przypuścić, by zaskoczeni nią w połowie drogi mogli ocaleć w wątlym, otwartym czólnie. Zginęli niezawodnie, a smutny ten dla nich fakt uspokoił mnie w zupełności.

Nie mogłem się zdobyć na to, by przerwać Piętaszkowi zabiegi jego koło ojca. W końcu jednak przywołałem go do siebie, on zaś przybiegł w podskokach, co krok oglądając się na odnalezionego.

— Słuchaj, Piętaszku — powiedziałem — czy przyszło ci na myśl dać ojcu kawałek chleba?

Ostupiał i potrząsnął głową.

— O szkaradny Piętaszek! — zawołał. — O niedobra człowiek. Sama zjadł chleb!

Podąłem mu cienki placek jęczmienny i garść rodzynek, on zaś pobiegł z tym do ojca, po chwili jednak skoczył i pognął ku naszej fortecy z szybkością, o jakiej przed jego poznaniem nie miałem wyobrażenia. Wołałem za nim, ale daremnie. Po kwadransie wrócił, biegnąc teraz wolniej, a gdy się zbliżył ujrzałem, że niesie dzban z wodą. Przyniósł też kilka jeszcze placeków.

Podał mnie pierwszemu dzban, że zaś czułem wielkie pragnienie, napiłem się, po czym Piętaszek podbiegł do ojca, na poły martwego z braku napoju.

Przypomniawszy sobie biednego Hiszpana, kazałem Piętaszkowi, by mu dał resztę wody i jeden placek. Wyczerpany do cna leżał on pod drzewem, cierpiąc bardzo z powodu długiego skrępowania rąk i nóg. Przyjął ochotnie wodę i placek, gdy mu zaś podałem garść rodzynek, spojrział na mnie z wyrazem takiej wdzięczności, na jaką się tylko może zdobyć człowiek. Ale wysiłek walki obezwładnił go tak bardzo, że nie mógł stać na nogach, toteż poleciłem Piętaszkowi, by mu natarł członki wódką, co podobnie jak starcowi i jemu przyniosło znaczną ulgę.

Piętaszek spełnił me polecenie, co chwila jednak oglądając się za ojcem, gdy zaś spostrzegł, że starzec pochylił się wstecz, skoczył doń niemal fruując w powietrzu. Ale obawy syna były płonne, gdyż ojciec przybrał tylko wygodniejszą pozycję.

Nie wiedziałem, w jaki sposób przeprowadzić obu ocalonych do fortecy, ale znalazł na to zaraz radę Piętaszek. Porwał na plecy Hiszpana, wsadził go, wraz ze swym ojcem do pirogi dzikich i zawiózł tak szybko morzem do ujścia strumienia, że ledwo im mogłem nadążyć drogą lądową. Gdyśmy się tu spotkali, pognął zaraz jak jeleni ku wybrzeżu.

— Dokądże to biegniesz? — krzyknąłem.

— Po drugie czółno! — odwrzasnął.

Zanim zdążyłem rzecz rozważyć wrócił z drugim czólnem, przewiózł mnie na drugi brzeg strumienia, potem zaś wyniósł obu ocalonych na ląd i posadził pod drzewami. Teraz zaczęliśmy sporządzać z grubych gałęzi nosze, na których zaniesiśmy niebawem nowych towarzyszy do fortecy.

Ale nie sposób było ich przenieść przez podwójną palisadę, że zaś nie chciałem jej nadwierać, przeto zamieszkali na razie w namiocie na zewnątrz zbudowanym.

Wyspa była teraz zaludniona, a ja uważałem się za króla. Cały teren stanowił moją własność, a poddani musieli mnie słuchać bezwzględnie, gdyż każdemu z osobna ocalilem życie. Ludność, mimo że złożona tylko z czterech osób, miała trzy odmienne wyznania, ja i Piętaszek byliśmy protestantami, Hiszpan katolikiem, a ojciec Piętaszka bałwochwalczym ludożercą. Wspominam to zresztą mimochodem tylko.

Ułożywszy naszych towarzyszy na posłaniach ze słomy ryżowej i skór, przyrzadziliśmy im ucztę. Kazałem zarznąć roczne koźle, a potrawa ta smakowała im bardzo. Jedliśmy wszyscy razem, a Piętaszek służył za tłumacza nie tylko w rozmowie mojej z ojcem, ale także i Hiszpanem, który władał biegle narzeczem dzikich.

Po skończeniu uczy kazałem Piętaszkowi uprzętnąć pole walki, pogrzebać zabitych i zatrzeć ślady straszliwej uczy. Sprawił się tak dzielnie, że zwiedziwszy to miejsce poznałem je tylko po lesie i kępie krzaków, gdzieśmy siedzieli w zasadzce.

Wielką mi sprawiała przyjemność rozmowa z mymi poddanymi. Nasamprzód poleciłem Piętaszkowi, by zasięgnął u ojca zdania co do dzikich, którzy zbiegli, a mogli na nas sprowadzić wielką nawałę wrogów. Starzec oświadczył, że niewątpliwie zginęli w czasie burzy. Choćby jednak nawet tak nie było, utrzymywał, że zapewne nie wrócą, gdyż huk naszej broni przeraził ich niezmiernie. O ile dojechali, rozpuścili niezawodnie wieść, iż towarzysze polegali od piorunów bóstw nadziemskich. Uciekający mówili też, jak słyszał, do siebie, że ja i Piętaszek to demony piekielne, czy duchy, przeciw którym wszelka walka jest daremna.

Później przekonałem się, że starzec miał rację, a ludożerców nie widzieliśmy już nigdy na wyspie. Wieści, jakie ich doszły o losie towarzyszy, nie dozwoliły im pojawić się tam, gdzie spada z nieba ogień i grad metalu, szerząc zniszczenie.

To wszystko doszło mnie dużo później dopiero, toteż nie zaniedbywałem ostrożności. Ale było nas teraz czterech zdolnych do walki mężów, a z taką armią nie wahałbym się stu dzikim stawić czoła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

— Szesnastu białych pośród ludożerców. — Plan Robinsona ocalenia ich. — Hiszpan radzi zaczekać na razie. — Prace gospodarcze. — Hiszpan i ojciec Piętaszka udają się na łód. — Zbuntowani marynarze przybijają do wyspy. — Trzej jeńcy. — Halo! Przedstawcie się panowie! — Buntownicy zostali pokonani.

Czas płynął, a spokój panował zupełny, toteż wróciłem ponownie do planu udania się na łód stały, tym bardziej, że prócz Piętaszka także i ojciec jego zapewniał, iż zostaną życzliwie przyjęty.

W rozmowie z Hiszpanem dowiedziałem się też, iż pośród dzikich żyje szesnastu jego rodaków, w której to liczbie znajduje się kilku Portugalczyków. Nie grozi im wprawdzie bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale położenie ich jest bardzo nędzne. Ludzie ci to rozbitkowie okrętu hiszpańskiego, który zatonął w drodze z Rio de la Plata do Hawanny, wzięwszy poprzednio na pokład pięciu rozbitków okrętu portugalskiego. Pięciu ludzi postradało życie w katastrofie, reszcie zaś załogi udało się po wielkich trudach dotrzeć do wybrzeża ludożerców, gdzie żyją w ustawicznym strachu, że zostaną zjedzeni. Posiadają wprawdzie pewną ilość muszkietów, ale nic im z tego, gdyż brak im wszelkiej amunicji.

Spytałem Hiszpana, czy ludzie ci zamierzają dotąd opuścić niegościnnie kraj, on zaś zapewnił, że nie zatracili dotąd tej nadziei, tylko nie posiadają żadnego statku, ani też środków zbudowania go.

Wyjawiłem mu tedy plan, który mógł nas wszystkich razem wyzwolić pod warunkiem jednak, że Hiszpanie przybędą w pełnej liczbie na moją wyspę. Wówczas łatwo nam będzie zbudować wielki statek i pożegłować nim do Brazylii, lub innego, cywilizowanego kraju. Nie ukrywałem przed Hiszpanem wątpliwości, jakie żywiłem. Znając dobrze ludzi, wiedziałem, jak bywają niewdzięczni, toteż zachodziła obawa, że jeśli sprowadzę tu tak wielką ich liczbę i zaopatrzę w narzędzia oraz broń, mogą mnie opuścić potem lub nawet porwać ze sobą jako jeńca.

Hiszpan odparł na to z wielką powagą i szczerością, że położenie jego ziomek jest tak smutne, iż nie da się pomyśleć, by mieli odpłacić zdradą wybawcy swemu. Oświadczył następnie swą gotowość pojechać wraz z ojcem Piętaszka na stały łód w celu przedłożenia planu mego swym towarzyszom. Zamierzał związać ich przysięgą na św. sakramenty i Ewangelię, iż mi będą ślepo posłuszni, uznają za komendanta i kapitana statku, oraz powiozą do każdego kraju, jaki mi się spodoba. Wszystko to miało zostać spisane i zaopatrzone własnoręcznym podpisem każdego z nich.

Zaraz też Hiszpan złożył mi sam uroczystą przysięgę wierności i ślubowanie, iż mnie nie opuści do końca życia, chyba żebym go sam zwolnił ze słowa. Dodał, iż w razie zdrady ze strony towarzyszy będzie przy moim boku walczył do ostatniej kropli krwi.

W rozmowach późniejszych podkreślił jeszcze wielokrotnie, że ziomek jego są ludźmi jak najlepszych obyczajów, którzy będą mi do śmierci wdzięczni za wybawienie z niewoli.

Utwierdziło to moje zaufanie i postanowiłem wysłać Hiszpana wraz z ojcem Piętaszka na stały łód dla przeprowadzenia umowy. Gdy jednak wszystko było gotowe, sam Hiszpan

zauważył, że mądrzej będzie odłożyć wybawienie ziomków jego na czas sześciu miesięcy. Rada owa, świadcząca o rozumie i uczciwości Hiszpana, miała następujący powód:

Przez miesiąc pobytu u mnie przekonał on się, jak stoją sprawy wyżywienia mego i towarzyszy. Zapas jęczmienia i ryżu, bardzo obfity dla mnie i Piętaszka, starczyłby jeszcze od biedy dla reszty, natomiast mowy być nie mogło o wyżywieniu gromady szesnastu głodniałych ludzi, ani też należytem wyposażeniu okrętu na drogę. Należało tedy przedtem uprawić wielki kawał pola i doczekać zbiorów, by nie zbrakło żywności dla przybyszów.

Uznałem to za tak słuszne, iż zaraz na to przystałem. Wziąwszy się do pracy, w ciągu miesiąca skopaliśmy śpiesznie drewnianymi łopatami łąn tak wielki, że mogliśmy wysiać dwadzieścia dwa korce jęczmienia oraz szesnaście miar ryżu. Poświęcając cały zapas na siew, zatrzymaliśmy tylko tyle, by wyżyć aż do żniw.

Teraz już nie baliśmy się tak dalece dzikich i robiliśmy dalekie wycieczki po całej wyspie. Przepojony nadzieją bliskiego wyzwolenia, naznaczyłem sam pewną ilość drzew, sposobnych na budulec okrętowy i kazałem je ściąć Piętaszkowi oraz ojcu jego, której to pracy pilnował Hiszpan, zamianowany dozorcą i głównym cieślą. Pokazałem towarzyszom moim, jak mozolnie należy obciosywać pnie, aż z każdego powstanie deska i zachęciłem do cierpliwej pracy. Zabrali się do dzieła ochoczo i posłusznie i po pewnym czasie uzyskaliśmy dwanaście pięknych dębowych desek dwu stóp szerokości, trzydziestu pięciu stóp długości, grubych zaś na dwa do trzech cali. Łatwo pojąć, jak niezmiernej pracy wymagało tego rodzaju dzieło.

Nie zaniedbując także mojej trzody, dbałem o jej pomnożenie i ile razy ubiłem dziką kozę, wpuszczałem jej kozłeta w jedną z zagród, gdzie się pasły wraz z innymi.

Tymczasem nadeszła pora suszenia winogron. Wzięliśmy się i do tej pracy, tak że po pewnym czasie nasuszyliśmy w słońcu ilość, z której można by wytłoczyć sześćdziesiąt do osiemdziesięciu beczek wina.

Żniwa wypadły doskonale, zebraliśmy bowiem dwieście dwadzieścia korców jęczmienia i prawie tyleż ryżu, tak że mąki i chleba starczyć mogło na długo, choćby przybyło szesnastu wygnańców, a podróż okrętem trwała długo nawet.

Po zwiezieniu plonów i wymłóceniu zboża, wzięliśmy się do plecenia wielkich koszów, w czym wielką wprawę okazał Hiszpan, który takiego nabrał zapału, że zaproponował sporządzenie wielkich, plecionych, napełnionych ziemią zasieków dla naszej fortecy. Ale wydało mi się to rzeczą zbyteczną.

Gdy kuchnia i magazyn zostały przysposobione na przyjęcie gości, udzieliłem Hiszpanowi urlopu celem podróży na stały ląd. Powiedziałem mu wyraźnie, by nie przywoził nikogo, kto by nie złożył przedtem wobec niego i ojca Piętaszka uroczystej przysięgi, iż człowiekowi, którego zastanie na wyspie, a który jest tak dobry, że myśli o jego ocaleniu, nie uczyni żadnej krzywdy, nie obrazi go i nie napadnie nań, ale przeciwnie, w każdej sprawie będzie go słuchał i z całych sił mu pomagał. To ślubowanie miało zostać spisane i podpisane przez każdego z szesnastu rozbitków własnoręcznie. Nie pomysleliśmy wcale nad sposobem urzeczywistnienia tego planu, gdyż nie wpadło nam do głowy, iż ci biedacy nie posiadają papieru, atramentu ani pióra.

Wyposażony tymi instrukcjami ruszyli Hiszpan i ojciec Piętaszka w drogę i to jednym z owych kanoe, w których przybyli tu jako ofiary przeznaczone na zarżnięcie. Każdy otrzymał muszkiet i amunicję na osiem strzałów, ale przykazałem im oszczędzać ładunki i strzelać tylko w ostateczności.

Odjazd przyjaciół napełnił mnie wielką radością, albowiem był to od lat dwudziestu siedmiu pierwszy krok, jaki podjąć mogłem dla mego wyzwolenia. Zaopatrzyłem podróżnych w prowiant wystarczający dla nich oraz szesnastu rozbitków na okres dni ośmiu, a w końcu umówiłem się z nimi na sygnał, który dać mieli w chwili zobaczenia wyspy. Potem, gdy zawiął pomyślny wiatr, pożegnałem ich na drogę.

Opuścili wyspę w dniu pełni księżyca w październiku.

Minęło właśnie osiem dni, gdy nagle zaszło na mojej wyspie coś, co, Bogu dzięki, nieczęsto notują roczniki żeglarstwa.

Dopiero się rozwidniło i spałem jeszcze smacznie, gdy nagle przybiegł Piętaszek, wołając głośno:

— O, panie, panie! Jadą! Jadą!

Zerwałem się przerażony, narzuciłem odzież i wybiegłem, nie myśląc o broni, czego dotąd nie zaniedbywałem nigdy.

Prześliznąwszy się przez plantację drzew, która była teraz wspaniałym lasem, zobaczyłem na morzu łódź żaglową, zmierzającą wprost ku wybrzeżu. Sądząc wedle kursu, przybywała ona od południowej kończyny wyspy.

Przywołałem Piętaszka i kazałem mu się skryć, albowiem nie są to oczekiwani robotnicy i nie wiadomo, czy mamy do czynienia z przyjaciółmi czy wrogami. Potem chwyciłem co prędzej lunetę i wylazłem po drabinie na szczyt mej skały, która mi służyła zawsze za wieżę strażniczą w razie nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Ledwo rzuciłem okiem z tej wysokości, ujrzałem duży okręt, stojący na kotwicy w odległości około dwu mil angielskich w kierunku południowo-wschodnim. Sądząc po kształcie, był to okręt angielski, a także łódź wydała mi się angielskiego pochodzenia.

Odkrycie to zmieszało mnie wielce. Uradowałem się widokiem ojczystego statku, którego załogę stanowić musieli również Anglicy, a więc przyjaciele, z drugiej jednak strony doznałem dziwnego niepokoju, opadły mnie podejrzenia i postanowiłem mieć się na baczności.

Zadałem sobie pytanie, co robić może angielski statek na tych wodach, gdzie nie było rodzinnych stacji handlowych i dlatego nigdy tędy nie wiodły drogi angielskiej żeglugi. Burza nie mogła go tu zagnać, przeto przybył w jakichś złych zamiarach, a rozum wskazywał trzymać się na razie w ukryciu, by przypadkowo nie wpaść w ręce zbójców lub morderców.

Nie należy lekceważyć nigdy wewnętrznych ostrzeżeń duszy, choćby się nie dostrzegało jasno zagrażającego niebezpieczeństwa lub nie oceniało go należycie. Gdybym był postąpił wbrew owemu instynktowi, dotknęłoby mnie było wielkie nieszczęście, powodując niechybną zagładę.

Nie spuszczałem z oczu łodzi żaglowej, która płynęła wzdłuż wybrzeża, szukając wyraźnie dogodnego miejsca na lądowanie. Zacząłem się już obawiać, że załoga znajdzie ujście rzeczki, nagle jednak zbrakło im widać cierpliwości, gdyż skierowali łódź wprost ku wyspie i wpakowali na piasek o pół zaledwo mili angielskiej od mojej fortecy.

Odetchnąłem z ulgą, gdyż nie było wykluczone, że przybiją do lądu, niejako pod drzwiami mego domu, po czym wypędziliby mnie zapewne z mojej fortecy, a może nawet zrabowali całe mienie moje.

Załoga wysiadła na brzeg i teraz przekonałem się, że byli to sami Anglicy. Ośmiu z nich posiadało broń, zaś trzej byli bezbronni i mieli ręce skrupowane sznurami. Jeden z więźniów zwrócił się z błagalnym gestem do marynarzy, jak gdyby wzywał ich litości, dwaj inni milczeli ponuro, stojąc na miejscu, na które ich wypchnięto z łodzi.

Patrzyłem struchlały na to nieoczekiwane widowisko, pojęcia nie mając, co dalej nastąpi. Ale Piętaszek zaraz wyciągnął wniosek.

— O, panie! — zawołał żywo. — Biały człowiek zjada biały człowiek, jak dziki!

— Czy sądzisz, że ci trzej biali zostaną pożarci?

— O tak, panie! Piętaszek sądzi, biały człowiek zjada biały człowiek! — odparł z zapalem. — Zaraz zobaczymy!

— Mylisz się, przyjacielu! — odparłem. — Nie jest jednak wykluczone, że marynarze chcą zamordować tych trzech nieszczęsnych ludzi. Musimy być ostrożni.

Z drżeniem czekałem na mej placówce, co nastąpi dalej, lada chwila obawiając się, że marynarze rzucą się na więźniów i wymordują ich. I rzeczywiście jeden z nich dobył szabli i zaczął nią machać dla postrachu nad głowami. Żalowałem bardzo, że nie a przy mnie Hiszpana i starego dzikusa, a także pragnąłem podejść chyłkiem na strzał. Byłbym w ten sposób mógł uratować więźniów, gdyż zauważyłem, że marynarze posiadają tylko broń sieczną. Pragnienie moje miało się jednak ziścić w inny sposób.

Marynarze naurągali do syta bezbronnym, nawygrazali im i zbezczeszili ich ordynarnymi słowami, potem zaś rozsypali się w różne strony, jakby mieli zamiar zbadać okolice. Nie zwracali zgoła uwagi na pojmanych i zdawało się, że jest im obojętne, czy zostaną na wybrzeżu, czy też pójdą w głąb wyspy. Nieszczęśliwi wyszukali sobie miejsce porośnięte trawą i usiedli jak ludzie, którzy zwątpili już zupełnie w ocalenie. Po wylądowaniu zdjęto im więzy z rąk.

Wspomniałem teraz, że i ja wątpiłem tak samo w ocalenie, kiedy rozglądając się z rozpaczą po wyspie, uważałem się za zgubionego, a noc spędziłem na drzewie, by ująć szponów dzikich zwierząt. Podobnie też jak ja, który nie wiedziałem, że Opatrzność czuwa i fala przyniosła tak blisko brzegu okręt, który mi dostarczył środków podtrzymania życia, podobnie i ci trzej biedacy nie wiedzieli, że bliskie jest ich ocalenie i że są już bezpieczni, w chwili kiedy się uważali za straconych.

Łódź wpadła na piasek podczas przyływu, a podczas kiedy załoga wałęsała się bezmyślnie po wyspie, odpływ zostawił ją daleko od wody na suchym piasku. Zostało wprawdzie w łodzi dwu ludzi na straży, ale musieli oni dość nieostrożnie obchodzić się z wódką, gdyż za chwilę spali snem sprawiedliwych, rozwaleni na ławkach wiosłarskich, czyli duchtach. Po pewnym czasie zbudził się jeden, a widząc, że ster łodzi zagrzebany jest w piasku, krzyknął na towarzyszy, którzy też zbiegli się z różnych stron i zaczęli spychać łódź ku wybrzeżu, co jednak nie wywarło żadnego skutku.

Jakoś ich to nie bardzo zmartwiło, gdyż pogadawszy trochę, zawrócili spokojnie w tę stronę, zostawiając łódź aż do najbliższego przyływu na łasce losu.

Staraliśmy się obaj przez cały ten czas trzymać w ukryciu, co było rzeczą łatwą, gdyż ze szczytu skały widzieliśmy każdy szczegół doskonale. Wiedziałem, że upłynie co najmniej dziesięć godzin zanim przyływ umożliwi zepchnięcie łodzi na wodę. Wówczas zaś zapadnie mrok, tak że zdołam podpełznąć i usłyszeć bodaj coś niecoś z rozmowy marynarzy.

Tymczasem zacząłem się zbroić, jak ongiś do walki, uświadamiając sobie jednak, że będę się musiał zmierzyć z groźniejszym niż dzicy nieprzyjacielem.

Piętaszek także uzbroił się. Był on teraz wyśmienitym strzelcem i oddawał mi nieocenione przysługi. Wziąłem dla siebie dwie strzelby, zaś trzy muszkiety oddałem Piętaszkowi.

Musiałem wówczas wyglądać nader wojowniczo. Miałem kaftan z długowłosych skór i wysoką czapkę w kształcie stożka, wyglądającą na niedźwiedzią bermycę. Przy boku mym kołysał się długi miecz, za pasem tkwiły dwa pistolety, a na każdym ramieniu sterczała strzelba.

Postanowiłem nie opuszczać przed zmrokiem kryjówki. Około drugiej po południu, kiedy upał był największy, znikli gdzieś bez śladu marynarze. Przypuszczałem, że się zaszyli w gęstwie i legli spać gdzieś w cieniu.

Trzej nieszczęśliwi siedzieli pod drzewem, stroskani, nie myśląc o śnie. Dzieliła ich ode mnie zaledwo ćwierć mili angielskiej, a ukryci w lesie marynarze dostrzec ich stamtąd nie mogli.

Zauważywszy to, postanowiłem podejść do nich, w celu zbadania stanu rzeczy. Bez długiego namysłu ruszyłem w tym kierunku w pełnym uzbrojeniu wojennym, za mną zaś kroczył Piętaszek, który chociaż także przeładowany bronią ani w części tak dziko jak ja nie wyglądał.

Dotarłszy w pobliże siedzących w ponurym zatroskaniu, zawołałem w języku hiszpańskim:

— Hallo! Mości panowie! Raccie się przedstawić!

Skoczyli na równe nogi, ale przestrasz ich wzrósł jeszcze dziesięciokrotnie, gdy zobaczyli mą dziką, wojowniczą postać.

Zaden nie pisał słowa i zdawało się, lada moment wszyscy trzej uciekną.

Dla uspokojenia, przemówiłem teraz po angielsku:

— Panowie! Nie bójcie się! Przyjaciel śpieszący z ratunkiem jest bliżej, niż sądzicie.

— Zaprawdę — rzekł jeden z trójki głosem bardzo poważnym, kłaniając mi się nisko — zaprawdę, niebo to zesłać nam chyba musiało tego przyjaciela, gdyż żadna ludzka pomoc dotrzeć do nas nie zdoła.

— Wszelka pomoc płynie z nieba! — odparłem. — Teraz jednak powiedzcież, czy chcecie pomocy człowieka nieznanego w waszej niedoli. Widziałem jak was przywieziono, okryto obelgami, a nawet jeden z marynarzy groził wam szablą.

Biedny człowiek stojący ciągle z odkrytą głową zaczął na te słowa drżeć, a lzy spływały mu obfite po policzkach.

— Czyliż rozmawiam z wysłańcem Boga? — spytał drżącym głosem. — Czy stoi przede mną człowiek, czy anioł?

— Uspokójcie się, zacny panie! — odparłem. — Gdyby Bóg zesłał swego anioła, miałby on piękniejsze szaty i inną też broń, niż ja. Uspokójcie się, proszę, wszyscy, jestem człowiekiem, jak i wy Anglikiem i chętnie wystąpię w waszej obronie. Jak widzicie mam tylko jednego służącego, ale broni i amunicji pod dostatkiem. Mówciez bez ogródek, w jaki sposób was ratować? Cóż to się wam przygodziło?

— O panie! — odrzekł biedaczysko. — Czas zbyt krótki, a nieprzyjaciele zbyt blisko, by opowiadać szczegółowo nasze dzieje. Wiedzieć tedy tylko, że ja jestem kapitanem okrętu, który tu stoi w pobliżu na kotwicy. Załoga zbuntowała się, z wielką biedą uniknąłem śmierci, a zbrodniarze wysadzili mnie wraz z tym oto wiernym mi sternikiem i tym oto podróżnym jadącym z nami na wyspie, którą uważali za bezludną, w tym celu, byśmy wszyscy trzej marnie zginęli.

— Gdzie są teraz buntownicy? — spytałem. — Czy panowie wiecie?

— O ile wiem, siedzą w tej tam gęstwie lasu! — powiedział kapitan, wskazując dość odległy punkt. — Mam nadzieję, iż nie dosłyszeli pańskiego zawołania i że nas teraz nie obserwują. Inaczej wpadliby na nas niezwłocznie i wszystkich wymordowali.

— Czy mają broń palną? — spytałem znowu.

— Tylko dwie strzelby, z których jedna została w łodzi.

— Dobrze! Zostawcie wszystko mnie. Draby śpią, zda się, twardo, tak że z łatwością moglibyśmy ich pozabijać. A może lepiej, zdaniem pańskim, wziąć ich w niewolę?

Kapitan oświadczył, że dwu tylko spośród przybyłych są łotrami bez sumienia, gdyby ich więc udało się schwycić, reszta wróciłaby natychmiast do posłuszeństwa.

Spytałem, którzy to są ci niepoprawni zbrodniarze.

Odpowiedział, że nie może mi ich z odległości wskazać, jednocześnie zaś przyobiecwał, że zastosuje się do wszelkich mych wskazówek i poleceń.

— A więc udajmyż się przede wszystkim na miejsce gdzie nas widzieć, ani słyszeć nie mogą! — powiedziałem. — Tam uradzimy w spokoju, co czynić należy.

Zgodzili się wszyscy trzej i poszli ze mną do kotliny ukrytej przed oczyma marynarzy.

— Przede wszystkim żądam od pana, kapitanie, odpowiedzi — powiedziałem, rozpoczynając obrady. — Czy zechcesz spełnić dwa moje warunki?

Kapitan nie czekał dalszego ciągu, ale zaręczył niezwłocznie, że, o ile okręt wróci w jego posiadanie, zostanie mi wyłącznie oddany do usług, jeśli się zaś nawet to nie udało, zostanie przy mnie i do śmierci mnie nie opuści, choćby miał jechać na koniec świata. Dwaj inni złożyli takie samo ślubowanie.

— Warunki moje są następujące! — oświadczyłem. — Po pierwsze: Jak długo zostawać będziecie panowie na tej wyspie, musisz, kapitanie, zrzec się wszelkiej władzy i mnie uznać za jedynego rozkazodawcę. Broń, którą wam trzem powierzę, winniście mi zwrócić na każde wezwanie. Po wtóre: Zobowiązujesz się pan, kapitanie, odwiedzić mnie i służyć mego bezpłatnie do Anglii, skoro tylko okręt zostanie panu oddany w ręce.

Kapitan przystał z wielką gotowością na oba warunki, którym zresztą nic zarzucić nie było można. Oświadczył wzruszony, że przez całe życie będzie mym dłużnikiem i udowodni to przy każdej sposobności.

— Dobrze! — powiedziałem. — Wyglądasz pan, kapitanie, na uczciwego człowieka i wierzę ci. Oto trzy muszkiety dla was oraz proch i kule. Powiedźciez teraz, co, zdaniem waszym, przedsięwziąć należy?

Przyjął broń, rozdał ją pomiędzy obu towarzyszy i podziękowawszy serdecznie oświadczył, że się poddaje moim rozkazom.

Na te słowa wyraziłem przekonanie, że najlepiej by było podejść do śpiących i dać ognia. Gdy kilku padnie, reszta podda się pewnie i będzie można ich ułaskawić. Zresztą, niechże sam Bóg kieruje kulami.

Taka metoda wydała się jednak zacnemu kapitanowi zbyt sroga. Nie chciał przyzwolić na mordowanie tych ludzi i wyraził to w sposób nader skromny. Dwu z nich uważał co prawda za skończonych łotrów. Oni to wywołali cały bunt i zachodziła obawa, że jeśli nam umkną, to sprowadzą na wyspę całą załogę i zamordują nas bez namysłu.

Przysłuchiwałem się spokojnie, gdy zaś skończył, odparłem:

— Widzisz pan tedy, kapitanie, że mój projekt był dobry. Konieczność zmusza czasem do okrucieństwa i jest to jedyny sposób ocalenia własnego życia.

Kapitan sprzeciwiał się dalej rozlewowi krwi, wobec czego oświadczyłem, że biorę w swe ręce całą sprawę i uczynię, co uznam za potrzebne.

Podczas tych obrad zbudziło się kilku marynarzy i wstali z trawy. Widzieliśmy ich dokładnie, spytałem więc kapitana, czy są to przywódcy buntu.

Zaprzeczył.

— A więc pozwolimy im umknąć! — powiedziałem. — Widać sama Opatrzność poddała im zbawczą myśl oddalenia się od reszty. Jeśli teraz tamci ci ujdą, kapitanie, to będzie pańska własna wina.

Podniecony tą uwagą wziął kapitan w rękę muszkiet, zatknął jeszcze za pas jeden z mych pistoletów, a za jego przykładem uczynili to samo dwaj inni. Potem, stąpając ostrożnie, ruszyli w kierunku, gdzie spali marynarze. Nie zdołali jednak uniknąć lekkiego szmeru, jakas gałązka trzasła, to zwróciło uwagę jednego z ludzi, który nie spał, zerwał się też i zbudził gromkim krzykiem towarzyszy. Ale było już za późno. Zaledwie otworzył usta wypalili sternik i podróżny, a mierzyli tak dobrze, że jeden z buntowników poległ na miejscu, drugi zaś odniósł ciężką ranę.

Ranny zerwał się jednak zaraz i zaczął głośno wzywać pomocy. Kapitan, który przez ostrożność zachował swój nabój w lufie, podszedł doń, wezwał go, by błagał Boga o przebaczenie grzechów, gdy zaś łotr rzucił się na niego, wymierzył mu kolbą w głowę cios, po którym nie wstał już z ziemi.

Zostało jeszcze trzech marynarzy, z których jeden był lekko ranny.

Zjawiłem się teraz ja na placu boju, a marynarze, poznavszy, że nie ma mowy o oporze, jęli błagać kornie o życie.

Kapitan powiedział im, że mogą zostać ulaskawieni, jeśli złożą przysięgę, iż z całego serca żałują udziału w buncie, pomogą odzyskać okręt i doprowadzą go do Jamajki, skąd wyruszono.

Marynarze objawili głęboką skruchę, żal i przysięgli bezwzględne posłuszeństwo, po czym kapitan zgodził się, by im darować życie. Nie miałem nic przeciw temu, zażądałem tylko, by im związano ręce i nogi i nie zdejmowano więzów, jak długo będą przebywać na mojej wyspie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Robinson opowiada kapitanowi swe dzieje. — Plany odzyskania okrętu. — Druga łódź buntowników przybija do wyspy. — Robinson wciąga marynarzy w pułapkę i zabiera im łódź. — Przywódca buntu pada z ręki kapitana. — Namiestnik wyspy.

Podczas tych zdarzeń Piętaszek i sternik poszli z moim rozkazem do łodzi i zabrali z niej wiosła oraz maszt i żagle. Po pewnym czasie zjawili się trzej marynarze, którzy z samego początku odłączyli się od reszty. Zdumiało ich wielce, że kapitan, niedawno będący jeńcem, jest na powrót ich panem i władcą. Dali się też bez oporu związać i to dopełniło miary naszego zwycięstwa.

Mieliśmy teraz wraz z kapitanem dość czasu, by sobie wzajemnie opowiedzieć dzieje żywota. Ja zacząłem pierwszy, on zaś słuchał uważnie, a nawet z wielkim napięciem. Wielkie wrażenie wywarło na nim zwłaszcza owo zrządzenie Opatrzności, skutkiem którego zaopatrzone zostałem w żywność, broń i amunicję. Wzruszenie go ogarnęło wielkie, gdy zestawiał życie moje ze swoim i spostrzegł, że zostałem uratowany przez Boga po to, by mu z kolei ocalić życie. Siedział milcząc, ze łzami w oczach i ścisnął mi raz po raz rękę, niezdolny wyrzec słowa.

Gdyśmy tak ulżyli sercom swoim, wyprowadziłem go, wraz z dwoma towarzyszami na szczyt mojej skały, a stamtąd, po drabinie do wnętrza fortecy. Uraczyłem moich gości różnymi rzeczami, potem zaś pokazałem im wszystko, co sporządziłem i czego dokonałem w ciągu długich lat samotności. Chodzili niby we śnie, nie mogąc uwierzyć przez czas dłuższy temu, co widzą i słyszą. Kapitana zajęły zwłaszcza moje urządzenia fortyfikacyjne oraz plantacja, która po latach dwudziestu, utworzyła nieprzebytej wprost las. Powiedziałem mu, że wzorem panujących posiadam prócz rezydencji także pałac letni, który mu pokażę, na razie jednak trzeba zająć się odzyskaniem okrętu.

Przyznał mi zupełną rację, ale zakłopotał się wielce, gdyż na pokładzie było jeszcze dwudziestu sześciu marynarzy, którzy wzięli udział w buncie i wiedzieli dobrze, że wedle

prawa muszą postradać życie. Dlatego też nie ulegało wątpliwości, że bronąć się będą do upadłego, z uwagi na to, iż w pierwszym porcie angielskim czeka ich stryżek. Nie sposób było pokonać ich tak małą liczbą ludzi, jaka tworzyła naszą gromadkę.

Zapatrywania kapitana były aż nadto uzasadnione, powiedziałem mu tedy, że jedynie podstępem zdołamy dojść do celu.

Spodziewałem się, iż załoga zniecierpliwiona długą nieobecnością towarzyszy, wyśle drugą łódź dla ponaglenia powrotu, a zachodziła możliwość, że marynarze tej drugiej łodzi przybędą uzbrojeni w broń palną. Poradziłem więc przede wszystkim uszkodzić pierwszą łódź, by była niezdatna do użytku.

Poszliśmy do niej i wyjęliśmy wszystko co nam się mogło przydać. Była tam faszka wódki, kilka sucharów, pełny róg z prochem oraz zawinięty w płótno żaglowe kilkufuntowy kawał cukru. Bardzo mi byłem rad, gdyż od niezmiernie długiego już czasu nie miałem w ustach cukru.

Wiosła, maszt, ster i żagiel zabrali już poprzednio Piętaszek i sternik, toteż wyniósłszy z łodzi wymienione przedmioty, wybiliśmy w dnie wielką dziurę. Czyniąc to nie miałem na celu odzyskania okrętu, ale chciałem, w razie niepowodzenia, naprawić łódź i ruszyć nią na poszukiwanie Hiszpanów, o których nie zapomniałem wcale.

Potem wyciągnęliśmy łódź tak daleko na piasek, że przyływ zabrać jej nie mógł i właśnie zajęci byliśmy naradą, co dalej czynić, gdy nagle okręt dał strzał armatni i wywiesił flagę na znak, by łódź wracała.

Ale żadna łódź nie odbiła od brzegu.

Okręt dał jeszcze kilka sygnałów armatnich, gdy zaś pozostały bez skutku wysłano drugą łódź, która szybko zbliżyć się zaczęła do wyspy. Przez lunetę naliczyłem dziesięciu marynarzy uzbrojonych w muszkiety.

Okręt stał w odległości dwu mil angielskich, toteż łódź miała spory kawał do przepłynięcia. Przez ten czas oglądaliśmy za pomocą lunety twarze wiosłarzy. Kapitan rozpoznał wszystkich i powiedział, że trzech z pośród nich to ludzie uczciwi, którzy tylko pod grozą śmierci przystali do buntowników. Natomiast bosman siedzący także w łodzi i szczęściu innych marynarzy byli to szubrawcy, najgorsi z buntowników i kapitan zafrasował się wielce, czy damy radę takiej czeredzie zbrojnych.

Uśmiechnąłem się tylko z tych jego obaw i powiedziałem mu, że ludzie w naszym położeniu stać winni wyżej ponad wszelki strach, gdyż każdy wynik, śmierć czy życie, oznacza oswobodzenie z wygnania. Przypomniałem mu własne życie moje na dowód, że wszystko dla mnie lepsze, niż obecna sytuacja, a w końcu dodałem:

— Gdzież się zresztą podziąła, kapitanie, pańska wiara, że Bóg uratował mi życie po to, by pana ocalić? Ja osobiście nierad jestem jednemu tylko...

— Czemuż to? — spytał.

— Powiedziałeś pan, kapitanie, że w łodzi znajduje się trzech uczciwych marynarzy, a przeto życie ich musimy uszanować. Gdyby wszystkich dziesięciu było drabami, sądziłbym, że sam Bóg ich wydaje w ręce nasze. Wiedz pan bowiem, kapitanie, iż ktokolwiek dotknie stopą tej wyspy, popada w moc naszą, a jego życie lub śmierć od nas jedynie zależy.

Wyrzekłem te słowa głośno, z pełną wiarą i uśmiechem na ustach, toteż dodały one odwagi kapitanowi i zaufania innym naszym towarzyszom broni.

Gdy tylko łódź odbiła od okrętu, pośpiesznie rozdzieliliśmy naszych jeńców. Dwaj, o których kapitan miał najgorszą opinię, umieszczeni zostali w mojej jaskini skalnej w lesie, skąd wrócić by tak łatwo nie mogli, nawet gdyby zdołali poszarpać więzy. Postawiono w pobliżu skrępowanych jadło i napój, a eskortujący ich Piętaszek dał im też kilka świec, by nie siedzieli po ciemku. Potem przyrzekł, że jeśli przez dni kilka zachowają się spokojnie, odzyskają wolność, w razie przeciwnym zostaną bezwzględnie rozstrzelani.

Przyrzekli czekać cierpliwie, podziękowali za żywność i światło, a gdy Piętaszek odszedł pewni byli, że stoi na straży przed jaskinią.

Innych więźniów nie traktowaliśmy tak surowo. Dwaj niepewni pozostali w więzach, dwu zaś innych przyjąłem na polecenie kapitana do służby, odebrawszy od nich przysięgę, że będą żyć i umierać z nami. Wraz z tymi posiłkami liczyła teraz nasza armia siedmiu ludzi i nie wątpiłem, iż damy radę tamtym dziesięciu, tym więcej, iż zdaniem kapitana było pośród nich jeszcze trzech uczciwych.

Niedługo po ukończeniu tych przygotowań druga łódź wylądowała na wyspie.

Załoga wysiadła i wyciągnęła łódź daleko na piasek. Uradowało mnie to, gdyż obawiałem się, że ją zostawią na kotwicy w głębokiej wodzie pod strażą kilku towarzyszy, co by nam uniemożliwiło zdobycie tego statku.

Zaledwo wysiedli, pospieszyli do pierwszej łodzi i zdumieli się, widząc, że jest pusta oraz przedziurawiona na dnie.

Przez dobrą chwilę stali bezradni i rozmawiali o tej dziwnej przygodzie, potem zaś zaczęli krzyczeć głośno dla zwołania towarzyszy. Gdy to nie odniosło skutku, stanęli kołem i oddali salwę. Odpowiedziało im tylko echo z lasu, a i ten sygnał spełził na niczym. Siedzący w jaskini marynarze nie usłyszeli strzałów, zaś inni nie śmieli na nie odpowiedzieć.

Bosman nie umiał sobie wytłumaczyć tego milczenia i postanowił, jakieśmy się dowiedzieli później, wrócić na okręt z meldunkiem, że cała załoga pierwszej łodzi poniosła na wyspie śmierć, a sama łódź została zniszczona przez nieznanego nieprzyjaciela. Nie tracąc tedy czasu, zepchnęli swą łódź z powrotem we wodę i wsiedli wszyscy.

Kapitan zadrżał ze strachu, pewny był bowiem, że po powrocie marynarzy okręt rozwinie żagle i odpłynie. Ale ta obawa okazała się przedwczesna.

Ujechawszy małą przestrzeń, łódź zawróciła, przybiła na nowo do wyspy, a załoga wysiadła, zostawiając jednak trzech marynarzy jako straż przy statku. Reszta ruszyła w głąb wyspy, by ją zbadać.

Rozczarowało nas to wielce, gdyż nawet w razie pokonania tych siedmiu marynarzy, którzy wysiedli, nic by nam z tego nie przyszło, gdyby tamci trzej wrócili do okrętu z zawiadomieniem. Okręt odpłynąłby w takim razie na pewno.

Nie było jednak na razie innej rady, jak czekać co się dalej stanie.

Siedmiu marynarzy poszło w głąb wyspy, zaś trzej pozostali zarzucili kotwicę w pewnej od lądu odległości, czekając na powrót towarzyszy. Skutkiem tego nie było mowy o zdobyciu łodzi.

Maszerujący szli szeregiem w kierunku mej fortecy. Śledziliśmy każdy ich ruch, oni zaś widzieć nas nie mogli.

Czekaliśmy, aż podejda blisko, by dać salwę. Dotarłszy do wzgórza, z którego mogli objąć spojrzeniem znaczną część północnego krańca wyspy, podnieśli wielki krzyk i wrzeszczeli tak długo, aż wszyscy ochrypli. Uznali potem, widocznie, że niebezpiecznie jest iść dalej w nieznaną okolicę, usiedli przeto pod drzewem i zaczęli się naradzać.

Łatwo by nam przyszło pokonać ich, gdyby byli zasnęli jak poprzednicy, ale zachowali ostrożność wobec niebezpieczeństwa, mimo że go nie znali wcale.

Kapitan powziął myśl, która mi przypadła do gustu. Jeśliby marynarze dali raz jeszcze salwę sygnałową, należało rzucić się na nich, zanim zdołają nabić muszkiety i obezwładnić wszystkich. W ten sposób osiągnęlibyśmy nasz cel bez rozlewu krwi, na czym to właśnie wielce zależało zacnemu kapitanowi.

Ale marynarze nie dali salwy sygnałowej, musieliśmy tedy czekać beczynn timer w zasadce.

Przyszło mi na myśl, że może za nastaniem mroku zdołamy podstępem zwabić na ląd strażników łodzi.

Po długich obradach marynarze wstali i ruszyli z powrotem ku wybrzeżu. Bali się widać nieznanych niebezpieczeństw, których ofiarą padli ich towarzysze, postanowili tedy wrócić i odpłynąć.

Zauważywszy ich zamiar podzieliłem się swą obawą z kapitanem, a biedak ten popadł w straszną rozpacz. Zaraz jednak błysnęła mi myśl o podstępie, za pomocą którego można by buntownikom przeszkodzić w tym zamiarze.

Kazałem Piętaszkowi i sternikowi pobiec co prędzej na zachodnie wybrzeże, tam gdzie stoczył pierwszą walkę z dzikimi, wejść na wzgórze i krzyczeć co sił w piersiach, tak by buntownicy usłyszeli i odpowiedzieli. Potem mieli wysłańcy cofnąć się, krzycząc ciągle, w las i gnać szerokim kręgiem w kierunku, który im dokładnie wyznaczyłem.

Marynarze mieli właśnie wsiadać do łodzi, gdy nagle rozbrzmiały z głębi wyspy donośne przeciągłe okrzyki Piętaszka i sternika.

Zacząli nasłuchiwać, spoglądali po sobie, naradzili się pośpiesznie, potem zaś pobiegli zwawo wybrzeżem w stronę zachodnią, w ślad za głosami, aż do rzeczki, która im zastąpiła niespodzianie drogę.

Stało się, com przewidział. Przywołali łódź, by ich przewiozła na drugi brzeg wezbrany właśnie skutkiem przypływu wody.

Łódź podpłynęła trochę w górę rzeczki i wysadziła załogę na przeciwległym brzegu, ponieważ zaś było tu z pozoru całkiem bezpiecznie, przeto marynarze przywiązali statek liną do drzewa i poszli dalej, zabierając ze sobą jednego ze strażników, by wzmocnić swą gromadkę.

Trudno było życzyć sobie czegoś lepszego. Gdy tylko marynarze pobiegli na poszukiwanie niewidzialnych krzykaczy, wypadłem z towarzyszami z zasadzki, przekroczyłem rzeczkę w części górnej, płytkiej i rzuciliśmy się na dwu strażników. Jeden leżał w trawie, drugi na dnie łodzi i wpadli nam w ręce, zanim się spostrzegli. Leżący w trawie chciał uciekać, ale kapitan zwałił go na ziemię, po czym drugi poddał się bez namysłu. Wyszło na jaw, że ten drugi został przemocą nakłoniony do buntu, przeto wstąpił w nasze szeregi i wytrwał uczciwie do końca na stanowisku.

Tymczasem Piętaszek i sternik wywabili marynarzy tak daleko w głąb wyspy, że nie mogli oni wrócić do łodzi przed zapadnięciem nocy. Zjawili się w końcu przy nas, strasznie zmęczeni, co było również miarą zmęczenia tych, którzy ich szukali.

Nie było teraz nic innego do roboty, jak czekać nadejścia buntowników, by się na nich rzucić pod osłoną ciemności.

Po kilku godzinach zaczęli nadciągać pojedynczo, wołając towarzyszy, by się śpieszyli. Wszyscy klęli, żalili się i wzdychali, rozgoryczeni długim szukaniem i bieganiem, od którego poranili sobie nogi.

Dotarwszy do łodzi, stanęli oniemiała. Była pusta, leżała wysoko na piasku skutkiem odpływu, a dwaj strażnicy znikli.

Ten i ów zaczął dowodzić, że albo wyspa jest zaczarowana, albo posiada mieszkańców, którzy wymordowali załogę pierwszej łodzi i teraz czyhają także na ich życie.

Wołali po nazwisku dwu brakujących jeszcze towarzyszy kilkadziesiąt razy, ale nie otrzymali odpowiedzi.

Bezradni i zrozpaczeni chodzili po brzegu rzeczki, wsiadali do łodzi, kładli się na duchtach chcąc odpocząć, wylazili ponownie na ziemię i wałęsali się tu i tam bez celu.

Ludzie moi chcieli kilka razy już napaść na zatrwożonych, by z nimi skończyć, ja jednak postanowiłem czekać pomyślniejszej jeszcze sposobności, albowiem wolałem szczerdzić krwi zarówno nieprzyjaciół, jak i własnych wojowników, a to tym więcej, że buntownicy byli doskonale uzbrojeni.

Po pewnym czasie poleciłem Piętaszkowi i kapitanowi, by podeszli na czworakach jak najbliżej, ale zaleciłem im strzelać tylko na pewniaka. Posłuszni rozkazowi znikli zaraz w ciemności.

Przypadek zrządził, że bosman oddalił się od reszty wraz z dwoma towarzyszami. Był on jednym z głównych podżegaczy na pokładzie okrętu, teraz zaś kłął i żalił się najgłośniej. Skierował się właśnie w stronę naszego patrolu.

Widząc, że los wydał mu w ręce łotra, kapitan mógł się ledwo powstrzymać aż do chwili, kiedy tenże stanął w odległości strzału. Zrazu poznał tylko głos jego, teraz jednak zobaczył całą postać buntownika. Skoczył na równe nogi, za nim Piętaszek i strzelili obaj jednocześnie.

Trafiony w głowę padł trupem bosman, jeden z jego towarzyszy otrzymał ranę w brzuch, a drugi uciekł.

Bezpośrednio po strzałach wystąpiłem do boju z moją armią. Liczyła ona siedmiu ludzi: generał-Robinson Crusoe, adiutant-Piętaszek — potem zaś kapitan, sternik, podróżny i trzech jeńcy wojenni, którym powierzyłem broń.

W ciemności nieprzyjacieli nie mogli dostrzec, jak nas mało i to była sprzyjająca okoliczność. Kazałem schwytanemu strażnikowi łodzi wołać buntowników po nazwisku, mając nadzieję, że ich to skłoni do układów i przyjęcia moich warunków.

Marynarz podszedł i krzyknął:

— Tomie Smith! Tomie Smith!

Tom nastawił uszu.

— Czyś to ty, Jack? — odkrzyknął, poznawszy głos.
— Tak, to ja, Tomie! Radzę ci, rzuć na miłość boską broń i każ to zrobić innym! Inaczej wszystko przepadnie. Poddajcie się póki czas!
— Komu się mamy poddać? — spytał Tom. — Któż tego żąda?
— Tu stoi nasz kapitan wraz z pięćdziesięciu żołnierzami! — odparł Jack. — Od pół godziny śledzą oni was. Bosman padł trupem, Will Trey dogorywa, ja jestem w niewoli, a jeśli się nie poddacie, zginiecie wszyscy marnie.
— Czy zostaniemy ułaskawieni w razie poddania się? — spytał Tom.
— Spytaj sam kapitana! — odparł Jack.
Kapitan słyszał oczywiście wszystko. Przeczekał dwie minuty, potem zaś przemówił:
— Hej, Smith! Wiesz dobrze, kto do ciebie mówi, gdyż znasz mój głos. Jeśli natychmiast złożycie broń i oddacie się w niewolę, daruję wam życie, wszystkim, z wyjątkiem Willa Atkinsa.
— Na miłość boską, kapitanie, miejże pan litość! — krzyknął Atknie z rozpaczliwym strachem. — Czemuż ja mam dać głowę? Wszakże nie uczyniłem nic gorszego od innych!
To było kłamstwo. W chwili wybuchu buntu Will Atkins pierwszy podniósł rękę na kapitana, związał go i obrzucił obelgami i klątwami.
W odpowiedzi rozkazał mu kapitan zdać się na łaskę i niełaskę i dodał, że los jego zależy od namiestnika tej wyspy.
Namiestnikiem byłem ja, który to tytuł nadany mi już podczas poprzednich układów, w zupełności mnie zadowalał.
Buntownicy stracili już całą otuchę, bez wahania też rzucili zaraz broń i zaczęli błagać kornie o darowanie życia. Jack i dwaj jego towarzysze związali z rozkazu kapitana buntowników, zaś reszta mej armii, której liczby w ciemności dostrzec nie było można, wzięła ich w niewolę oraz zajęła łódź. Ja sam wraz z moim adiutantem pozostałem niewidzialny, jak to mówią... ze względów politycznych.
Kapitan przedstawił buntownikom w ostrych słowach, jakiej się dopuścili zbrodni, a potem jak głupio postąpili. Choćby czyn taki ukrywać się dał przez pewien czas, to w końcu musieliby wszyscy zawisnąć na stryczku w pierwszym zaraz porcie, do którego by zawinęli.
Okazali wielką skruchę i błagali ze łzami o życie. Kapitan oświadczył im, że nie są jego jeńcami, ale namiestnika wyspy. W zaślepieniu swym sądzili, że przybijają do miejsca niezamieszkałego, ale Bóg zrządził inaczej. Wyspa ta jest nie tylko zamieszkała, ale zostaje pod władzą namiestnika, w dodatku Anglika, który ma przeto prawo sądzić ich wedle prawa angielskiego, czyli niezwłocznie powiesić. Ponieważ jednak otrzymali na razie ułaskawienie, przeto zostaną odstawieni do Anglii, gdzie będą podlegali ustawowej karze. Odnosi się to do wszystkich z wyjątkiem Willa Atkinsa, który może uczynić obrachunek z Bogiem, gdyż zostanie powieszony o świecie.
Przemowa ta, będąca wymysłem samego kapitana, wywarła druzgoczące wrażenie. Will Atkins padł na kolana i zaczął błagać kapitana, by się raczył wstawić za nim do namiestnika, a inni prosili także żarliwie, by ich nie wieziono do Anglii.
Z tych wszystkich wydarzeń wyciągnąłem wnioski, że bliski już jest czas mego wyzwolenia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

— Kapitan roztrząsa sumienie buntowników. — Zdobycie okrętu. — Wyzwolenie. — Nowy strój Robinsona. — Kapitan buntowników zostaje powieszony na reii. — Robinson udziela pozostałym na wyspie dobrych rad. — Odjazd.

Nie wątpiłem już teraz, że z łatwością zdołamy opanować okręt przy pomocy tych pokornych i skruszonych ludzi.

Cofnąłem się cicho, niewidziany przez nikogo, by nie spostrzeżono, jakiego to rodzaju namiestnik włada wyspą. Potem zawezwałem do siebie kapitana w ten sposób, że jeden z mych ludzi podszedł kawałek drogi i powiedział głośno:

— Panie kapitanie! Ekscelejncja, pan namiestnik Jego Królewskiej Mości, życzy sobie pomówić z panem!

Na to odparł kapitan służbiście.

— Proszę oznajmić ekscelencji panu namiestnikowi, że natychmiast się stawię przed jego obliczem.

W ten sposób nabrali marynarze przekonania, że namiestnik wraz z oddziałem pięćdziesięciu zbrojnych znajduje się gdzieś w pobliżu i stali się jeszcze pokorniejsi niż przedtem.

Opowiedziałem kapitanowi swój plan zdobycia okrętu i z zadowoleniem przekonałem się, że go pochwała. Zaraz nazajutrz mieliśmy go wykonać.

Z koniecznej ostrożności poleciłem kapitanowi, by podzielił naszych jeńców. Trzej najniebezpieczniejsi, a pośród nich Atkins, zostali wysłani do jaskini, gdzie siedzieli już dwaj poprzedni, a odtransportowali ich Piętaszek, sternik i podróżny. Resztę więźniów odprowadzono do mej letniej rezydencji. Ponieważ mieli związane ręce, przeto uznałem, że miejsce to zabezpiecza nas dostatecznie przed ich ucieczką. Zresztą czas trwania niewoli zawisł od ich zachowania się.

Nazajutrz rano posłałem kapitana, by im roztrząsnął sumienie i zbadał, czy ich można uwolnić i użyć do zdobycia okrętu.

Przedstawił im wymownie zbrodnię, jakiej się dopuścili i uprzytomnił fatalne położenie. Choćby im nawet namiestnik darował życie, to jako buntownicy zawisną wedle prawa angielskiego na szubienicy i to w kajdanach, gdy tylko staną w pierwszym angielskim porcie. Jedno ich tylko ocalić może, mianowicie jeśli z całą ofiarnością i uczciwością dopomogą w odzyskaniu okrętu, wówczas bowiem namiestnik użyje całego swego wpływu, by ich uchronić od kary w ojczyźnie.

Łatwo zrozumiecie, że buntownicy z całym zapalem przyjęli tę propozycję. Padli na kolana i przysięgli, że do ostatniej kropli krwi wytrwają mężnie przy boku swego zacnego kapitana, chcąc w ten sposób odpokutować swą zbrodnię. Oświadczyli, że łagodności tej nie zapomną do końca życia, uważać go będą póki życia za swego wybawcę i pozostaną mu wdzięczni.

— Ano to dobrze, chłopcy! — odparł kapitan. — Cieszy mnie wasza skrucha i dobre zamiary. Pójdę teraz do namiestnika i zawiadomię go o wszystkim. Zobaczymy, co na to powie.

Wrócił, opisał mi nastrój marynarzy i wyraził przekonanie, że przysięga ich była szczerą.

I ja w to uwierzyłem, aby się jednak zabezpieczyć, poleciłem uwolnić pięciu ludzi, ale zawiadomić ich jednocześnie, że zatrzymuję drugich pięciu jako zakładników, którzy w razie zdrady natychmiast zostaną powieszani.

Armia moja miała teraz skład następujący: po pierwsze kapitan, sternik i podróżny, po wtóre dwaj więźniowie z załogi pierwszej łodzi, którzy za poręką kapitana od początku samego otrzymali broń, po trzecie dwaj następni, zamknięci dotąd w letnim mieszkaniu, a po czwarte pięciu wymienionych z załogi drugiej łodzi. Razem miałem tedy dwunastu ludzi, nie licząc zakładników w jaskini.

Spytałem kapitana, czy z tymi siłami waży się zdobywać okręt, a on odpowiedział, że podejmie z pomocą bożą tę sprawę.

Nie tracąc czasu, wziął się do naprawy łodzi przez nas uszkodzonej, a gdy to rychło zostało dokonane, spuścił oba statki na wodę. W jednej usiadł podróżny i czterech marynarzy, w drugiej zaś kapitan, sternik i pięciu ostatnich marynarzy.

Gdy noc zapadła, odbiła wyprawa od brzegu i skierowała się, wiosłując powoli, w stronę okrętu.

Dotarłszy na odległość głosu, Jack zasygnalizował okrzykiem i powiedział patrzącej przez parapet załodze, że nareszcie po długich poszukiwaniach odnaleziono załogę pierwszej łodzi, przy czym nie obeszło się bez różnych przygód i niebezpieczeństw. W ten sposób zajęta została uwaga załogi aż do chwili przybicia obu łodzi do boku okrętu.

W tej chwili weszli po spuszczonej drabinach sznurowych na pokład kapitan i sternik, i zatukli bez namysłu kolbami muszkietów drugiego sternika i cieślę. Buntownicy nie zdołali jeszcze przyjść do siebie po tym napadzie, gdy z wszystkich stron otoczyli ich marynarze przybyli łodziami, zamykając jednocześnie luki pokładu, by się zabezpieczyć przeciw tym, którzy byli na dole.

Napadnięci zniemacka buntownicy stawili słaby opór i poddali się rychło. Ale przywódca, kapitan buntowników, uciekł do kajuty i przy pomocy dwu marynarzy i chłopca

okrętowego zaczął się bronić zacięcie. Sternik wyłamał drzwi, otrzymał postrzał w ramię, ale nie zważając na to poskoczył i ustrzelił draba z pistoletu. Kula weszła ustami, a wyszła poza uchem, tak że buntownik legł na miejscu.

Śmierć dowódcy złamała opór reszty załogi, tak że okręt został odzyskany bez dalszej straty w ludziach.

Umówiliśmy się, że w razie powodzenia kapitan da siedem strzałów armatnich. Jakoż zagrzmiąły one wśród nocy, huk poleciał daleko po oceanie, a serce moje wezbrało niezmierną radością. Do drugiej blisko nad ranem siedziałem na wybrzeżu, czekając na ten sygnał z utęsknieniem.

Pelen wdzięczności dla Boga, udałem się na spoczynek. Dzień miniony był burzliwy i wyczerpał mnie, toteż zapadłem rychło w głęboki sen. Niedługo atoli spoczywałem, gdyż zbudził mnie ponowny strzał. Wstałem zmieszany. Nagle doleciało mnie wołanie z zewnątrz fortecy.

— Panie namiestniku! Panie namiestniku!

Był to głos kapitana. Wyszedłem śpiesznie po drabinie i zastałem go na szczycie wzgórza. Wskazał na okręt, potem chwycił mnie w ramiona.

— Przyjacielu mój! Wybawco! Oswobodzicielu! — zawołał. — Oto tam stoi na kotwicy twój okręt. Jest własnością twoją, jako i my wszyscy, którzy ci zawdzięczamy życie i wolność!

Przycisnąłem do piersi zacnego człowieka, potem zaś spojrziałem przez lzy po morzu lśniącym w porannym słońcu. Tuż przy brzegu, ledwo o pół mili angielskiej oddalony stał okręt, który kapitan rozkazał podprowadzić zaraz po ukończeniu boju do samego ujścia rzeczki. On sam wylądował czółnem w miejscu, gdzie przybiłem do brzegu ongiś tratwami, a więc niemal u progu mego domu.

Byłem tak wzruszony, że nie mogłem się oprzeć łzom. Upłynął tedy czas mego wygnania, mogłem opuścić wyspę wedle woli, gdyż tam, na morzu czekał mych rozkazów wielki, wspaniały okręt, którym miałem wrócić do ojczyzny.

Do ojczyzny! Ach, trudno mi to było pojąć!

Trzymałem jeszcze kapitana w objęciach i gdyby nie to, byłbym niezawodnie upadł.

Długo nie mogliśmy obaj wyrzec słowa. Kapitan był równie jak ja wzruszony, chociaż z innego powodu. Zaczął mnie ponownie zapewniać o swej wielkiej wdzięczności i prosił serdecznie, bym się uspokoił. Trudno było to zrobić i dopiero ponowny wybuch płaczu ulżył mi i przywrócił mowę.

Objąwszy znowu kapitana, podziękowałem mu za wyzwolenie i oświadczyłem, że od razu uznał za wysłańca niebios, zaś jego przybycie jest największym cudem, jaki przeżyłem na tej wyspie.

Gdyśmy tak wzajem ulżyli sercom naszym oraz złożyli Bogu dzięki za ocalenie, zawiadomił mnie kapitan, że przywiózł coś na przekąskę, chociaż niewiele zostało na okręcie, gdyż buntownicy spożyli co najlepsze zapasy. Krzyknął na ludzi czekających w czółnie, by przynieśli rzeczy, przeznaczone dla pana namiestnika. Po chwili przywłókł Piętaszek do mej fortecy taką masę różności, jakby szło nie tylko o obdarowanie mnie, ale zaprowiantowanie na czas długi.

Znalazła się nasamprzód paka zawierająca sześć flasz madery, po dwie kwarty każda, potem dwa funty przedniego tytoniu, dwa ogromne płyty solonej wołowiny i sześć wieprzowiny, wór grochu, sto funtów sucharów, skrzynia cukru, skrzynia mąki i jeszcze mnóstwo innych przysmaków.

Ale sto razy potrzebniejszym, a więc bardziej pożądanym, był mi inny podarek, a składał on się z sześciu nowych koszul, sześciu pięknych krawatów, dwu par rękawiczek, pary trzewików, pary pończoch oraz doskonałego, mało co noszonego ubrania z własnej garderoby kapitana. Jednym słowem, zacny ten człowiek ubrał mnie od stóp do głowy.

Cenny to był dar, a chociaż bardzo potrzebowałem odzieży, z trudnością tylko przywykłem do niej, w pierwszej zaś chwili czułem się bardzo nieswojo.

Podziękowałem za wszystko serdecznie, potem zaś zaczęliśmy radzić, co począć z więźniami. Szło głównie o dwu, których kapitan uznał za zepsutych na wskroś i niepoprawnych lotrów. Gdybyśmy ich mieli nawet wziąć na pokład, to tylko skrepowanych i zakutyh w kajdany i jedynie po to, by ich oddać władzom krajowym.

Odparłem, że spróbuję doprowadzić do tego, by sami poprosili, o zostawienie ich na wyspie.

— Bardzo bym był rad, gdyby się to udało! — rzekł kapitan — i w pełni uznaję pański plan.

Posłałem Piętaszka i dwu marynarzy do jaskini z poleceniem przeprowadzenia więźniów do mej letniej rezydencji i pilnowania, aż do chwili mego przybycia.

Stało się tak i niezadługo poszedłem tam w towarzystwie kapitana, przybrany w nowę szaty, jako namiestnik i władca wyspy.

Przyprowadzono przed me oblicze skępowanych więźniów. Popatrzyłem na lotrów surowo, potem wykazałem im popełnioną zbrodnię i zakończyłem uwagą, że Opatrzność wpędziła ich we własne sidła.

Potem oświadczyłem, że okręt został na mój rozkaz zasekwestrowany, stoi u wybrzeża, a wybrany przez nich buntowniczy kapitan otrzymał zapłatę za swe czyny i za chwilę zostanie w ich oczach powieszony na rei przedniego masztu. Ich czeka ten sam los, albowiem jako namiestnik wyspy mam prawo sądzić i wyrokować wedle angielskich ustaw. Wreszcie zapytałem, co mają na swoją obronę.

Jeden z więźniów zabrał głos i oświadczył w imieniu wszystkich, że nic nie mogą przywołać na swą obronę, natomiast pozwala sobie przypomnieć, że kapitan raczył w chwili poddania się ich darować im życie. Teraz oto wszyscy proszą pokornie pana namiestnika, by zechciał łaskawie uczynić to samo.

Odpowiedziałem, że właśnie zamierzam opuścić wyspę wraz z wszystkimi moimi ludźmi i pojedę do Anglii okrętem kapitana. Oświadczyłem też, że daruję im życie, gdyby jednak kapitan zabrał ich na pokład to tylko zakutych w kajdany, zaś w ojczyźnie czeka ich sąd, którego wyrok łatwo przewidzieć. Poradziłem im przeto, by zostali na wyspie i próbowali żyć tutaj jako tako, gdyż innej rady nie ma.

Podziękowali mi pokornie za łagodny wyrok i oświadczyli, że wolą tu walczyć o życie, niżli dać się powiesić w Anglii.

Kapitan wzbraniał się z pozoru, potem jednak przystał. Kazałem przeto uwolnić więźniów i zaopatrzywszy ich w żywność rozkazałem, by poszli w głąb wyspy i tam czekali, aż ich przywołam.

Byłem już gotów do odjazdu, nie chciałem jednak opuszczać wyspy, nie dopełniwszy wobec pozostałych obowiązków chrześcijanina i człowieka, toteż zostałem tu jeszcze przez jeden dzień i noc.

Wysłałem kapitana na pokład, by przysposobił okręt do podróży, oraz poleciłem mu powiesić na rei przedniego masztu przywódcę buntowników, którego zastrzelił sternik.

Wróciwszy do fortecy, kazałem przyprowadzić sobie winowajców.

Dziwny pałac skalny namiestnika wyspy wprowadził ich w wielkie zdumienie, ponieważ jednak poczuli mą władzę, uznali za stosowne słuchać w pokorze mych słów.

Nasamprzód pokazałem im wiszącego na rei przywódcę buntu, na który to widok zadrżeli od stóp do głowy. Potem pochwaliłem postanowienie pozostania na wyspie, gdyż ten sam los spotkałby ich niewątpliwie w Anglii.

Następnie opowiedziałem słuchającym z wielkim zaciekawieniem dzieje mego życia.

Na koniec oprowadziłem ich po fortecy, objaśniłem jej budowę, powiedziałem, jak uprawiałem pole, piekłem chleb, suszyłem winogrona, słowem nauczyłem wszystkiego, czego potrzebowali, by żyć, a słowa moje wlały nadzieję i otuchę w ich serca.

Przy tym oznajmiłem, że niezadługo przybędzie tu szesnastu Hiszpanów, zaleciłem, by żyli z nimi w zgodzie i zostawiłem na stole list pod adresem ich przywódcy.

Zaznaczam tu, że kapitan dostarczył mi papieru, atramentu i pióra dla napisania tego listu, przy czym wyraził zdumienie, iż nie przyszło mi nigdy na myśl, sporządzić sobie atramentu ze sady i wody, lub soku roślin. Nie rozumiał, czemu dokonawszy tylu bardzo trudnych rzeczy, o tym właśnie zapomniałem. Na pytanie to, wyznaję, odpowiedzi nie znalazłem.

Podarowałem kolonistom moją broń, a mianowicie: pięć muszkietów, trzy strzelby i trzy szpady.

Z całego zapasu prochu zostało jeszcze półtorej beczki, gdyż po upływie pierwszych lat pobytu oszczędzałem, jak mogłem, amunicję.

Nauczyłem jeszcze pozostających na wyspie, jak mają hodować trzodę, tuczyć kozy oraz robić masło i ser.

Poza tym przyrzekłem wpłynąć na kapitana, by im podarował jeszcze dwie beczki prochu oraz zapas nasion, za którymi sam tęskniłem ciągle nadaremnie. Wręczyłem im też worek grochu, otrzymany w podarku, zalecając, by go nie zjedli, ale wysiali aż do ostatniego ziarnka i rozmnożyli.

Na tych rozmowach ubiegł wieczór i większa część nocy, a o świcie przybył kapitan, by mnie zabrać wraz z wiernym Piętaszkiem na pokład.

Biedny chłopak z wielkim żalem opuszczał wyspę, tym więcej, że było stąd blisko do stałego lądu, gdzie mieszkało jego plemię.

Najbardziej jednak trapiło go, że odjedzie, nie pożegnawszy starego ojca swego, a wyznając, że mnie ta okoliczność smuciła.

Byłbym ostatecznie czekał powrotu Hiszpanów i starego Karaiba, ale kapitan oświadczył, że przy panującej obecnie ciszy morskiej podróż potrwa i tak długo, zaś okręt posiada bardzo mało prowiantu, zwłaszcza solonego mięsa, toteż odkładać wyjazdu nie można.

Pocieszałem tedy, jak mogłem, biednego Piętaszka, a najlepszy skutek odniosło, gdy mu pozostawił wolność pozostania i powrotu do ojczyzny.

Popatrzył na mnie przerażony, jakbym go posądzał o jakąś straszną zbrodnię, potem zaś padł mi do nóg, objął me kolana i zawołał głosem przerywanym przez łzy:

— Nie, panie! Nie, panie! Piętaszek zostać, gdzie jego dobry, kochany pan! Piętaszek kocha bardzo, bardzo, dużo swój stary ojciec, ale kocha bardzo, bardzo, dużo, więcej swój pan Robinson Crusoe!

Wzruszony wielce objąłem go w ramiona, a gdy mu zapowiedział, że niedługo wrócę na tę wyspę, by przekonać się, jak stoją sprawy kolonii, zaczął skakać, tańczyć i otarłszy łzy pomagał mi dzielnie pakować rzeczy, które chciałem zabrać ze sobą. Myśl, że zobaczy jeszcze ojca, pogodziła go z odjazdem.

Obszedłem raz jeszcze fortecę, pogłaskałem oswojone kozy i młode lamy, których stajnia mieściła się teraz w obrębie palisady, spojrzałem ze wzgórza na wyspę, objąłem wzrokiem lasy, strumienie, góry i uprawne pola, przez siebie założone, przywiodłem sobie na pamięć rozliczne przygody i przeżycia, związane z tym zakątkiem, złożyłem dzięki Bogu za wszystkie dobrodziejstwa, potem zaś wsiadłem do czółna czekającego u ujścia rzeczki.

Z całego mienia zabrałem tylko wielką, stożkowatą czapkę futrzaną, parasol i jedną z papug, a wreszcie pieniądze, które tak długo leżały nietknięte, że szerniały i utraciły blask.

Okręt był gotów do odjazdu, ale najłżejszy nawet wietrzyk nie marszczył powierzchni morza, przeto odpłynąć dnia tego nie mogliśmy jeszcze.

Nad ranem przypłynęli dwaj z pięciu pozostałych i zaczęli błagać, by ich zabrać na pokład. Mówili, że trzej inni wszczęli kłótnię, tak iż nie byli pewni życia. Prosilili kapitana, by ich nie zostawiał, gdyż wolą już zawisnąć na szubienicy w ojczyźnie.

Kapitan powiedział czepiającym się rozpaczliwie liny kotwicznej łotrzykom, że musi zasięgnąć zezwolenia namiestnika, potrzymał ich jeszcze chwilę we wodzie, gdy zaś złożyli przysięgę, że będą słuchać i wiernie pełnić wszelkie rozkazy, spuścił im czółno i wziął ich na pokład.

Tu otrzymali na powitanie porządną chłostę knutem o dziewięciu rzemieniach, zwanym „kotem o dziewięciu ogonach”, a potem okazało się, że są to dzielni i posłuszni marynarze.

W godzinach przedpołudniowych wysłałem jeszcze na ląd czółno z przyrzeczonymi kolonistom zapasami, do których kapitan dołączył skrzynie marynarskie, zawierające ich prywatną własność, zwłaszcza odzież. Podziękowali bardzo serdecznie za ten dowód łaski, którego się wcale nie spodziewali.

Nie zaniedbałem oświadczyć dla ich uspokojenia, że o ile to będzie możliwe skieruję w stronę wyspy któryś z okrętów, tak by mogli z czasem wyjechać.

Po południu podnieśliśmy kotwicę i ruszyliśmy w drogę.

Był to, jak wskazywał kalendarz okrętowy, dzień 19 grudnia, roku Pańskiego 1686.

Spędziłem przeto na wyspie dwadzieścia osiem lat, dwa miesiące i dziewiętnaście dni.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

— Robinson i Piętaszek przybywają do Anglii. — Synu, drogi synu! — Robinson zostaje przedsiębiorcą okrętowym i otrzymuje pomyslnie wieści o stanie swych plantacji w Brazylii. — Udaje się w podróż i przybywa na wyspę. — Robinson spotyka Hiszpana, a Piętaszek swego starego ojca. — Co zaszło na wyspie w ciągu lat dziesięciu. — Odjazd Robinsona. — Zakończenie.

Po długiej podróży przybyłem do Londynu dnia 11 czerwca roku Pańskiego 1687. Stałem po trzydziestopięcioletniej nieobecności znowu na ziemi ojczystej wraz z Piętaszkiem, którego ruch i życie tutejsze wprawilo w takie osłupienie, że nie mógł wyrzec słowa.

Po upływie połowy ludzkiego żywota znalazłem się z powrotem w kraju cywilizowanym, pośród równych sobie, w ludnym mieście.

A jednak jakże obcy się poczułem tutaj! Wysokie budynki i ciasne ulice dławiły mnie i niepokoiły, a w sercu tętniło ponadto trwożne pytanie, czy zastanę jeszcze przy życiu ojca i matkę?

Rychło znalazłem statek pobrzeżny, który nas obu zawiózł do Hull, skąd ruszyliśmy karetką pocztową do mego rodzinnego Yorku.

Wydało mi się tu bardziej jeszcze obco niż w Londynie. Nie zmieniły co prawda postaci stare ulice i domy, ale z okien spoglądały obce twarze na podstarzałego człowieka, który kroczył wraz z czarnym towarzyszem po kamienistym bruku, tak jakby nie nawykł doń wcale.

Spotykałem samych nieznanych ludzi i dziwiło mnie to bardzo. Spodziewałem się zastać tu rówieśników swoich, a zapomniałem całkiem, iż ci, młodzi ongiś ludzie, dziś liczą lat pięćdziesiąt pięć i chylą się ku starości.

W końcu stanąłem przed znanym dobrze domem.

— Piętaszku! — powiedziałem wzruszony, kładąc dłoń na kłamce. — Tutaj mieszkał ongiś ojciec mój!

— Czy ojciec żyć jeszcze? — spytał z cicha, składając ręce.

— Głos wewnętrzny powiada mi — odparłem — że Bóg raczy nam użyczyć radości powitania się jeszcze tu, na ziemi.

To rzekłszy otwarłem drzwi i wszedłem.

W wąskiej sieni stały te same, stare szafy, ta sama woń przepajała wszystko, toteż uczułem się na nowo dzieckiem... młodzieńcem.

W izbie mieszkalnej tykał głośno, powoli znany mi dobrze zegar wahadłowy. Słyszałem go doskonale przez zamknięte drzwi.

Bezwiednie chwyciłem ramię mego towarzysza. Zdjęliśmy kapelusze.

Otworzyłem cicho... całkiem cicho...

Nikt się nie odezwał.

Przekroczyłem próg.

Zgrzybiały starzec o śnieżnych włosach siedział w fotelu o wysokich poręczach.

Na szmer kroków naszych podniósł głowę.

— Nie wiem, kim jesteś, czcigodny panie — rzekł głosem słabym, niepewnym, starczym — ale witam cię uprzejmie. Proszę, usiądź pan. Zaraz nadejdzie córka moja i spyta czym panu możemy służyć.

Przystąpiłem doń i ukląknęm.

— Nie znasz mnie, panie? — spytałem ujmując jego dłoń.

— Nie, nie znam! — odparł patrząc w mą brodatą twarz. — Oczy mi osłabły całkiem. Ale mimo to wydaje mi się, że ci ongiś widywał, panie. Któż jesteś?

Nie mogąc wytrzymać wybuchnąłem płaczem.

— Gdzież się to podziała córka moja? — mruknął starzec. — Uspokójcież się, drogi panie! — dodał. — Jeśli cię spotkało nieszczęście, a będę w stanie dopomóc, to uczynię to jak najchętniej! Córka moja zaraz wróci i rozmówi się z panem.

— Nie spotkało mnie wcale żadne nieszczęście! — odparłem — Przeciwnie, Bóg obdarował mnie wcale żadnym nieszczęściem, że mogę cię jeszcze widzieć, drogi ojciec mój. Czyż mnie naprawdę nie poznajesz, ojciec? Jestem Robinson, syn twój!

Starzec wyprostował się i spojrział uważnie. Wielka radość zabłysła w jego na poły zagaszonych oczach. Potem podniósł drżące ramiona, otoczył mnie szyję i przycisnął mnie do piersi.

— Synu mój! — zawołał. — Syn utracony wrócił! Chwała bądź Bogu przedwiecznemu! O, teraz już zaprawdę mogę lec spokojnie w grobie!

Szczęśny to był dzień.

Ojciec trzymał mnie ciągle przy sobie i nie puszczał mej ręki z dłoni.

Radość siostry mojej była też wielka, a niebawem dom zaroił się sąsiadami i dawnymi znajomymi, którzy przybiegli, chcąc zobaczyć odzyskanego Robinsona i jego czarnego towarzysza.

Pocziwy Piętaszek był bardzo uradowany szczęściem swego pana i zaczął opowiadać wszystko w sposób tak komiczny, że cały dom zawrzał niezmierną wesołością, a śmiał się nawet nieraz serdecznie sędziwy ojciec, który liczył obecnie sześćdziesiąt dziewięć lat.

Matka moja zmarła już przed dwudziestu laty, ale, jak mi powiedział ojciec, udzieliła na łożu śmierci błogosławieństwa synowi.

Całe tygodnie zbiegły na szczegółowym opowiadaniu dziejów mego życia i przygód, a zacny ojciec słuchał z wielką uwagą. Toteż każdą wolną chwilę spędzałem u jego boku, opowiadając, jak to Bóg miłosierny ochronił mnie przed dzikimi i zastawił mi stół obfity wśród bezludnej pustyni.

Zdarzyło się tak szczęśliwie, że mogłem przystąpić jako współnik do pewnego przedsiębiorstwa okrętowego w Hull, którą to sposobność pochwyciłem z radością.

Właściciele okrętu, którym ocaliłem kapitana, a tym samym statek i cały jego ładunek, ofiarowali mi w darze dwieście funtów szterlingów. Przyjąłem chętnie pieniądze, gdyż moje środki materialne były ograniczone, a musiałem dbać nie tylko o przyszłość własną, ale także mego, zacnego towarzysza.

Przez kilka jednak tylko miesięcy dane mi było osładzać ostatnie chwile drogiego ojca mego, którego Bóg rychło powołał do siebie.

Spuściznę oddałem w całości osamotnionej teraz siostrze, a mogłem to uczynić tym łatwiej, że otrzymałem pomyślnie wieści o stanie mych dawno kupionych plantacji w Brazylii, którymi zarządzali teraz synowie dawniejszego kierownika. Byli to ludzie uczciwi i chociaż sądzili, że dawno zginął, teraz, dowiedziawszy się o moim powrocie, złożyli mi dokładne rachunki z obrotów, dokonywanych w ciągu tak długiego czasu.

W siedem miesięcy po śmierci ojca otrzymałem od nich bardzo znaczną sumę jako czysty zysk za czas ubiegły. Wynosiła ona przeszło pięć tysięcy funtów szterlingów, a prócz tego w podarunku pięć pak cukrowych owoców, sto małych bryłek rodzimego złota oraz sześć pięknych skór lamparcich.

Zostałem tedy bogaczem. Kazałem kształcić Piętaszka we wszystkim, co znać musi człowiek cywilizowany i chrześcijanin, i po kilku latach wstąpił on jako pomocnik handlowy do naszego przedsiębiorstwa. Mimo to pozostał nadal moim serdecznym przyjacielem i drogim towarzyszem.

Nie opuściła mnie jednak żądza podróżnicza, a gdy zarządcy plantacji zaprosili mnie, bym sam przekonał się o stanie posiadłości moich, wyruszyłem razem z Piętaszkiem w podróż dnia 8 stycznia 1694 roku, kierując się przede wszystkim ku mojej wyspie.

Kazałem wyposażyć należycie najlepszy okręt naszego przedsiębiorstwa, którego kapitanem był mój krewniak, i naładować rzeczami, które mogły być przydatne kolonistom, a więc płótnem, kapeluszami, obuwiem i inną odzieżą, potem naczyniami i sprzętami gospodarczymi, dalej zaś pościelą, żelaziwem, bronią i amunicją, wśród której były też dwie armaty, sto beczek prochu, olów, miecze, lance i halabardy.

Podróż odbyła się bez szczególniejszych przypadków, pomyślny wiatr pędził nas przez Atlantyk i prędzej, niż się spodziewać było można, zarzuciliśmy kotwicę u wybrzeża wyspy, tuż przy ujściu rzeczki, niemal pod progiem mego dawnego mieszkania.

Przywołałem z kajuty Piętaszka i spytałem, czy wie, co to za ląd.

Spojrzał, potem zaś zaczął klaskać w dłonie i wołać:

— O, wiem... Tu... tu... tu!

Wyciągnął rękę w stronę góry, pod którą znajdowała się forteca, gdzieśmy mieszkali tak długo. Zaraz potem zaczął tańczyć i skakać, jakby był jeszcze dzikim. Z trudem wstrzymałem go, by nie skoczył z pokładu i nie dotarł wplaw do wyspy.

— Czy sądzisz, że zastaniemy tam ludzi? — spytałem. — Czy spodziewasz się zastać ojca swego?

Milczał przez chwilę i lzy mu przysłoniły oczy.

— O nie! — powiedział — Nie zastanę pewnie ojca mego. Umarł niezawodnie. Był już wówczas zgrzybiałym starcem.

— Wszakże mój ojciec był jeszcze starszy, a zastałem go w pełnym zdrowiu! Nie martw się przed czasem. Czy widzisz kogo na wybrzeżu?

Piętaszek wyteżył wzrok, gdzie mimo lunety nie mogłem dostrzec żywej istoty. Ale oczy jego ostrzejsze były widać od szkieł, gdyż po chwili zawołał:

— O tak, widzę mnóstwo ludzi, tu i tam!

Miał zupełną słusność.

Nazajutrz rano ruszyłem ku wybrzeżu łodzią pełną uzbrojonych marynarzy, gdyż nie wiedziałem, jakiego rodzaju ludzi spotkam na wyspie.

Wpłynęliśmy w ujście rzeczki, ja zaś wydałem rozkaz, by nikt przede mną nie postawił stopy na wybrzeżu.

Ujrzałem gromadkę ludzi, stojących w pewnej odległości, a pośród nich rozpoznałem z radością Hiszpana, któremu ocaliłem życie. Ale uprzedził mnie Piętaszek. Dostrzegł poza Hiszpanem ojca swego i żadna siła ludzka wstrzymać go nie była w stanie. Wyskoczył na wybrzeże i pomknął ku starcowi jak strzała.

Trudno opisać scenę powitania. Piętaszek obejmował starca, całował go, głaskał po twarzy, potem wziął go na ręce, zaniósł do powalonego pnia, posadził na nim, położył się w trawie, głaskał mu i całował stopy, wstawał i patrzył nań jak znawca obrazów na piękny portret, brał za rękę, prowadził ostrożnie, to znów biegł raz po raz do łodzi, by mu przynieść kawałek cukru, chleba lub łyk wina, słowem coś smakowitego. Następnie posadził go znów w trawie i skakał wokoło, jakby stracił zmysły. Przez cały zaś czas gadał przy tym nieustannie, opowiadając ojcu swe przygody u białych ludzi, w dalekim kraju, poza wielką wodą.

Podszedłem tymczasem do Hiszpana, którego poznałem doskonale, a on zbliżył się też na pół drogi ku mnie. Miał w ręku muszkiet i białą chorągiewkę parlamentariusza.

— Señor! — powiedziałem doń — nie poznajesz mnie pan, widzę?

Nie rzekł słowa, tylko obrócił się, oddał broń idącemu za nim człowiekowi, potem podbiegł i chwyciwszy mnie wpół przycisnął w długim uścisku do piersi.

— O, señor! — zawołał, gdy minęło pierwsze wrażenie i mógł przemówić. — Jakże się stało, że nie rozpoznał zaraz rysów człowieka, który mi się ongiś zjawiał jak anioł boski i ocalił z rąk ludożerców. Wówczas miałeś pan ogromną brodę, a dziś twarz pańska jest gładka.

Potem skinął na innych, by się zbliżyli i spytał, czy chcą iść do mojej dawnej fortecy, którą mi pragnie oddać w posiadanie, a także pokazać, jak została powiększona i wzmocniona.

Zgodziłem się ochotnie, nie mogłem jednak poznać tego miejsca. Hiszpanie nasadzili tak gęsto drzew, że forteca była zgoła niedostępna temu, kto nie znał tajnych ścieżek i przesmyków.

Spytałem, czemu tyle pracy włożyli w ubezpieczenie fortecy, on zaś odparł, że mieli po temu ważne powody, jak się sam przekonam z dalszego toku opowieści.

On i ziomkowie jego przeżyli niejedno od czasu przyjazdu na wyspę. Doznał wielkiego rozczarowania i zmartwił się bardzo, nie zastawszy mnie tutaj, jednocześnie jednak uradowało go, iż Opatrzność zesłała mi piękny okręt dla powrotu do ojczyzny. Nigdy też nie stracił nadziei, że mnie jeszcze kiedyś zobaczy.

Następnie zaczął długą opowieść o trzech pozostałych na wyspie... jak ich nazwał... barbarzyńcach i oświadczył, iż gdyby im pozostawiono swobodę działania, przybyli tu Hiszpanie żałować by musieli gorzko czasu spędzonego pośród ludożerców.

— Nie bierz mi za złe, señor — powiedział — jeśli oznajmię, że musieliśmy ze względu na własne bezpieczeństwo rozbroić tych Anglików i wziąć ich pod swe rozkazy, nie tylko bowiem kazali nam służyć sobie, ale godzili nawet na nasze życie.

Odparłem, że wyjeżdżając obawiałem się sam czegoś podobnego. Żałowałem też, iż nie mogę przedtem oddać wyspy wedle wszelkich form panu i pańskim towarzyszom

tak, by uczynić stanowisko marynarzy, jak należało, zależnym. Powinszowałem mu też, że zdołał utrzymać w szrankach tych ludzi, co do których nie miałem żadnych złudzeń.

Tymczasem przyszła reszta Hiszpanów celem powitania mnie i zauważyłem, iż są to ludzie nader grzeczni, o zachowaniu obyczajnym i pełnym godności, jakie się nie zawsze spotyka nawet w najbardziej wykształconych sferach Anglii.

Okręt stał u wybrzeża przez dni dwadzieścia pięć. Wraz z Piętaszkiem mieszkaliśmy w swojej fortecy, słuchając sprawozdań kolonistów, robiąc wycieczki w różne miejsca mej dawnej posiadłości i oglądając osady Hiszpanów i Anglików.

Opowiadano mi też szczegółowo historię ostatnich lat dziesięciu. Atkins i dwaj jego towarzysze wszczęli walkę ze spokojnymi Hiszpanami, napastowali ich i drażnili, tak że musieli się jąć przemocą aż do zupełnego obozwładnienia burzycieli porządku, zaś Hiszpanie postępowali potem z nimi uczciwie. Niebawem zalali wyspę ludożercy, a odparto ich i wystraszone dopiero po upartych walkach. Następnie pojechało pięciu kolonistów na stały ląd i przywieźli jedenastu czerwonoskórych mężczyzn i pięć kobiet. Te pięć kobiet wzięli oni sobie za żony i obecnie ludność wyspy wzrosła o dwadzieścioro dzieci.

Przeżycia i przygody kolonistów w ciągu tych lat dziesięciu były tak liczne i urozmaicone, że można by o tym napisać książkę obszerniejszą jeszcze niż niniejsza, nie wdaję się w to jednak, ponieważ chcę spisać tylko dzieje własnego życia.

Rozdałem własnoręcznie pomiędzy kolonistów broń i zapasy, czym im sprawiłem wielką radość. Osadziłem również dwu nowych kolonistów, cieślę i kowala, którzy się przyłączyli w Anglii do mojej wyprawy.

Potem rozdzieliłem całą zdatną pod uprawę przestrzeń na określone części i osadziłem na nich każdego kolonistę z osobna, stosownie do życzeń i potrzeb, jakie który wyraził. Zachowałem sobie jednak prawo własności całej wyspy.

Atkins i towarzysze jego stali się z biegiem czasu ludźmi statecznymi i rozsądnymi. Przewaga Hiszpanów wyszła im na korzyść, a spokojne usposobienie i obyczajne ich życie oddziaływały w końcu na zdziczałych marynarzy.

Dalem Atkinsowi Biblię, którą przyjął ze szczerą wdzięcznością. Posłałem mu potem i towarzyszą jego z Anglii kilka byków, krów i świń, które się rychło bardzo rozmnożyły.

Nadszedł czas rozstania. Zebrałem raz jeszcze wkoło siebie mieszkańców wyspy, zaleciłem im, by żyli bogobojnie i pracowali wytrwale, a potem pożegnałem się z nimi.

Piętaszek nie chciał się jednak rozstawać z ojcem, tak że musiałem zezwolić, by zacny ten chłopak zabrał starca do Anglii, gdzie, jak sądził, mieszkać muszą bogowie.

Ale los zaoszczędził mu tego rozczarowania, zmarł w drodze, znalazł swój grób w oceanie, a kochający syn żałował go długo.

Opuściłem wyspę ze smutkiem, a jednak radowała mnie świadomość, że postąpiłem z jej mieszkańcami jak przystało człowiekowi i chrześcijaninowi.

Dzień odjazdu przypadł na 6 maja 1694 roku.

Skierowaliśmy się ku południu, do Brazylii, gdzie znalazłem plantacje moje w pełni rozkwitu.

Pod koniec roku wróciłem do ojczyzny.

Tutaj, jak sądzę, dożyję reszty dni żywota mego. Sądząc po licznych siwych nitkach we włosach mego Piętaszka oraz innych oznakach, widzę, że jestem starcem, który stoi już niedaleko bram wieczności. Tam to właśnie skieruję się w ostatniej mojej podróży.

Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/robinson-crusoe>

Tekst opracowany na podstawie: Daniel Defoe, *Robinson Kruso: jego życia losy, doświadczenia i przypadki*, tłum. i oprac. Franciszek Mirandola, Instytut Wydawniczy „Zdrój”, Warszawa 1924

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aleksandra Żurek, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: samenstelling@Flickr, CC BY 2.0